



Colin Kapp

W POSZUKIWANIU SIOŃCA

Search for the Sun

Przekład: Ewa i Dariusz Wojtczakowie

I Tom cyklu Uwięziony świat (Cageworld)

Rozdział 1

Lew i Cherry

Kiedy dotarł do rozległej hali odlotów terminalu hiperpodróży 211-80-D, natychmiast skupił na sobie setki zaciekawionych spojrzeń. Nikt go nie znalazł, lecz na wielu osobach podświadomie wywarły wrażenie budowa jego ciała, nonszalancki chód i przyjemna dla oka brzydota. Gdyby w ogromnym pomieszczeniu zapadła nagle cisza, podróżnicy zauważyliby jeszcze jedną wyjątkową cechę Maq Ancora: mężczyzna poruszał się cicho jak kot.

Chociaż młoda, jego emanująca siłą i pewnością siebie twarz była pokreślona tysiącem drobnych zmarszczek, które wydawały się odzwierciedlać rozmaite aspekty niezwykłej inteligencji mężczyzny, a równocześnie nadawały mu niemal zwierzęcych rysów, którym – wraz z grzywą rudych włosów połyskujących nad kołnierzem płaszcza – zawdzięczał swój legendarny pseudonim. Przyjaciele i wrogowie (a miał bez liku jednych i drugich) zgodnie nazywali go „Lwem”. Pseudonim stanowił właściwie komplement dla wymarłej już bestii, bowiem Maq Ancor był osobnikiem nieporównanie bardziej niebezpiecznym niż jakikolwiek żyjący współcześnie czy też w przeszłości drapieżnik.

Lew stosunkowo szybko przedostał się przez rozmaite biurokratyczne kontrole. Przelot egzosferycznym liniowcem na trasie liczącej dwieście pięćdziesiąt milionów mil kosztował więcej niż większość ludzi była w stanie zarobić przez całe życie, toteż ilość pasażerów na jego rejsie była raczej niewielka. Jedynie prawdziwi bogacze mogli sobie pozwolić na podjęcie takiej podróży. Ancor był wyjątkiem, bowiem za całe bogactwo służyły mu własne umiejętności i broń. Jako wyklęty przez własną gildię doskonały eks-zabójca, za którego głowę wyznaczono zawrotną nagrodę, nie

tylko był chwilowo bezrobotny, lecz w ogóle jego szanse na kolejny kontrakt niebezpiecznie zbliżały się do zera. Tak w każdym razie jeszcze do niedawna sądził.

Bilet do najnowszego miejsca przeznaczenia otrzymał wraz z pakietem fałszywych dokumentów oraz kwotą przewyższającą jego ewentualny dziesięcioletni zarobek. Doręczyciel owych cudów tak doskonale się zakamuflował, że Maq rozpoczął podróż przez ćwierć średnicy marsjańskiej powłoki nawet nie znając tożsamości swego dobroczyńcy. Posiadał tylko jeden trop: książeczkę czekową ważną w każdej agencji Cyrku Solaryjskiego, obecnie występującego w regionie 211-80.

Przy barierce kontrolnej jego dokumenty trafiły do skanera w celu weryfikacji. Ancor czekał na wynik z pozoru zupełnie spokojny, lecz równocześnie czujny niczym wyprężona do skoku bestia. Dokumenty były tak idealnie podrobione, że wyglądały jak oryginał wydany przez władze kompleksu solaryjskiego. Ale nigdy nie można być niczego pewnym w stu procentach. Gdyby nie zniósł dokładniejszej analizy, Lew był gotów uutorować sobie drogę do wyjścia z terminalu przy pomocy broni.

Dokumenty szybko wróciły (zaplombowane w czerwonej obwolucie oznaczającej pozytywną weryfikację), więc Ancor pozwolił sobie na lekkie odprężenie. Strażnicy i urzędnicy wokół niego nawet się nie domyślali, jak blisko otarli się o śmierć. Inspektor celny nieodwołalnie zakończył papierkową robotę i prawdopodobnie miał ochotę skomentować ilość broni u człowieka, który poza nią nie miał właściwie innego bagażu, lecz najwyraźniej wyczytał coś w przerażającej lwiej twarzy swego klienta i zmienił zamiar. Bez słowa podniósł więc tylko barierkę.

Trasa Ancora z wielofunkcyjnego kompleksu podróżniczego poprowadziła go przez parter ogromnej sali przylotów, która okazała się stosunkowo zatłoczona. Długie kolejki ciągnęły się ku

olbrzymiemu wahadłowcowi szprychowemu. Na twarzach podróżników Lew nie dostrzegł podniecenia ani radosnego oczekiwania. Nic dziwnego. Znajdował się przecież w centrum przymusowej emigracji i pasażerskie wahadłowce latały tylko w jedną stronę – w nieznaną. Aby rozładować stałą groźbę przeludnienia, która za sprawą gwałtownie rosnącej populacji wisiała nawet nad tak niewyobrażalnie wielkim terytorium jak marsjańska powłoka, niezbędne było regularne ekspediowanie pewnej partii mieszkańców na zewnątrz. Kierowano ich na świeżo sterraformowane nowe światy i nowe powłoki. W kolejkach stały poblądłe i zapłakane tłumy ludzi, dla których prawo zamieniło się w koszmarną rzeczywistość.

Całą operacją – skrupulatnie i sprawiedliwie – zawiadywała skomputeryzowana loteria, która wybierała kandydatów na przymusowych emigrantów. Nikt nie był w stanie oszukać procedur losowania. Jednakże dla nieszczęśników tracących nagle przyjaciół i rodziny nie miał znaczenia uczciwy (czy też nie) sposób selekcji. Na twarzach tych ludzi widniała jedynie rozpacz i apatyczne przygnębienie. Los czy też raczej Zeus – czyli zawiadujący kontrolą populacji kompleks komputerowy – zadawał im straszny cios, który większość z nich wyraźnie identyfikowała raczej z wyrokiem śmierci niż z okazją na nowe, bardziej niezależne życie.

Podróż nic ich wprawdzie nie kosztowała, lecz nie otrzymywali biletu powrotnego. Niechęć emigrantów do podróży rzucała się w oczy również dzięki obecności uzbrojonych strażników, którzy cierpliwie ustawiali w kolejki przerażonych, smutnych ludzi. Dodatkowym sygnałem, iż cała akcja nie zawsze przebiega bezkonfliktowo były wszechobecne cybernetyczne kafary: kontrolowane bezpośrednio przez Zeusa roboty, które choć czały się w oddali, dyskretnie patrolując zebranych, w razie otwartej rewolty zamieniały się w straszliwe, mordercze bestie.

Rysy Ancora stwardniały, kiedy dziesięć tysięcy zazdrosnych oczu obserwowało jego swobodne wyjście z terminalu. Sam również wylosował kiedyś taki los na loterii, lecz dzięki koneksjom udało mu się jakoś wywinąć od emigracji. Tym niemniej doskonale rozumiał bezradną rozpacz osób tłoczących się u podstawy kolosalnej metalowej paszczy załadunkowej komory wahadłowca. Przed tymi ludźmi rozciągała się przyszłość, której ani się nie spodziewali, ani sobie nie wyobrażali. Zastanowił się nagle, czy sam jest pewien, co czeka go jutro.

* * *

Zbiegiem okoliczności i mniej więcej w tym samym czasie, pewien mężczyzna również podążał do Solaryjskiego Cyrku. Nosił imię Cherry i także miał problemy, choć zupełnie odmiennego rodzaju. W tej chwili dokładnie pod sobą dostrzegał już wielki teren cyrku – kolejne mile promenady obwieszanej girlandami kolorowych świateł i ogromne mleczone kule sal pokazowych wyglądające jak perły w szkatułce pełnej olśniewających szlachetnych kamieni. W północnej części połyskującego kompleksu, pierścień jaskrawych markerów znaczył granice lądowiska i kierował obniżający lot statek Cherry’ego ku wyznaczonemu pasowi. Wszystko najwyraźniej szło doskonale i ta „normalność” wzbudziła podejrzenia magika. Podczas ostatnich występów w Solaryjskim Cyrku udało mu się oszukać rywala, holoiluzjonistę imieniem Castor i zmusić go do wylądowania w stawie. Zastanowił się, czy przypadkiem w tej chwili nie ma do czynienia z zemstą tamtego.

Ponieważ kiedyś już występował w tym samym okręgu Fedregionu 211-80, parametry nawigacyjnych markerów nadal znajdowały się w pamięci jego pokładowego komputera. Cherry wywołał je, aby uzyskać współrzędne, z którymi porównał swoją

aktualną pozycję i z satysfakcją odkrył, że w rzeczywistości cyrk znajduje się prawie sto mil dalej na wschód. A zatem jego podejrzenia okazały się trafne – ciągnące się pod nim wspaniałe budowle, tak przekonujące z powietrza, były jedynie hologramem nałożonym na morze i tereny przybrzeżne zalewane podczas przypliwów.

Magik pospiesznie skorygował kurs i wkodował nowe dane. Słyszalna zmiana w pracy silników sprowadziła jego asystentkę, Carlę. Dziewczyna opuściła swoją kabinę, chcąc sprawdzić, co się dzieje.

– Czego się, do diabła, wygłupiasz, Cherry? – spytała. – Tez i ja po wylądowaniu musimy rozładować pięćdziesiąt ton sprzętu projekcyjnego. Wcześniej nie pójdziemy spać...

– Gdybyś spróbowała tutaj wylądować, potrzebowałabyś raczej łodzi podwodnej niż bagażowego poduszkowca. – Cherry skierował jej uwagę na połyskującą panoramę. – Pod nami pełne dziesięć sążni bardzo błotnistej wody.

– Naprawdę? – Popatrzyła z niedowierzaniem na widoczną ze szczegółami cyrkową scenę. Nawet małe meleksy, które jeździły promenadami wielkiego na dwieście mil kwadratowych kompleksu cyrkowego wyglądały nadzwyczaj prawdziwie. Jednak, gdy oboje przyglądali się panoramie, fałdy trójwymiarowej struktury Pałacu Tańca poruszyły się lekko.

– To jeden z cholernych hologramów terenowych Castora – odezwał się iluzjonista zjadliwym tonem. – Nie zwiedzie nawet dziecka.

– No cóż, ja się nabrałam – odparła bynajmniej niezmiészana Carla.

Tez, operator holoprojektora Cherry’ego, wyszedł z ładowni i przyłączył się do nich. Na widok rozciągającego się pod statkiem krajobrazu aż mruknął z podziwu.

– Zupełnie nie wygląda na iluzję, Cherry! Równowaga luminancji jest trochę słaba, dostrzegam też lekkie śnieżenie i zakłócenia spowodowane złym ustawieniem rzutników...

Ale cóż za skala!

– Stosowaliśmy wcześniej od niego takie techniki, w dodatku z lepszym efektem – stwierdził zde gustowany magik. – Castor po prostu zwiększył skalę i tyle.

Carla pociągnęła nosem.

– Nie przypominam sobie, Cherry, żebyś kiedykolwiek stworzył projekcję wielką na dwieście mil kwadratowych. Twój rekord to chyba jakieś dwieście jardów, nieprawdaż?

– Liczy się jakość, a nie rozmiar, złośliwa więdźmo! Castor na pewno również zdaje sobie z tego sprawę. Pozostali mieszkańcy marsjańskiej powłoki także to wiedzą. Sprawa jest dla wszystkich jasna. Czemu zatem ty tego nie wiesz?

– Ponieważ cię znam, pazerny kanciarzu – Carla zrobiła unik przed garścią chipów, którymi magik w nią cisnął, po czym dodała znacznie poważniejszym tonem: – I powiem ci jeszcze jedną rzecz, Cherry. Jeśli ty i Castor nie przestaniecie się wygłupiać z tymi holoiluzjami w miejscach publicznych, komuś może się stać krzywda.

Rozdział 2

Holoiluzja i człowiek-zagadka na kólkach

Z prawdziwym wyczuciem dramatyzmu Cherry zawsze przywdziewał na własne przedstawienia skromną białą togę, zaś

na centrum swej działalności wybierał proste podium pośrodku sali o półprzezroczystym, szklanym suficie w kolorze neutralnej szarości. Kopulastość powały znacznie komplikowała metody projekcji, lecz magik – doskonale opanowawszy przez lata technikę – wiedział, że dzięki niej jego prezentacja jest znacznie ciekawsza niż popisy konkurentów. Nawet wstęp Carli był rozmyślnie powściągliwy i przedstawiony w sposób, który sugerował widzom, że obejrzą zupełnie przeciętny pokaz iluzji. Cherry twierdził, że ascetyczna oprawa uwydatnia kontrast pomiędzy jego genialnymi technicznymi dokonaniem a pseudowyczynami takich magików jak Castor, którzy obiecywali cuda, później zaś przedstawiali rzeczy zwyczajne i przyziemne.

Wchodząc na estradę przy dźwiękach pojedynczej elektronicznej fanfary, Cherry uważnie zlustrował widownię. Szybko wyłowił wzrokiem z tłumu paru drugorzędnych iluzjonistów, którzy próbowali podpatrzeć szczegóły techniczne jego pokazu. Większość stanowili jednakże zwykli amatorzy ekscytujących zdarzeń. Prawdopodobnie do ostatniej chwili wahali się między jego ofertą i *Porażającymi zmysły popisami namiętności dwunastu amazonek* z jednej strony, a *Kometą lodowych dziewic* z drugiej. Tylko jednej postaci Cherry nie potrafił rozszyfrować. Osobnik był zaledwie w jednej trzeciej człowiekiem, w dwóch pozostałych natomiast wspomagającą życie aparaturą. Z precyzją wjechał bezszelestnie do sali w czymś na kształt fotela na kółkach, po czym stanął wraz z dwójką ochroniarzy przy najdroższej galerii miejsc, czyli tak zwanym „wewnętrznym kręgu”. Mimo potworzonego okaleczenia mężczyzny jego inteligentne czoło, zwiastujący żelazną wolę zarys szczęki i pogardliwe spojrzenie dawały jasno do zrozumienia, iż dziwny osobnik znalazł się wśród żadnego taniach rozrywek pospółstwa absolutnie nieprzypadkowo. W dodatku, skoro mógł sobie pozwolić na tak nowoczesny „korpus na

kółkach”, posiadał zapewne ogromne bogactwa. Kimkolwiek był ten osobliwy widz, Cherry skłonił się głównie w jego stronę.

– Przyjaciele... dziś wieczorem zabiorę was w fantastyczną podróż... podróż, która zawiedzie was do najgłębiej strzeżonych sekretów wszechświata Solarii. Odwiedzimy regiony leżące poza zasięgiem ludzkiego doświadczenia. Jeśli łaska, wyobraźcie sobie, że krąg tworzący podłogę tej sali to satelita obserwacyjny – unikalny statek, który może się poruszać we wszystkich możliwych wymiarach. Owym wehikułem wyprawimy się w podróż przez regiony tak fantastyczne, że aż nierzeczywiste.

Cherry dramatycznym gestem wyciągnął różdżkę i wycelował ją w Carlę. Hokus pokus i po wielkim błysku, przed zdumionymi oczyma audytorium radośnie uśmiechnięta dziewczyna zmieniła się w wielki słup ognia zaprojektowany z taką wiernością, że nie sposób było nie wzdrygnąć się na myśl o przypuszczalnym gorącu. Jakaś kobieta na widowni aż krzyknęła, gdy Carla – w środku szalejącego płomienia – zaczęła się topić i rozpuszczać niczym rozgrzana woskowa kukła. Potem chciwe języki ognia skoczyły wyżej ku dachowi i niemal rozjarzyły szarą przezroczystość kopuły. Zimny pożar przebiegł szybko po dachu i w dół po ścianach, tworząc doskonałą iluzję. Ludzie na widowni najwyraźniej uwierzyli, że ogień trawi całą salę i otaczający ich Cyrk Solaryjski.

Po chwili ciszy wybuchła lekka panika. Aby uspokoić wstrząśniętych widzów, magik przemówił z podium całkowicie opanowanym głosem:

– Ja, Cherry, tworzę dla was iluzje bardziej realne niż sama rzeczywistość!

Z pierwotnego pomieszczenia pozostał jedynie zastawiony krzesłami krąg białego betonu. Teraz nawet on wydawał się odrywać od ziemi. Iluminacja cyrku, gwarne promenady i wielkie

sale pokazowe zaczęły powoli nikać w oddali. Wkrótce biała podłoga nabrała kosmicznej prędkości i skierowała się przez atmosferę ku próżni asteroidowej.

Zaskoczeni widzowie błyskawicznie znaleźli się wysoko ponad powierzchnią marsjańskiej powłoki, potem przemierzyli wielki pas orbitujących sztucznych atomowych protogwiazd zwanych ciałami świetlnymi. Ogrzewały one i oświetlały powierzchnię powłoki. Pędząca grupka przeleciała obok jednego z tych obiektów tak blisko, że wszyscy mimowolnie cofnęli się z przerażeniem w obawie, że usmażą się w ognistym tchu protogwiazdy. Potem biały krąg zwolnił i przez moment trwał pozornie w równowadze i bezruchu, po czym z zachwycającym wyczuciem zbliżającej się katastrofy zaczął spadać ponownie na powierzchnię powłoki, z której się podniósł.

Pod wpływem lęku przed raptownie zbliżającym się lądem i spodziewaną kolizją widzom przebiegł po plecach dreszcz, a adrenalina zaczęła im szaleć w żyłach. Wiele osób siedziało z zacisniętymi pięściami, gdy doświadczały wszystkich tych wzrokowych doznań towarzyszących pędowi ku ziemi z prędkością wielu tysięcy mil na godzinę. Ledwie mieli czas na podziwianie wysokościowej perspektywy zatłoczonych miast pod sobą, zanim trzasną w powłokę. Cieszyli się krótkim okresem przyjaznej ciemności, po którym spodziewali się nagłego powrotu światła. W końcu przecież powinni się przedrzeć przez grubą na wiele tysięcy mil marsjańską powłokę.

Potem wzniesli się pionowo, zdezorientowani zawrotami głowy, coraz wyżej, ponad zatłoczone kompleksy pobudowane na wewnętrznej powierzchni powłoki i dalej w górę w stronę przestrzeni Barana, ku „centrum” wszechświata.

Prawda była taka, że forma tych ostatnich wizualizacji pochodziła głównie z wyobraźni Cherry’ego. Całość składała się ze

starannie wybranych holoscenek zarejestrowanych w przeszłości w rozmaitych miejscach. Efekt finalny był jednakże niezwykle przekonujący i nabrać nań się mógł niemal każdy człowiek, szczególnie że większość nie posiadała prawie żadnych informacji na temat hipotetycznego wyglądu centrum solaryjskiego wszechświata.

Przecięli przestrzeń Barana w prawdziwie szokującym tempie, zupełnie bezwolnie rzucając się w pas ciał świetlnych, i wkrótce pędzili ku ziemskiej powłoce z wprost niewiarygodną szybkością. Podczas penetracji owej powłoki nastąpił kolejny okres ciszy i ciemności. Widzowie poczuli wówczas ogromne napięcie, nikt z nich bowiem nie wiedział, kiedy dokładnie się przebiją. W końcu – wstrząśnięci, a równocześnie podekscytowani oczekującą ich nieznaną przyszłością – odbili się od wewnętrznych regionów ziemskiej powłoki, przecięli przestrzeń okołozemską i skierowali się ku powłoce Wenus.

Gdy lecieli przez powłokę wenusjańską, niecierpliwość publiczności sięgnęła niemal zenitu. Za Wenus leżała wszak przestrzeń Hermesa, która podobno prowadziła do powłoki merkuriańskiej i kalderoidalnych światów położonych na orbicie Merkurego. Cóż znajdowało się dalej? Nikt nie miał co do tego pewności. Scenariusz Cherry'ego odmalował zebrany wielką czarną osobliwość, przerażającą i nienasyconą paszczą, zachłannie wciągającą w pułapkę bez odwrotu każdą bezmyślną istotę, która wkroczyła na jej teren – łącznie z turystami odbywającymi holopodróż. A dalej, za tym dziwnym obszarem... Co się tam znajdowało? Póki co widzom wydawało się, że wpadają w przepastną czarną dziurę. Cherry poczuł ogromną satysfakcję, słysząc, że nawet niektórzy mężczyźni na widowni piszczą i kwilą niczym dzieci.

Nagle umilkł, przerywając w pół zdania towarzyszącą prezentacji opowieść, wydało mu się bowiem, że dostrzegą wymyka-

jąca się z sali postać, która alarmująco przypominała mu jego rywala, Castora. Ponieważ jednak starannie przygotowywał się do mającego właśnie nastąpić apogeum przedstawienia, nie chciał ryzykować zburzenia misternej konstrukcji widowiska i nie zasygnalizował w żaden sposób swych przygotowujących o palpitację serca podejrzeń tkwiącemu w kabinie projekcyjnej Tezowi. Dzięki wrodzonemu refleksowi i nabytemu wraz z doświadczeniem opanowaniu, holomagik zmusił się do spokoju i kontynuował monolog normalnym tonem, choć rosnące w jego gardle drzenie nie było całkowicie produktem holoiluzji, sprawiającej, że podłoga, na której pędzili nieodwołalnie wpadała w zasadzkę grawitacyjnego przyciągania żarłocznej czarnej osobliwości.

Projekcja była tak realistyczna, że (o czym Cherry doskonale wiedział) każdy członek audytorium mimowolnie zbierał w sobie siłę na moment, kiedy wielki, pogrążony w mroku horyzont rozewrze się niczym kurtyna i wszyscy „pasażerowie” odkryją świat położony za nim, w zakazanym regionie. Znając potencjał Castora i jego upodobanie do teatralnych gestów, szczególnie gdy kierowała nim zemsta za doznaną zniewagę, Cherry z coraz większą obawą wyczekiwał na moment, gdy „połknie” ich wielka czarna kula. Nie miał pojęcia, co się wówczas zdarzy, lecz podejrzewał, że nie będzie to nic przyjemnego.

W kilka sekund później już wiedział. Gdy podróżników porwała fala idealnej czerni, do wnętrza oszklonej sali wtargnął potężny jak cyklon podmuch mroźnego powietrza. Zebrani poczuli nagle przeraźliwy chłód. Równocześnie wysiadło zasilanie i zamiast wysyłanych przez projektory hologramowych wizualizacji wyobrażeń Cherry’ego na temat „innej przestrzeni”, wokół nadal panowała kompletna ciemność.

Niestety, nie był to jeszcze koniec kłopotów. Za sprawą nagłego szumu w uszach, którego zwalczenie zmuszało go do sza-

leńczego przelękania śliny, magik odkrył, że zastrzyk zimnego powietrza zwiększył ciśnienie powietrza znacznie ponad atmosferyczne. Gdyby Cherry zamierzał wprowadzić dodatkowe materialne efekty dla uwydatnienia swojej iluzji, nie zdołałby osiągnąć większego realizmu. Problem polegał na tym, że nie zaplanował tego zjawiska. Szczerze mówiąc, sytuacja całkowicie wymknęła mu się spod kontroli.

Jakaś kobieta zaczęła histerycznie krzyczeć, rozsiewając panikę, która okazała się zaraźliwa. Kolejni widzowie – wyraźnie przekonani, że coś poszło nie tak i grozi im realne niebezpieczeństwo – zaczęli się przebijać przez ciemność, szukając wyjścia z sali. Pocąc się z lęku (mimo chłodnego powietrza), iluzjonista wiedział, że najgorsze dopiero nadejdzie. Drzwi oszklonej sali otwierały się do środka i były dokładnie przystosowane do normalnego ciśnienia powietrza. Wraz z prędko rosnącym w sali ciśnieniem malała szansa, że drzwi dadzą się otworzyć bez użycia łomu. Cherry świetnie zdawał sobie z tego sprawę i nie miał pojęcia, jak wyjść z tego impasu.

Przyłgnął desperacko do mównicy, walcząc z ogarniającym go strachem i wypatrując ostatecznego ciosu z ręki Nemesis. I nagle stało się! Wywindowane niemal do granic wytrzymałości ciśnienie panujące w wielkiej przeszklonej sali znalazło ujście: pomieszczenie eksplodowało niczym pączkujący wszechświat w chwili Wielkiego Wybuchu. Gwałtowna obniżka ciśnienia była dotkliwie bolesna dla uszu, lecz ból złagodziła ulga, gdyż nieoczekiwanie rozbłysły światła cyrku – kopuła wieńcząca salę rozprysła się na przestraszone tłumy, krążące po sąsiednich promenadach. Członkowie śmiertelnie przerażonego audytorium Cherry'ego wydawali radosne krzyki, ciesząc się z odzyskanej wolności, po czym zaczęli dosłownie walczyć o pierwszeństwo do cudownie otwartego wyjścia.

Światła płonęły krótko i w ich blasku magik dostrzegł Teza w kabinie projekcyjnej. Asystent – z pokrwawioną od rany na czole twarzą – półprzytomnie wpatrywał się w zrujnowany krajobraz pod sobą.

– Nie wydaje ci się, że tym razem przesadziłeś z realizmem, Cherry? – zawołał w końcu.

– Daj spokój! – odburknął ze znużeniem iluzjonista.

– Poczekaj, aż rozkwaszę szczurzy ryj tego cherlaka Castora. To była ostatnia wszawa i śmierdząca sztuczka w jego parszywym życiu. Poprzetrącam mu te jego zgniłe kikuty i tak go kopnę, że gałek ocznych będzie szukał na sąsiedniej ulicy.

Słyszając za sobą nagły hałas Cherry rozejrzył się uważnie i z zaskoczeniem odkrył, że nie wszyscy spośród jego widzów czmychnęli w panice. Otoczony ochroniarzami władczy nieznanjomy – półczłowiek, półmaszyna – nadal trwał niewzruszenie w miejscu. Sądząc po jego minie, nie dostrzegł w zdarzeniach ubiegłych kilku minut niczego osobliwego. Teraz kiwnięciem przywołał do siebie zakłopotanego iluzjonistę.

– Magiku Cherry, twój pokaz był doprawdy imponujący. Świadczył o wielkiej wyobraźni jego twórcy. – Tembr głosu w pełni pasował do wielkopańskiego zachowania mężczyzny. – Niestety, przyjmij do wiadomości, że twoja koncepcja solaryjskiego wszechświata jest kompletnie chybiona. Przyznam wszakże, że doskonale opanowałeś swoje rzemiosło. Twój występ na długo zapadnie mi w pamięć.

– Mnie chyba też – mruknął iluzjonista nieszczęśliwym tonem. – Zaplanowałem zgoła inne zakończenie. Pewna osoba jednakże dokonała sabotażu...

– Tak czy owak w pełni potwierdziłeś zdobyte przeze mnie wcześniej informacje na temat twojej biegłości w holoiluzji.

Wkrótce porozmawiamy o szczegółach. Prawdopodobnie będę miał dla ciebie propozycję.

– Jestem do usług, panie – odparł magik z kurtuazją.

– Jak brzmi imię mojego ewentualnego pracodawcy?

Nazywają mnie Land'a. – Najzwyklejszy ruch palca nieznanego okazał się znakiem dla jednego z ochroniarzy, który natychmiast podał Cherry'emu wizytówkę. Wytlóczone litery na białym tle pokryto srebrnym ornamentem. Magik badawczo przyjrzał się kartonikowi, lecz odkrył jedynie, że wizytówkę spisano w nieznanym mu, niefederacyjnym języku. Już miał spytać o wyjaśnienie, gdy nieznamy bez pożegnania obrócił się w miejscu na kółkach i wraz z małym orszakiem pewnie kroczących po obu stronach goryli, ruszył płynnie do wyjścia. Opuszczał zrujnowaną doszczętnie salę.

* * *

Cherry – nadal z białym kartonikiem w ręku – obserwował wyjazd człowieka-zagadki i zastanawiał się, jaką też ofertę mógł on mieć dla cyrkowego iluzjonisty. Jego zadumę przerwało wejście dyrektora cyrku, Chi Nailera. Mężczyźnie towarzyszyła ekipa naprawcza. Mimo groźnej miny Nailera magik dostrzegł w jego oczach z trudem wstrzymywane rozbawienie.

– No, tym razem przeszedłeś samego siebie, Cherry! Wiedziałem, że lubujesz się w zwariowanych sztuczkach, jednak wysadzenie w powietrze sali pokazowej przebija wszelkie dotychczasowe szaleństwa. Jak, do diabła, tego dokonałeś?

– To sabotaż! Sądzę, że ktoś podłączył mnie do głównego przewodu ciśnieniowego cyrku. Jeśli sądzić po spadku temperatury, zafundowano nam warunki klimatyczne, które wybrały sobie „dziewice lodowe” z sąsiedniej sali.

Chi Nailer przechadzał się ponuro po potrzaskanych resztkach szklanej kopuły i skrupulatnie badał przebieg wielkich, elastycznych rur z infrastruktury cyrku. System przewodów biegł nieporządnie wokół piaszczystej areny. Podejrzenia iluzjonisty prędko się potwierdziły. Nie było wątpliwości – ciśnieniową rurę rozgałęźną przyłączono do wentylatora Cherry’ego.

Nailer skrzywił się.

– Widzę, że ktoś tu grzebał, nie rozumiem jednak, w jaki sposób tego dokonał. Na modyfikację tego łącza i przekalibrowanie rury musiałby poświęcić dobre pół godziny. Jak to możliwe, że nikt go nie zauważył?

– To nic trudnego – odparł magik. – Wystarczy odłączyć od zasilania górne oświetlenie, a następnie zalać cały teren hologramem tej samej scenerii, lecz zaprojektowanym o metr ponad podłożem. Pod holowizerunkiem można pracować przez długi czas i nikt nawet nie domyśli się, że tam jesteś.

Skoro twierdzisz, że do przeprowadzenia tego sabotażu potrzeba aż takich umiejętności, ani chybi to sprawka Castora. Ta wasza wendetta zaczyna zagrażać bezpieczeństwu widzów. Moi technicy mają do wykonania ważniejsze zadania niż ciągle naprawy zniszczeń powstałych w wyniku waszej prywatnej wojny. Koniec żartów, Cherry. Całkiem serio cię ostrzegam, że jeśli zdarzy się jeszcze jeden taki incydent podczas twojej obecności w moim cyrku, osobiście się postaram, żebyś nie znalazł pracy w żadnym holoparku w naszej części galaktyki. Czy moje słowa są dla ciebie całkowicie jasne?

– Wyświadczyć mi drobną przysługę, Chi. Pozwól mi ostatni raz obić szcurzy pysk tego wstrętnego myszołowa – ot tak, dla wyrównania rachunków.

– Ostrzegłem cię! – Nailer zwołał ekipę techników i wysłuchał raportów na temat strat. Potem wskazał na ruiny kopulastej

sali. -1 lepiej tu szybko posprzątaj, Cherry. To pobojuwisko psuje reputację mojego cyrku.

– Jeszcze jedna rzecz – wtrącił iluzjonista. – Pracowałeś kiedyś poza marsjańską powłoką, Chi. Mógłbyś mi to przeczytać? – Wręczył Nailerowi wizytówkę otrzymaną od tajemniczego gościa.

Dyrektor cyrku wziął kartonik, przypatrzył mu się dokładnie i nagle zeszywniał.

– Skąd ją masz, u licha?

– Dał mi ją pewien facet, który oglądał mój występ. Półczłowiek, półkonserwa na kółkach. Podobno ma dla mnie jakąś propozycję.

– Rozważasz ofertę złożoną przez Land'ę?! – W głosie Nailera pobrzmiwało prawdziwe niedowierzanie. – Cherry, ty pokręcony, stary wariacie, stajesz się ofiarą własnych iluzji.

– Dlaczego? Kim jest ów Land'a?

– Słynnym księciem z Hammanite, odległego regionu położonego poza Federacją. Z jakiegoś powodu podczas terraformowania cała przyznana tej części powłoki platyna trafiła w jedno miejsce... Wyobraź sobie duże, górskie pasmo platyny. Land'ę uważa się za najbogatszego człowieka na marsjańskiej powłoce.

– Czym się zatem niepokoisz?

– Ponieważ Land'a za swoje pieniądze kupuje ludzi. Nazywa siebie supernaukowcem, stale planuje dziwaczne eksperymenty oraz wyprawy.

– Dla mnie brzmi całkiem nieźle.

– Widzisz, Cherry... Większości ludzi, których Land'a wynajął, nikt później już nie zobaczył. Lepiej umrzeć na jakąś paskudną chorobę niż dać się omotać temu człowiekowi. Powiem ci, co dla ciebie zrobię. Przekonam zarząd cyrku, by odbudował twoją salę nieodpłatnie. W końcu... wybuch nastąpił z powodu przewodów, prawda?

– W zamian za co? – spytał ostrożnie magik.

– Zapomnij o Land'zie. Jeśli wróci z jakąś propozycją, nawet się nad nią nie zastanawiaj. Jesteś zmorą mojego życia, ale nawet tobie nie życzę losu, jaki gotuje dla swych ludzi ta kreatura. Wierz mi, Cherry, przemierzyłem marsjańską powłokę wszereż i wzdłuż i wiem, co mówię. – Przerwał, aby odczytać wiadomość na wiszącym przy pasku komunikatorze, po czym przygryzł wargę. – Policyjny szwadron „łowców głów” prosi o pozwolenie lądowania na naszym pasie. Ciekawe, którego z was, łajdaków tym razem szukają?

Tez z obandażowaną głową i twarzą obmytą z krwi wrócił do iluzjonisty w tym samym momencie, gdy zespół naprawczy opuszczał pomieszczenie.

– Co zamierzasz zrobić z Castorem, Cherry? Chi nie żartuje. Jeżeli cię przyłapie na próbie zemsty, wywali nas na zbity pysk.

– Mój chłopcze – odrzekł magik uprzejmie – może nie musimy już się specjalnie przejmować Chi. Nie chciałbyś pracować w przyzwoitej holoplacówce, gdzie wszystko byłoby załatwione na czas, porządnej jakości i skomputeryzowane? Co powiesz na nasz własny holoteatr?

– Brzmi świetnie, Cherry. Ale... Nie uderzyłeś się przypadkiem w głowę?

– Nie. Przeczuwam jednak, że znalazłem sponsora... Możliwego sponsora. Jest tak potężny, że samo jego imię śmiertelnie przerażało Chi Nailera.

– I ten potężny facet wesprze nas finansowo?

– Na pewno mógłby. Posiada całe góry platyny. Chi ostrzegła mnie wprawdzie przed nim, lecz zapewne przemawiała przez niego jedynie zazdrość. Skoro zatem mam się pożegnać z naszym cyrkiem, zamierzam skorzystać z okazji i ostatecznie pograżyć Castora. Jeśli Chi się wkurzy, cóż, wtedy skorzystamy z propozycji sponsora. Idź po notes, Tez i weźmy się za planowanie mojego

wyczynu. Musimy wymyślić prawdziwe arcydzieło holoiluzji, choćby na wypadek, gdyby miał to być nasz pożegnalny występ.

Rozdział 3

Pojawia się Madame Grzech

W pierwszym okresie szaleńczego wyścigu, którego celem było zwiększanie życiowej przestrzeni dla gwałtownie rosnącej ludzkiej populacji, Zeus nie posiadał jeszcze absolutnej kontroli nad ludźmi. W owym czasie pierwsza wielka powłoka układu solumaryjskiego zaczęła dopiero powstawać. Otoczyła dwadzieścia cztery sterraformowane lub zbudowane od podstaw światy leżące na orbicie marsjańskiej. Następnie skonstruowano trzydzieści jeden nowych światów w pasie asteroidowym. A jednak, mimo tych imponujących tworów znacząco zwiększających dostępną przestrzeń mieszkalną, ludzie ciągle obawiali się przeludnienia i bezładnie emigrowali nawet do miejsc jeszcze dla nich nieprzystosowanych.

Niektóre z najwcześniejszych „pirackich” kolonii zerwały wszelki kontakt z resztą ludzkości na wiele stuleci. Ich tajemnicza egzystencja dała początek wielu legendom. Jedną z najciekawszych opowieści dotyczyła dysydenckiej społeczności, która zaludniła nowo utworzony na marsjańskiej orbicie świat o nazwie Engel. Jego mieszkańcy słynęli z polityki opartej na bezwzględnej równości wszystkich żywych istot, a gdy odkryli na swojej planecie osobliwe stworzenia wodne o pokrewnym do ludzkiego genomie, bez wahania zaczęli się z nimi krzyżować.

Niedowiarkowie do czasu przytaczali liczne i przekonujące dowody na to, że powstanie takich mieszańców było biologicznie

i ewolucyjnie niemożliwe. W końcu jednak, wobec niepodważalnych faktów ludzko-obce hybrydy, czyli przedstawicieli czwartej generacji Engela, zgodnie uznano za nową grupę etniczną. Skóry tych osobników miały odcień zieleni, ich wodne możliwości były zdumiewające, a ich drapieżność, przebiegłość i brak sumienia stały się wręcz przysłowiowe.

Zakończenie konstrukcji marsjańskiej powłoki i degradacja Engela do statusu kalderoidu sprawiła, że przebiegli, zieloni Engelianie rozpełzli się po całym wszechświecie. Jak to często bywa z potomkami krzyżówek nie spokrewnionych ze sobą gatunków, wielu mieszkańców planetki nosiło dominujące cechy zarówno ludzi, jak i istot wodnych. Chłopcy często wyrastali na przystojnych, atletycznie zbudowanych mężczyzn, zaś większość kobiet cechowała się niesamowitą, zapierającą dech w piersiach atrakcyjnością: niełatwo je było zignorować, bliskiego spotkania z nimi zaś nie sposób było wręcz zapomnieć. W dodatku, przedstawiciele obu płci charakteryzowali się wysoką inteligencją, a równocześnie zachłannością, okrucieństwem i zawziętością. A jedną z najbardziej pociągających cór swej rasy była Sine Anura.

Owa piękna kobieta przebywała obecnie w odległości zaledwie mili od miejsca ostatniej artystycznej katastrofy Cherry'ego, na jednej z pomniejszych promenad, gdzie cyrkowe dzierzawy były tanie, a pokazy – proste i niewymyślne. Sine miała solowe przedstawienie, występując w specjalnej sali pod pseudonimem Madame Grzech. Niektórzy nazywali ją również „córka morskiego diabła”. Zarabiała na życie, stale potwierdzając swoje pochodzenie – trzy razy dziennie walcząc nago pod wodą ze wstrętnymi i krwiożerczymi morskimi bestiami.

Choć nie wszyscy w to wierzyli, morskie stwory, z którymi zmagala się Sine, były autentycznie zajadłe i rzeczywiście tak niebezpieczne, jak głosiły reklamowe plakaty wiszące nad wej-

ściem do sali. W tych codziennych podwodnych bitwach sztuczki kuglarskie zdawały się na nic. Madame Grzech zwyciężała w nich jedynie dzięki swym prawdziwie zadziwiającym umiejętnościom pływackim i bojowym.

Niewiele osób zdawało sobie również sprawę z kwestii innej natury. Sine Anurę poszukiwała mianowicie policja Federacji za co najmniej szesnaście przestępstw i dlatego dziewczyna zdecydowała się na współpracę z Solaryjskim Cyrkiem – gwarantował jej anonimowość, a z drugiej strony zapewniał całkowitą swobodę ruchów. Prawda była bowiem taka, że prawdziwy talent Madame Grzech dotyczył zupełnie innych dziedzin niż walka z potworem w akwarium.

W każdym razie (choć wydawało się to prawie nieprawdopodobne) właśnie do tego niepozornego przybytku prymitywnej rozrywki zawitał wraz ze swoją świtą, poruszający się na swoich bezszelestnych kółkach, Land'a. Milioner oczywiście nieprzypadkowo wybrał cel podróży i czas – zjawił się dokładnie w przerwie między pokazami Sine. Treem Admel, menedżer Madame Grzech oraz jakiś mężczyzna, który wyglądał na kogoś o krok od załamania fizycznego i umysłowego, zajmowali się akurat przenoszeniem pewnych szczególnie niebezpiecznych morskich stworzeń z kontenerów transportowych do akwarium pokazowego, kiedy jeden z goryli Land'y wyważył liche drzwi sali i wpadł do środka. Wtargnięcie to tak bardzo zaskoczyło i zaszokowało Treema, że błady i drżący o mało sam nie wskoczył do zbiornika, w którym jego szanse przeżycia równały się niemal zeru.

– Cyrk jest teraz zamknięty! Odejdźcie! Następny pokaz odbędzie się za dwadzieścia siedem godzin.

Land'a wjechał cicho na widownię, w chwilę później otoczyła go jego gwardia przyboczna. Milioner spiorunował wzrokiem

roztrzęsionego Treema, po czym jego twarz przybrała wyraz najwyższego oburzenia.

– Gdzie ta diabelska suka, Sine Anura?!

Menedżer ze strachu i fascynacji szeroko rozdziawił usta. Nigdy przedtem nawet nie brał pod uwagę istnienia czegoś tak niezwykłego jak człowiek, który posiadał co prawda ludzką głowę i ramiona, ale reszta ciała wyglądała jak kanister na kółkach. Otrząsnął się wszakże ze zdziwienia i spytał:

– Czy masz może na myśli Madame Grzech?

– Mam na myśli Sine Anurę. Nie obchodzi mnie pseudonim, który wybrała sobie w tym roku. Sprowadź ją albo nakarmię twoim kuprem te paskudne stwory, a potem sam jej poszukam.

Nieszczęsny Treem z rozpaczą zerknął na przerażających lokatorów akwariów i zeskoczył pospiesznie z wysokiego podium.

– Spróbuję ją obudzić, bo teraz wypoczywa. Będzie strasznie wściekła. Powiem, że jej szukasz. Jak się nazywasz, panie?

Land'a skinął głową, a wtedy jeden z pomocników podszedł do menedżera i wyciągnął w jego stronę wizytówkę zadrukowaną srebrnymi hieroglifami.

– Daj jej ten kartonik. Ona zrozumie.

– Co zrozumie? – Sine weszła bezgłośnie i stanęła za plecami nieproszonej gości. Cała grupka odwróciła się zaskoczona, by stawić czoła wrogo nastawionej, lecz niewiarygodnie atrakcyjnej dziewczynie o zielonej skórze. Madame Grzech celowała w zebranych z fotonowej broni o szerokim polu rażenia.

Milioner skinął asystentowi, który zaofiarował Sine wizytówkę. Dziewczyna nawet nie próbowała wziąć kartonika i gestem nakazała mężczyźnie, aby trzymał się z dala, równocześnie jednak skupiła czujne oczy na srebrnym napisie.

– Nie potrafię odczytać tego pisma – mruknęła. – Ale rozpoznaję zapach. Należy do księcia Land'y, który wyobraża sobie, że jest właścicielem wszystkich mieszkańców marsjańskiej powłoki.

– Do usług, pani – oświadczył wesoło bogacz.

– Opuściłeś swój rewir, Land’o. Na jakiego rodzaju padlinę polujesz tak daleko od cywilizacji?

– Interesujesz mnie ty, Sine Anuro. Werbuję utalentowane jednostki do jednego z moich maleńkich projektów. Zdziwiająca, jakie dzikie i mordercze indywidua znalazły sobie kryjówkę w Solaryjskim Cyrku.

– Dlaczego padło na mnie? Są przecież... inni.

– Ależ skąd, doprawdy niewiele jest osób tak totalnie pozbawionych sumienia i tak doskonale wyćwiczonych w kuszeniu erotycznymi powabami.

– Marnujesz czas, Land’o. Nie interesują mnie twoje projekty.

– Zapomniałaś o mojej reputacji. Pewnikiem wiesz, co o mnie mówią. Zawsze dostaję wszystko, czego chcę. Jeśli chodzi o ciebie, doskonale sprawę zaplanowałem i raczej nie masz wyjścia. Policja Federacji została już powiadomiona o twojej prawdziwej tożsamości i miejscu pobytu. Z moich informacji wynika, że szwadron łowców głów znajduje się w drodze i dotrze tu lada chwila.

– Od kiedy to współpracujesz z łowcami? – Po raz pierwszy dziewczyna straciła nieco rezon.

– Całkiem przypadkowo zawarłem jednorazowy układ – odparł Land’a beztrąsko. – Zgodnie z warunkami umowy mój statek jest jedynym w tej części powłoki, na który policja nie ma prawa wstępu. Nie tylko posiadam dyplomatyczny immunitet, ale mogę również w tym opuszczonym przez Zeusa i porządnych ludzi sektorze marsjańskiej powłoki robić, co mi się żywnie podoba. Masz prosty wybór, szczególnie że na pewno zdajesz sobie sprawę z tego, jak cię potraktują niektórzy psychole, jeśli trafisz kiedyś do więziennej celi. Po co zatem ryzykować, Madame Grzech? Ofiaruję ci przecież swoją ochronę w zamian za małą przysługę.

Przez chwilę Sine Anura intensywnie się zastanawiała. Fotonowa broń niespodziewanie zadrżała w jej ręku i dziewczyna przestała celować w mężczyzn. Jeden z ludzi Land'y natychmiast skorzystał z okazji i niczym tygrys rzucił się ku niej, próbując wybić jej broń z rąk. Milioner mimowolnie krzyknął, ostrzegając Madame Grzech przed atakiem.

Sine odskoczyła w bok i upuściła broń. Ochroniarz bezmyślnie ruszył ku pistoletowi, lecz kiedy mijał dziewczynę, jej delikatne zielone palce musnęły go po szyi tuż pod uszami. Mężczyzna, porażony został jakąś osobliwą energią, której siła dosłownie wyrzuciła go w górę. Spadając, nieszczęśnik grzmotnął w kant pokrywy pokazowego akwarium i bezwładnie spadł na podłogę niczym szmaciana lalka. Obmierzłe morskie potwory natychmiast przypatrzyły mu się z ciekawością i głodem w ślepiach.

Następny z pomocników Land'y chciał zaszarżować na dziewczynę, ale księżę powstrzymał go i szybko oszacował stan leżącego ochroniarza.

– Ten człowiek nie żyje, diabelska suko! Powinienem cię za to zabić.

– Ale tego nie zrobisz. Jak rozumiem, skoro przybyłeś do mnie osobiście, jestem dla ciebie bardzo cenna. No dobrze, Land'o! Wygrałeś. Spadajmy stąd, zanim przybędzie policja. – Odwróciła się i popatrzyła na nieruchome ciało. – Co zamierzasz z nim zrobić?

Milioner przyjrzał się zwłokom leżącego towarzysza z uczuciem pokrewnym żalowi, potem nagle podjął decyzję.

– Nie zdołamy go niepostrzeżenie wynieść, więc lepiej rzućmy ciało na pożarcie rybam. Zawsze podejrzewałem, że natura wyposażyła cię w elektromięśniowy stymulator paraliżujący, ale nie sądziłem, że jest aż tak śmiercionośny.

– Nie widziałeś jeszcze nawet połowy moich możliwości – oznajmiła dziko Anura. – W kilka sekund mogę was wszystkich pozabijać i nawet nie mrugnie mi przy tym powieka. Pamiętajcie o tym, gdyby któremuś z was przyszły do głowy jakieś głupie pomysły.

Jej wzrok padł nagle na przerażonego Treema Admela, który kulił się pod schodami prowadzącymi na wysoką scenę.

– Wyjdz, Łasico! Nie lubię świadków. Zwłaszcza takich, którzy za dużo widzieli.

Treem wynurzył się z wielką niechęcią, jego twarz dosłownie dygotała z nerwowego napięcia.

Sine Anura z ostentacyjną drapieżnością ruszyła ku niemu i nieszczęsny menedżer obserwował jej kroki ze strachem graniczącym z hipnotyczną fascynacją. Ani na sekundę nie spuścił wzroku z jej delikatnych zielonych palców. Potem, dosłownie na moment przed jej dotknięciem, rzucił Land'zie ostatnie udręczone i przerażone spojrzenie. W chwilę później palce Sine musnęły jego gołe ramiona, ledwie pieszcząc jego ciało. Dziewczyna bawiła się Treemem. Milioner przypuszczał, że menedżer znajduje się o krok od śmierci. Madame Grzech najwyraźniej sadystycznie rozkoszowała się poczuciem absolutnej władzy nad jego życiem.

– Zostaw go! – polecił jej nagle milioner. – Nie jest nam w stanie zaszkodzić, a jeden trup na dziś wystarczy. Wynośmy się stąd, zanim się tu zjawią łowcy głów.

Dziewczyna niechętnie puściła ofiarę. Zaskoczony menedżer aż się obrócił wokół własnej osi, po czym padł do stóp swej straszliwej pani. Sine kopnęła go pogardliwie.

– Jeśli kiedykolwiek opowiesz komuś o tym dniu, wrócę i dokończę to, co zaczęłam.

Land'a poinstruował swoich ludzi, którzy podnieśli ciało eks-kamrata z podłogi i wrzucili do zbiornika, sam zaś patrzył w

milczącej zadumie, jak morskie stworzenia rozpoczynają biesiadę. Wiedział oczywiście, że w tym straszliwym zbiorniku Sine Anura trzy razy dziennie figlowała ze śmiercią, zabawiając nabożnie wpatrzony w nią tłum. Pomyślał, że co do joty potwierdzają się zdobyte wcześniej na jej temat informacje. Madame Grzech z pewnością zasłużyła na reputację jednej z najbardziej przebiegłych i najniebezpieczniejszych kobiet w całym solaryjskim wszechświecie.

* * *

Maq Ancor stał na krawędzi cyrkowego lądowiska i z ostrożnym zainteresowaniem przypatrywał się przybywającym złowieszczym szwadronom federacyjnych łowców głów. Odkąd odszedł z gildii zabójców, która zapewniała wsparcie związkowe i względną ochronę przed policją, nieustannie czuł się wystawiony na odstrzał. Szczegółowy opis jego krwawych wyczynów znajdował się obecnie w policyjnym archiwum i agentów służb bezpieczeństwa nic już nie powstrzymało przed jego aresztowaniem i skazaniem za pół setki wykonanych egzekucji, obecnie przemianowanych na morderstwa.

W zwyczajnych okolicznościach Maq nie bał się żadnej istoty ludzkiej. Dzięki perfekcyjnemu zawodowemu przeszkoleniu i wrodzonym zdolnościom plus wyspecjalizowanej broni, którą zdołał zachować, potrafił bez trudu pokonać dziesięciu przeciętnych, normalnie uzbrojonych policjantów. Jednakże mężczyźni w czarnych tunikach reprezentujący formację szwadronów łowców głów stanowili problem zupełnie odmiennego rodzaju. Poruszali się tylko doskonale zgranymi trójkami, byli wyposażeni w najnowocześniejszą broń i tarcze nieosiągalne dla większości czarnorynkowych handlarzy, ponadto biegłości w sztukach walki mógłby im pozazdrościć nawet zawodowy zabójca. Na szczęście praw-

dopodobieństwo, że właśnie jego szukają łowcy, było jak jeden do kilku milionów. Tym niemniej, mimo tej świadomości, obawa aż zmroziła mu serce.

Policyjne szwadrony zebrały się na lądowisku obok dyrektora cyrku, który pospiesznie poprowadził łowców pobliską promenadą. Ancor poczuł ulgę. Prędkość ich odejścia oznaczała, że dokładnie znają cel, a kierowali się wyraźnie ku tej części cyrku, w którą Maq jeszcze się nie zpuścił.

Eks-zabójca odprężył się i ponownie skupił na kosmolotach, które stały na lądowisku.

Próbował odgadnąć tożsamość swego nieznanego sponsora. Zbadawszy pasy w sąsiedztwie cyrku, uznał, że do tajemniczego pracodawcy musi należeć któryś z prywatnych statków egzosferycznych. Szczególnie podejrzana wydał się Ancorowi z pozoru niepozorna maszyna o wysokim i tęnym kadłubie, ale za to z osobliwie rozrośniętym zespołem napędowym, dzięki któremu statek z pewnością należał do najpotężniejszych we wszechświecie. Wszystkie oznaczenia i napisy informacyjne sporządzono w zupełnie nie znanym Maąowi języku. W podejrzaniach utwierdziła Lwa obecność barczystego i sprężyście przechadzającego się uzbrojonego strażnika. Bez wątplenia nie był jednym z zatrudnianych dorywczo ochroniarzy. W dodatku wyglądał na osobnika przenikliwego i bystrego.

Ancor wycofał się na szeroki pas trawy przy krawędzi lądowiska, położył się i udawał, że śpi. Głowę okrył kolorową chustką. Przez jaskrawy, nieco przezroczysty materiał bacznie obserwował statek; miał nadzieję, że żadna z przebywających na pokładzie osób nie dostrzeże jego dyskretnego zainteresowania. Nie wiele zauważył, choć zainteresowała go nadzwyczaj atrakcyjna zielonoskóra dziewczyna, którą wprowadzono przez właz. Zanim weszła, zlustrowała wielki statek z miną jawnie sugerującą, że wi-

dzi go po raz pierwszy. Maq pomyślał, że zapewne zatrudniono ją do zabawiania bogatego właściciela egzostatku.

Nawet podczas tych rozmyślań Ancor nie zapomniał o głównym przykazaniu zabójcy, czyli pilnowaniu własnego tyłka. Wykrywacz ruchu, który miał na nadgarstku, czuły na wszelkie zmiany nieruchomego dotąd otoczenia, powiadomił swego właściciela, że zbliża się do niego nieznajomy na kółkach. Maq nie poruszył się, lecz na wszelki wypadek odbezpieczył schowaną pod płaszczem broń. W razie czego w dowolnej chwili mógł zabić intruza. Chociaż obcy celował prosto w niego z fotonowego pistoletu, zabójca tylko nieznacznie się uśmiechnął się na myśl o jego naiwności.

Bezgłośnie kółka zbliżyły się i zatrzymały.

– Rusz, panie, choćby mięśniami – mruknął cicho przez szmatkę Lew – a padniesz martwy.

Śniade czoło nieznajomego pociemniało jeszcze bardziej.

– Sądzę, że to ja mam przewagę. – Jasne niebo za głową mężczyzny utrudniało rozróżnienie jego rysów, jednak Maq nie mógł nie dostrzec świadczącej o pewności siebie wydatnej szczęki i wręcz wypisanej na czole władzy i ogromnego intelektu. – Kim jesteś? I dlaczego szpiegujesz mnie i mój statek?

– Obserwowałem was i zastanawiałem się.

– Nad czym?

– Dlaczegoż człowiek posiadający cały orszak bez wątplenia świetnie wyszkolonych ochroniarzy pragnie zapłacić tak wiele, by zatrudnić jeszcze jednego.

Mężczyzna na kółkach wyraźnie się rozluźnił.

Ach, zabójca Ancor, jakże się cieszę! Spodziewałem się ciebie. Nie jestem jednak zadowolony z faktu, *i.r* sam mógłbym odstrzelić głowę jednemu z najsłynniejszych killerów.

– Zapewniam cię, panie, że trwasz w błędzie. Miałem cię na muszce, odkąd wszedłeś w pole widzenia. Twoja fotonowa broń nie zadziała, ponieważ włączyłem wokół siebie pole neutralizujące.

Na dowód swoich słów Maq wyciągnął rękę ku wycelowanemu w swoją skroń pistoletowi nieznajomego i nacisnął spust. Nic się nie zdarzyło. Obcy zbadał broń z nachmurzoną miną, po czym odrzucił ją gniewnie i z odrazą.

– Strasznie cię przepraszam, zabójco Ancor! Niech każdy robi to, co potrafi najlepiej. Powinienem był wiedzieć, że mam do czynienia z ekspertem. Zapraszam cię zatem na pokład mojego statku. Mamy do przedyskutowania wiele spraw. Może trzeba też będzie zachęcić do współpracy jednego z twoich przyszłych kamratów.

Rozdział 4

Odlot

Chi Nailera obudził uporczywy dźwięk, który przeniknął przez ściany jego wielkiego biura. Okna pomieszczenia wychodziły na cyrk. Dyrektor szybko zidentyfikował odgłos jako nierówny warkot silnika stratosferycznego statku w kłopotach. Przez lornetkę zauważył jedną z towarowych maszyn cyrku, która z powodu awarii wyraźnie nie mogła wylądować.

Nailer dopadł swego centrum komunikacyjnego i natychmiast połączył się z ekipą techniczną.

– Jaki jest status tego frachtowca nad strefą pięć?

– Uważasz, że to frachtowiec, Chi? Z naszego radaru wynika, że maszyna jest znacznie mniejsza.

– To nasz świat mocno się pomniejszy, jeśli ten statek spadnie w sam środek cyrku – odwarknął dyrektor z irytacją. – Gdyby doszło do najgorszego, w którym dokładnie miejscu się roztrzaska?

– W samym środeczku strefy piątej. Tuż przy sali Harry’ego Castora.

– No tak, mogłem się tego domyślić! Natychmiast każ opróżnić całą strefę. Mają stamtąd zniknąć absolutnie wszyscy. Niech czekają w bezpiecznej odległości, aż nie obwieszczę, że niebezpieczeństwo minęło.

– Rozumiem, Chi. Natychmiast rozpoczynamy ewakuację. Masz w planie jakieś duże widowiska na dziś wieczór?

– Raczej nie, przynajmniej na razie. Dlaczego pytasz?

– Kierownik bloku energetycznego skarży się, że nie zgłoszono mu wzmożonego poboru mocy i marudzi, że naruszono jego kompetencje i tak dalej... Podobno ktoś pobiera ilość energii, która zazwyczaj wystarczała całemu cyrkowi na pół dnia. A mamy dopiero poranek.

– Każ mu wyśledzić, dokąd trafia ta energia. Potem niech strażnicy złapią Cherry’ego.

Pilnujcie go, póki nie dokonam jego kremacji.

– Do cholery! Nie możesz aresztować Cherry’ego tylko za pobór mocy. Może robi to całkiem legalnie.

– Ten stary drań nawet spółdony nie został legalnie!

– Sugerujesz, że ten łomoczący stratostatek to hologram terenowy? Tylko że... Chi, rzeczywiście mamy nad głowami jakąś maszynę. Widzimy ją na naszych ekranach.

– Do diabła, sam nie wiem, co sugeruję. Jednakże fakt, że statek ma się roztrzaskać w sektorze Harry’ego Castora wygląda cholernie podejrzenie.

W pobliżu centrum piątej strefy Nailer wjechał po rampie awaryjnej do lokalnego punktu kontroli technicznej. Uszkodzona maszyna wyraźnie już zmniejszyła wysokość i wypełniała przestrzeń kapryśnym i z każdą sekundą bardziej niepokojącym warcotem. Chi raz tylko rzucił okiem na ekrany i wiedział, że ma do czynienia z cyrkowym frachtowcem, w dodatku transportującym benzynę i inne łatwopalne płyny.

Niewielu widzów wierzyło, że statek faktycznie się rozbije, a jeśli nawet, prawie wszyscy byli przekonani, iż sami znajdują się w bezpiecznej odległości od miejsca kolizji. Nailer znał wszakże charakter ładunku i aż przeszły go ciarki na myśl o skutkach katastrofy. Zadzzwonił po dodatkowych ludzi z ochrony i kazał przyspieszyć ewakuację sektora. Szczególną niechęć do odejścia wykazywali cyrkowi operatorzy, zapewne obawiając się, że podczas ich nieobecności ktoś splądruje im kabiny projekcyjne. A Harry Castor wręcz przymocował się do klamki sali pokazowej łańcuchem i połknął kluczyk.

Gdy stratostatek od ostatecznego upadku dzieliły zaledwie sekundy, Nailer podbiegł z nożycami do drutu, przeciął łańcuch i jednym uderzeniem pozbawił przytomności opierającego się Castora, po czym wywlókł go z pomieszczenia. W tym momencie z rampy zjechał jego pojazd, prowadzony przez technika z zespołu naprawczego, toteż Chi wrzucił nieprzytomnego magika do bagażowej paki, sam zaś chwycił się poprzecznej listwy nad kabiną kierowcy i tak uwieszony na zewnątrz nakazał krzykiem natychmiastowy odjazd. Pojazd błyskawicznie oddalił się od niebezpiecznego miejsca. W kilka sekund później frachtowiec spadł z hukiem, który wstrząsnął całym terenem, a następnie eksplodował, zmieniając się w przerażającą kulę ognia. Ziściły się najgorsze obawy Nailera.

W rozsądnego dystansu Chi rozkazał zatrzymać pojazd, po czym wskoczył na dach, by lepiej ocenić rozprzestrzeniający się pożar. Języki płonącej benzyny przesuwały się po powierzchni, prawdopodobnie jednak nie powinny przekroczyć strefy piątej.

Krzyk kierowcy skłonił dyrektora cyrku do spojrzenia w dół. Harry Castor obudził się, wygramolił z pojazdu i ruszył w stronę płomieni. Wrzeszczał coś przy tym bez ładu i składu wysokim głosem. Nailer zeskoczył z dachu i w ostatniej chwili rzucił się szczupakiem, powalając magika na ziemię.

– W coś się wpakował, pieprznięty stary lisie? – spytał.

– Ja jestem pieprznięty? Sam jesteś pieprznięty! – Castor dosłownie płakał z wściekłości.

– Puszczasz mu to płazem?!

– Co puszczam płazem? 1 komu? Cherry’emu, oczywiście, temu parszywemu oszustowi Cherry’emu!

– Chcesz mi wmówić, że mam przed sobą jedynie terenowy hologram?

– Oczywiście, że tak, idioto! Nie dostrzegasz drżenia obrzeży obrazu w punktach, gdzie rzutniki nie zostały odpowiednio wyprofilowane? Widziałeś kiedyś płomień w tym kolorze? O rany! Dlaczego zawsze otaczają mnie sami głupcy?

Castor nadal mamrotał coś do siebie, Nailer natomiast podbiegł promenadą do najbliższego miejsca, gdzie wygłodniałe płomienie lizały pomalowaną ścianę. Potrzebował zaledwie sekundy, aby przekonać się, że farba nie została tknięta przez ogień, a języki płomienia stanowiły jedynie chłodną iluzję. Przeklinając jak obłąkaniec, dyrektor cyrku wrócił do radia w pojeździe.

– Centrum techniczne, zabierzcie się za to! Odetnijcie od strefy piątej prąd, każde źródło, z którego mógłby skorzystać Cherry.

– Przyjąłem polecenie, Chi. Coś taki wkurzony?

– Tak naprawdę nic się nie stało. Kolejna holosztuczka cholernego Cherry’ego.

– Mylisz się, Chi. Statek rzeczywiście runął na ziemię. Śledziliśmy jego upadek. Tak jak mówiłem, nie był to frachtowiec... Jakaś mniejsza maszyna.

– Odetnijcie moc – powtórzył ze znużeniem Nailer.

– 1 złapcie Cherry’ego. Już ja go załatwię... Zimny pożar! Sam będzie zimny, gdy tylko dostanie się w moje ręce.

Kiedy odłączono moc, okazało się, że wiele przedmiotów tylko wyglądało na zniszczone. Niemniej jednak, podczas szacowania strat Chi uprzytomnił sobie obecność źródła prawdziwego ciepła. W końcu poznał prawdę – pod kamuflażem iluzji bezzalógowej, zdalnie sterowany stratosamolot rzeczywiście spadł z powietrza i eksplodował w samym środku sali Castora. Szkody były dość poważne, ale na szczęście dalekie od sugerowanych przez holoiluzję.

Podczas gdy dyrektor czekał na ekipę strażaków, jego uwagę przyciągnęło jakieś poruszenie po drugiej stronie pomieszczenia. Ruszył ku zamieszaniu i znalazł tam Cherry’ego. Magik – ubrany jak zwykle w gładką białą togę i najwyraźniej bardzo pijany – próbował stawiać opór umundurowanym strażnikom. Na widok zbliżającego się Nailera odepchnął napastników i wyciągnął ręce ku niebiosom w geście, który prawdopodobnie miał świadczyć o jego potędze.

– Ja, Cherry, przynoszę wam iluzje bardziej rzeczywiste niż sama rzeczywistość...

– A ja, Chi Nailer, przygotowałem dla ciebie karę bardziej paskudną niż czyściec – odburknął Nailer.

– To nie tak! Kończę z cyrkiem, Chi. Nie możesz mnie tknąć.

– Ależ mogę, zapewniam cię, że mogę, Cherry! Za widoczne wokół uszkodzenia zapłacisz około pięciu milionów kredytów, że nie wspomnę o odszkodowaniu, którego zażąda cyrk.

Cherry zakolęsał się pijacko. Potem – choć dyrektorowi wydało się to niewiarygodne – odwrócił się i usiłował wejść wprost w żywy ogień, najwidoczniej przekonany, że jaskrawe płomienie stanowią część jego holoiluzji. Przeszedł chyba z tuzin kroków, zanim dym i ciepło wyostrzyły jego zamroczone alkoholem zmysły. Wycofał się zabawnym, lekkim galopem. Toga mu się tliła, twarz przybrała barwę popiołu. Nagle całkowicie wytrzeźwiał, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie.

– Ja tego nie zrobiłem, Chi! Przysięgam na Boga, że tego nie zrobiłem! Stworzyłem jedynie iluzję. Nie wiem, skąd się wziął ten statek. Na Boga, te płomienie są prawdziwe! Ale ja jestem niewinny. Uwierz mi, Chi! Błagam, uwierz mi!

Nailer odwrócił się do ludzi z ochrony.

– Zabierzcie tego idiotę do mojego biura i ocućcie. Zanim go wydamy policji, muszę mu zadać kilka pytań. Aresztujcie też dwoje jego asystentów, Teza i Carlę. Do diabła, Cherry jest zbyt leniwy, żeby bez niczyjej pomocy zmajstrować coś takiego.

Dyrektor upewnił się, że wokół jest bezpiecznie, po czym polecił swoim ekspertom odszukanie i zbadanie kawałków zdalnie sterowanego samolotu, który spowodował faktyczną szkodę. Nailer miał nadzieję, że uda im się zidentyfikować osobę odpowiedzialną za wysłanie maszyny. Cherry słynął z megalomanii oraz skłonności do złośliwych i nieodpowiedzialnych sztuczek, ale przecież daleko mu było do niebezpiecznego przestępcy, który zwałałby ludziom na głowy latające cysterny. Najwyraźniej ktoś wykorzystał jego głupotę dla siebie tylko wiadomych celów.

Większość drobnych szkód została już naprawiona, gdy nagle Chi Nailer otrzymał telefon z biura.

– Mamy problemy, Chi. Facet od burmistrza i jeszcze jakiś jeden przynieśli pismo z dyplomatycznym glejtem dla Cherry’ego i obojga jego asystentów.

– No cóż, na razie nikomu ich nie wydam. Jeszcze z nimi nie skończyłem.

– W takim razie, lepiej tu przyjdź, Chi. Nie jestem w stanie sam powstrzymać tych ludzi.

Kiedy dyrektor cyrku wbiegł po schodach do biura, stanął twarzą w twarz z nieśmiało triumfującym Cherryem, nerwowym Tezem o pobladłym obliczu i niesamowicie rozzłoszczoną Carli. Dopiero jednak gdy zobaczył zadowolonego z siebie i spokojnego półczłowieka, pół-maszynę imieniem Land’a, głośno zaklął. Cywil z biura burmistrza był uprzejmy, lecz twardy. Oświadczył, że „troje osobników” przebywających w areszcie Nailera jest w sensie prawnym obywatelami niezależnego państwa Hammanite z marsjańskiej powłoki, które to państwo nie uznaje prawa Federacji do przetrzymywania jego mieszkańców.

– Hammanite? Bzdury! – krzyknął dyrektor. – Cherry pracuje w moim cyrku od dziecka. Nigdy w swoim życiu nawet nie odwiedził państwa Hammanite.

– Może powinienem coś panu wyjaśnić. – Land’a podjechał do niego bezgłośnie. – Mój statek w świetle prawa stanowi część terytorium państwa Hammanite, a ta trójka zasilila niedawno siły mojego personelu. W ten sposób przyjęli nasze obywatelstwo, a zatem w chwili obecnej osłania ich dyplomatyczny immunitet.

Nailer aż się opluł z oburzenia.

– Słyszałem, Land’o, że kręcisz się po świecie i zbierasz śmieci. Tym razem wszakże popełniasz błąd. Z Cherry’ego żaden tam cenny nabytek. Facet ma spore długi i jest upierdliwy do potęgi. Chodzące kłopoty. Zawsze taki był i zawsze będzie.

– Magik Cherry posiada pewne umiejętności, które uważam za niezwykle użyteczne.

– Cherry! – odezwał się z rozpaczą głosie Nailer. – Do diabła, nie masz pojęcia, w co się pakujesz. Natychmiast wykręć się z tego zobowiązania. Póki jeszcze możesz!

– Zrezygnowałem z cyrku – odparł dzielnie iluzjonista. – Po tylu latach ciężkiej pracy ktoś wreszcie docenił mój talent.

– Posłuchaj, pokręcony, stary wariacie... Jeżeli daruję ci odszkodowanie za dzisiejszy wyskok, zostaniesz?

– Przykro mi, Chi! Nie mogę dłużej marnować swojego wielkiego talentu.

– Przez wzgląd na ciebie, mam nadzieję, że będziesz myślał to samo, gdy obudzisz się jutro na kacu. – Odwrócił się do Teza i Carli, w tym momencie wszakże interweniował mężczyzna z biura burmistrza.

– Pozwoliliśmy ci się wygadać, Nailer i nie przedstawiłeś najmniejszych powodów, dla których obywatele państwa Hammanite nie mieliby wrócić na swoje terytorium. Nie przeszkadzaj im dłużej, w przeciwnym razie oskarżymy cię o złamanie legalnych przywilejów obywateli obcego państwa.

– Legalnych! – wrzasnął Nailer. – Co w tej całej sprawie jest legalne? Tych troje wrobiono w hammanickie obywatelstwo i pozwala im ono uniknąć odpowiedzialności za przestępstwa, których w zasadzie nie popełnili. Wymknęli się federacyjnej policji, lecz zostali oszukani. Mamy tu zatem do czynienia zarówno z przymusem, jak i z uprowadzeniem, a pan stoi sobie spokojnie przede mną i rozprawia o legalności.

– Radzę ci, lepiej powściągnij swój niewyparzony język, Nailer, bo tylko pogarszasz swoją sytuację.

– Wynocha stąd! Cała banda! – warknął Nailer zmęczonym głosem. – Wiecie, co? Nagle dostrzegłem sprawiedliwość losu w całej tej aferze. Tak, tak, sprawiedliwości stało się zadość. Cherry

był moim odwiecznym utrapieniem, a tu nagle przybywa Land'a i ni stąd, ni zowąd bierze na swoje barki moje jarzmo i mój krzyż. Bardzo zabawna sprawa... Kiedy popatrzy się na nią we właściwy sposób. Tak przy okazji, Land'o, jeśli chcesz z powrotem szczątki swojego zdalnie sterowanego samolotu, możesz je zabrać w każdej chwili. Absolutnie nie chciałbym zostać aresztowany za pogwałcenie twoich niewątpliwie legalnych praw własności.

Rozdział 5

Wyprawa w poszukiwaniu Słońca

Na pokładzie egzosfeicznego statku, w luksusowej, wręcz kąpiącej od bogactwa kabinie, Cherry, Sine Anura i Maq Ancor siedzieli wokół okrągłego stołu. W centrum jego solidnego blatu wtopiono błyszczącą platynową tarczę, na której koncentryczne złote pasy nabite drogocennymi kamieniami stanowiły stylizowany wizerunek solaryjskiego wszechświata. Jednakże w samym środku tarczy, w miejscu, które Cherry przedstawił w swoim pokazie (zgodnie z potocznymi wyobrażeniami) jako wielką czarną osobliwość, tkwił ogromny, cudowny rubin. Idealnie oszlifowany, lśnił intensywniej niż wszystkie pozostałe. Reagując na stanowcze myślowe polecenia pochodzące z mózgu Land'y, wspomagający życie wózek jeździł powoli w tę i z powrotem wzdłuż krawędzi stołu. Ten bezładny ruch wyraźnie sugerował rosnące zniecierpliwienie milionera, jednak jego głos i zachowanie pozostały absolutnie opanowane.

– Naturalnie zastanawiacie się, dlaczego zadałem sobie tyle trudu, aby zebrać tutaj waszą trójkę. Odpowiedź jest prosta: mam

dla was zadanie, które wymaga szczególnej mieszanki talentów i umiejętności. Przez wiele lat prowadziłem badania nad znalezieniem najlepszej y. możliwych kombinacji cech niezbędnych do jego realizacji, zaś szereg dalszych lat poświęciłem na wyszukanie i zlokalizowanie najlepszych wykonawców. Stanowicie starannie wyselekcjonowany zespół, każde z was wybrałem z tysiąca potencjalnych kandydatów. Ponieważ ogromnie mi zależy na pozyskaniu waszej współpracy, oferuję wam zapłatę hojniejszą niż potraficie sobie wyobrazić. Ponadto pozwolę sobie przypomnieć, że wszystkich was poszukuje policja Federacji za takie czy inne przestępstwa i najbezpieczniejsi będziecie jako moi pracownicy.

– Nie zrzuciłem tego stratosamolotu – jęknął nieszczęśliwie Cherry.

– Twój ostatni pokaz stanowił istne arcydzieło iluzji i znakomity finał kariery w cyrku, magiku Cherry. Nie ukrywam, że wzbogaciliśmy go o solidną dawkę realizmu, lecz talent do stwarzania iluzji bardziej rzeczywistych niż rzeczywistość zyskuje nieopisany potencjał, jeśli skrywa się pod nim inna rzeczywistość... Hmm, zresztą sam zobaczysz.

Odwrócił się do Sine Anury, która bacznie obserwowała swego nowego pracodawcę zielonymi oczyma i z lekko szyderczym uśmiechem na wargach, chociaż od czasu do czasu jej spojrzenie wędrowało ku wyrazistym i przyjemnym, choć brzydkim rysom Lwa.

– Z kolei jeśli chodzi o ciebie, Madame Grzech, posiadasz równie unikalny talent. Twoją specjalnością jest erotyczne kuszenie o niemal hipnotycznej mocy, które zapewnia czasem nieograniczoną władzę w sytuacjach, gdzie siła ramion nie na wiele się zdaje. Jakkolwiek, zanim któryś z was zdecyduje się wskoczyć do jej łóżka, uprzedzam, że nasza nowa przyjaciółka posiada także układ elektromięśniowy, który odziedziczyła po wodnych przodkach i dzięki któremu potrafi dotykiem wyemitować napięcie do

sześciu tysięcy woltów. Mimo swoich powabów, a może wdaśnie z ich powodu, Madame Grzech jest damą straszliwie morderczą.

W tym momencie Sine Anura przypadkowym z pozoru ruchem położyła dłoń na platynowym stole. Na widok jej palców Land'a gwałtownie oderwał własne od metalu. Ręce Ancora jak zwykle spoczywały w pobliżu kabury z bronią, więc był poza zasięgiem dziewczyny. Cherry natomiast skoczył na równe nogi i krzyknął z lęku, kiedy Madame Grzech figlarnie musnęła jego ramię.

Land'a obrzucił ją gniewnym spojrzeniem, potem przeniósł uwagę na Maq'a.

– A cóż mam powiedzieć o tobie, zabójco Ancor? Jesteś niezwykle wprost utalentowanym w sztukach walki najemnikiem, niebezpiecznym, zaciekłym i konsekwentnym. Można by cię nazwać głodną ludzką osą. Zostaniesz przywódcą waszego zespołu. Sądzę, że w czasie waszej misji doskonale wykorzystasz wszystkie swoje talenty.

Lew przypatrywał mu się przez chwilę.

– Jeszcze nam nie wyjaśniłeś, na czym ma polegać zadanie, do którego potrzebujesz tak wielu uczestników.

– Właśnie miałem to zrobić, zabójco Ancor. Zanim wszakże przejdziemy do szczegółów, porozmawiajmy o solaryjskim wszechświecie.

Land'a osobliwie się uniósł na bezgłośnym wózku. Choć był uzależniony od groteskowej maszyny wspomagającej życie, cała grupka odniosła nagle wrażenie, że milioner w jakiś sposób nad nimi góruje. Z tej wysokości przesunął po kolejnych osobach tak intensywnym, że prawie zniewalającym spojrzeniem.

– Niesamowite w związku z Solarią jest to, jak mało tak naprawdę o niej wiemy. Urodziliśmy się wszyscy w regionie zwanym „przestrzenią asteroid”, czyli w części kosmosu położonej między koncentrycznymi powłokami orbity marsjańskiej i orbit

asteroidowych. Z książek, które przeczytaliśmy wynika, że wewnątrz marsjańskiej powłoki znajdują się mniejsze pod powłoki, zaś poza powłoką asteroid podpowłoki większe. Poza tym wiemy niewiele. Czy Solaria jest ograniczona czy też nieskończona? Szokujące, lecz nikt z nas nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie.

Przerwał na moment, jakby oczekiwał protestu, lecz żaden z jego nowych pracowników nie zareagował. Cherry rozcierał swoje porażone prądem ramię, Maq Ancor wprawdzie słuchał intensywnie, lecz się nie sprzeciwiał, zaś Sine Anura kontemplowała lwią głowę zabójcy z uczuciem pokrewnym podziwowi. Land'a podjął więc przemowę:

– Sądzę, że najlepszym sposobem zrozumienia Solarii jest krótki rys historyczny. Najwcześniejsze wzmianki, jakie udało mi się odnaleźć, niezmiennie mówią o „świecie”, sugerując, że na początku istniał tylko jeden świat i jedno słońce. Później doszukałem się odwołania do „szesnastu światów na ziemskiej orbicie”. W tekstach z tego okresu regularnie pojawia się słowo terraformowanie. Natknąłem się też na pierwszą informację o Zeusie - „fantastycznym wynalazku cybernetycznym, który nadzoruje grawitacyjne rozsiewanie w przestrzeni pyłu i gazowych chmur oraz dostarcza niewyobrażalnie wielkie agregaty z regionów, do których żaden człowiek nie jest w stanie dotrzeć”.

– Sądzę, że możemy bezpiecznie przyjąć, iż pierwotny świat cechował się – podobnie jak nasz – nierównomiernym, lecz nieprzerwanym wzrostem populacji. Po pewnym czasie jakimś sposobem ludzie zdołali powołać do życia drugi świat. A później jeszcze raz, i jeszcze raz... Aż na jednej orbicie pojawiło się ich szesnaście. Następna wyszukana przeze mnie notka wspomina już o Jedenastu światach na wenusjańskiej orbicie i dwudziestu czterech na marsjańskiej”. W tekstach tych zainteresował mnie pewien szczegół – w pierwszych latach daje się wyraźnie zauważyć

partnerską współpracę między ludzkimi konstruktorami i Zeusem. W owym czasie człowiek nie powierzył jeszcze całkowicie swego losu maszynom, zaś Zeus był wówczas raczej kosmicznym kompleksem energetyczno-konstrukcyjnym niż arbitralnym dysponentem naszego przeznaczenia, jak to ma miejsce dziś.

– Wiesz cokolwiek na temat powodów, które spowodowały ochłodzenie stosunków ludzi z Zeusem? – spytał z zainteresowaniem Ancor.

Niewiele, wydaje mi się jednak, że miało to coś wspólnego z tworzeniem powłok. Jako że Zeus posiadał ła spotkania z Zeusowymi cybernetycznymi terminatorami – katarami, które tropiły je bezlitośnie niczym psy gończe rannego lisa.

– Czego zatem oczekujesz od nas? – spytał Ancor.

– Wasza misja stanowić będzie ukoronowanie moich dotychczasowych poszukiwań i wielu lat mozolnego planowania. Chcę, żebyście się wyprawili prosto w centrum Solarii. Podczas ekspedycji będziecie się bacznie rozglądać, rejestrować każdy drobiazg i starać się wydobyć fakty spod ludzających pozorów. Polecicie na poszukiwanie pierwszego słońca, tego, które tchnęło życie w rodzaj ludzki. Marzyłem o tym projekcie przez całe życie, niestety jestem uwięziony przez tę obrzydliwą aparaturę, toteż prawdopodobnie nie przeżyłbym trudów takiej podróży. Wy zatem staniecie się moimi oczyma i uszami, zadacie moje pytania i w moim imieniu będziecie się dziwić. Za mnie odkryjecie prawdę o naszym świecie.

Przemawiał teraz wyraźnie do samego Ancora. Tych dwóch mężczyzn osiągnęło niesamowity stopień porozumienia, który znacznie wykraczał poza kontakt słowny. Sine Anura i Cherry czekali w milczeniu na rezultat głębokiego namysłu ich towarzysza. W końcu Maq się odezwał:

– Czy nie mówiłeś, że taka podróż jest niemożliwa? Jak zatem mamy ją odbyć?

– Już tłumaczę, zabójco Ancorze. Wspomniałem przed chwilą, że początkowo na każdej orbicie istniało wiele niezależnych światów, które dopiero później zostały wcielone w powłokę. Nie zostały one jednak zniszczone – ich orbity starannie wyrównano, więc światy te niejako tkwią w miejscu uwięzione w kalderach. Wirują wokół własnej osi, niczym łożyska kulkowe w „koszyczku”.

– Tak, kalderoidy. Co z nimi?

– Moje badania sugerują, że międzyprzestrzeń oddzielająca kalderoidy od powłok, w których tkwią, może stanowić potencjalne przejście na drugą stronę powłoki, a zatem niewykluczone, że i dalej, do rubieży zewnętrznych.

– Twierdziłeś jednak, że taka podróż jest niemożliwa – upierał się Lew. Była niemożliwa, zabójco Ancor, była. Po prostu nie istniał statek zdolny znieść szczególne warunki próżni i charakterystycznej dla międzyprzestrzeni turbulencji. Przez wiele lat pracowałem nad taką maszyną i oto powstała. Posiada niezbędną wytrzymałość i trwałość, na pewno przetrzyma w znanych nam warunkach międzyprzestrzeni. Ma prawdziwie kosmiczny potencjał i zasoby mocy, które pozwolą jej dotrzeć do centrum Solarii i wrócić. Może też swobodnie poruszać się w atmosferze, latać, krążyć, wisieć w powietrzu oraz lądować niemal w każdym miejscu, nie tylko na specjalnie przygotowanym lądowisku. Nigdy przedtem nie istniał taki statek.

– Czy posiada także uzbrojenie? – spytał Ancor.

– Wystarczające do zwycięstwa w małej wojnie... Mam nadzieję, że cię usatysfakcjonuje, zabójco.

– Zapewne. Jeśli poprawnie pojąłem twoją opowieść, panie, zagrożenia ze strony ludzi i środowiska będą najmniejszymi z na-

szych zmartwień. Skoro Zeus jest paranoikiem i zabija za byle pytanie, jak zareaguje na wieść o prawdziwej ekspedycji?

– Odpowiedź brzmi tak: staniesz przeciwko niewyobrażalnej potędze, która zbudowała solaryjski wszechświat. Ale ktoś musi rzucić wyzwanie temu choremu porządkowi i dlatego potrzebuję na przywódcę ekspedycji kogoś takiego jak ty. I zaraz ci wytłumaczę, z jakiego powodu nazywam czekające was zadanie wyzwaniem, nie zaś otwartą wojną. Nie pragnę wcale zniszczyć Zeusa. Gdy będziecie przemierzać inne powłoki, chcę, abyście poszukiwali sedna jego strategii działania, odkryli wszystkie, faktycznie przyświecające mu cele. A potem dotrzecie bezpośrednio do niego. Sprawdźcie, czy da się przywrócić starą więź między nim i ludzkością. Co ty na to, zabójco Ancor?

– Uważam – zaczął Lew – że jeśli cokolwiek mogłoby mnie skłonić do wzięcia udziału w tej szalenie ryzykownej wyprawie, to właśnie odnowienie tego dialogu. Jestem do twoich usług, Land’o.

Wreszcie spotkanie się zakończyło i milioner odprawił przeżalonego i przygnębionego Cherry’ego oraz zamyśloną Madame Grzech. Kiedy jednak Ancor odwrócił się do wyjścia, człowiek na kółkach przywołał go z powrotem.

– Słowo na osobności, zabójco Ancor. Zauważyłeś już pewnie, że przeprowadzam naprawdę gruntowne rozpoznanie, zanim podejmuję decyzję. Wiem na przykład więcej o tobie niż twoja rodzina i wszyscy przyjaciele razem wzięci. Na dwa pytania związane z tobą nie znalazłem wszakże odpowiedzi. Po pierwsze: dlaczego ktoś z twoim pochodzeniem i wykształceniem został zabójcą? Po drugie... Wiem, że zostałeś wyrzucony z gildii. Dlaczego jej członkowie zareagowali tak gwałtownie?

– Twoje rozpoznanie – mruknął tajemniczo Lew – może co najwyżej ujawnić zaistniałe fakty. Natomiast motyw postępowania

nia każdego człowieka zawsze pozostają dla innych zagadką, chyba że sam zechce im je zdradzić.

Rozdział 6

Dziwni towarzysze

– Słuchaj, Carla – odezwał się w końcu Tez – przestań na mnie naskakiwać. Prawda jest taka, że nie mam najmniejszej ochoty zostać obywatelem Hammanite. Wolę jednak to niż dziesięć lat w policyjnym pudle.

Dziewczyna nie była przekonana.

– Gdybyś nie pomógł naszemu stukniętemu Cherry’emu przy jego idiotycznym projekcie, nie mielibyśmy kłopotów z policją.

– Rozmawialiśmy już o całej sprawie ze sto razy – odburknął Tez ze znużeniem. – Cherry jest szefem, zgadza się? Robi przedstawienia i płaci nam pensje. Kiedy potrzebuje terenowego hologramu, tworzę mu go. Co innego miałem zrobić? Splunąć mu w twarz?

– Dlaczego sądzisz, że Cherry rzeczywiście zamierza zbudować ten parszywy holoteatr?

– Pokazał mi pieniądze, Carla. Sporo pieniędzy. Wystarczająco dużo, by przebić wszystkie inne cholerne oferty pracy.

– Przekupstwo? Za to, że zrezygnowaliśmy z obywatelstwa Federacji?

– Poza Federacją istnieje wiele innych terytoriów.

– Wymień mi takie, w których odbywają się holopokazy? Wszystkie te krainy zaludniają tępi, tłuści, mali ludzie, którzy po-

żerają kobiety oczyma, a potem zabierają je do swoich haremów. Interesuje ich tylko seks, prawdziwy seks, nie holo.

– No cóż, jeszcze nie trafiliśmy do haremu. – Mężczyzna zaczął tracić cierpliwość. – Zobaczymy, co Cherry powie po powrocie.

– Ten stary kruk jest zgrzybiały i na wpół obłąkany. Uważa, że całe życie to jeden wielki holopokaz... z którego możesz wyjść, kiedy się zmęczysz. No cóż, tym razem ów szalony stary głupiec wpakował nas w kłopoty, które nie znikną wraz z odcięciem prądu.

Odwróciła się i ze szlochem wtuliła twarz w jedwabną poduszkę. Tez próbował ją pocieszyć, lecz odpędziła go uderzeniem na odlew, na nieszczęście tylko muskając czubek jego nosa. Mężczyzna przybrał nadąsaną minę, po czym wrócił do zewnętrznej kabiny, gdzie usiadł w oczekiwaniu na powrót iluzjonisty.

Kiepski nastrój Teza jeszcze bardziej się pogorszył, kiedy statek nagle wystartował w rosnącym sekwencyjnie kontrolowanym ciągu i natychmiast rozpoczął podróż w egzosferę. Maszyna błyskawicznie znalazła się w milczącym świecie przestrzeni asteroidowej. Jej potężne silniki zawodziły tęsknie. W chwilę później wrócił Cherry, ofiarowując Tezowi małą, złotą fiolkę.

– Prezent od Land'y dla ciebie i Carli.

– Co mamy z tym zrobić? Wypić?

– Nie, spryskaj swoją towarzyszkę. Ten płyn zmieni ją w łagodną, ciepłą i czułą istotę. Hammanici używają go w swoich haremach. Rezultaty gwarantowane.

Tez włożył fiolkę do kieszeni.

– Carla jest w takim stanie, że potrzebowałbym chyba z galon tej mikstury. Co z holoteatrem, Cherry? Kiedy go dostaniemy?

Magik usiadł. Jego asystentowi wydało się, że szef nigdy nie wyglądał tak staro, krucho i mizernie.

– Później, Tez. Pieniądze będą z tego i to duże, ale najpierw trzeba na nie zarobić. Czeka nas trudne zadanie.

– Jakiego rodzaju zadanie, Cherry? – Carla opuściła koję i stanęła w progu. Jej głos przepojony był sarkazmem.

Iluzjonista zamierzał się jakoś wykręcić od odpowiedzi, dostrzegł jednak spojrzenie dziewczyny i zdecydował się bez ogródek wyznać prawdę.

– Lecimy na wyprawę. Potrzebuję Teza, pomoże mi ze sprzętem. Ty też możesz z nami polecieć... – Szukał w myślach jakiegoś zajęcia dla swej asystentki, w końcu dorzucił: – Będziesz nam gotować.

– Gotować! – Carla była wyraźnie obrażona. – A dokąd udaje się ta ekspedycja, Cherry, ty zwariowany stary myszołowie?

– Prosto do centrum Solarii – odparł magik i równocześnie rozejrzał się za jakąś butelczyną.

Maq Ancor przebywał tymczasem w swoim apartamencie i rozmyślał nad ostatnimi wypadkami. Ktoś cicho zastukał do drzwi i po chwili atrakcyjna Sine Anura wślizgnęła się do środka. Mężczyzna niechętnie odpiął broń i wskazał dziewczynie tapczan.

– Masz pojęcie, w co się pakujemy, Maq? – spytała z wielką powagą.

– Bardzo niejasne. – Studiował doskonałość jej pozy i nie dbały wdzięk jej zachowania. Nawet poprzez intensywne perfumy jego czuły nos wychwycił subtelny aromat erotycznych feromonów.

– Ten pomysł jest kompletnie szalony – zauważyła. – Po co facet wybrał na wyprawę tak nieprawdopodobne trio jak nasze?

– Sam się nad tym zastanawiałem. Słyszałem, że Land’a próbował już wcześniej zorganizować podobną ekspedycję... Możli-

we, że nawet wielokrotnie. Prawdopodobnie przeanalizował swoje dotychczasowe niepowodzenia i wymyślił taką kombinację, która zapewne nikomu poza nim w ogóle nie przyszłaby do głowy. Sądzę, iż doszedł do niej metodą prób i błędów.

– A jeśli nasza wyprawa stanie się jedynie następną nieudaną próbą?

– W takim razie... Przypuszczam, że ksiązę ponownie prze-myśli całą sprawę i spróbuje po raz kolejny.

– Niezupełnie o to pytałam. Nie chcę lecieć, Maq. Ten drań wpakował mnie w swój projekt wbrew mojej woli, a poza tym nie jestem mu dłużna żadnych przysług. Podejrzewam, że zaczepimy o Zin-Zan, gdzie zaopatrzymy się w zapasy na drogę. Może byśmy się tam oboje urwali?

– Nie ma mowy! – oświadczył stanowczo Ancor. – Chociaż wyrzucili mnie z gildii, nadal jestem zabójcą. Wziąłem pieniądze i zamierzam dotrzymać warunków kontraktu. Tyle że mnie się ta ekspedycja jawi w znacznie jaśniejszych barwach niż tobie. Wcale nie obawiam się węszenia po terytoriach marsjańskiej powłoki, choć może zmienię zdanie w dniu, w którym popełnimy pierwszy nieodwracalny błąd... Sądzę, że ty również powinnaś nieco pozytywniej podejść do całej sprawy.

– No cóż, jeśli nie chcesz ze mną uciec, przynajmniej pomóż mnie się urwać. Jestem przekonana, że mam większą szansę przeżyć na terenie Federacji niż biorąc udział w szalonej obsesji Land'y.

Ancor nalał sobie drinka i zaproponował szklaneczkę dziewczynie, starannie unikając kontaktu z jej palcami.

– Nie sądzisz, że nasz wspaniałomyślny ksiązę wszystko dokładnie przewidział? W Zin-Zanie będziemy strzeżeni lepiej niż klejnoty koronne Hammanitów. Pewnie nie zaistnieje ani jedna

sposobność do ucieczki. Jeśli pragniesz się urwać, wybierz najmniej, nie zaś najbardziej spodziewany moment.

– Czy to jest twoja zawodowa porada? Mam poczekać na okazję?

Nie, przemawia przeze mnie tylko zdrowy rozsądek. Moja profesjonalna rada brzmi zupełnie inaczej: „Nie omawiaj strategii przechytrzenia kogoś takiego jak Land’a w pomieszczeniu, w którym mógł ci założyć podsłuch”.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

– Jest tu ukryty mikrofon?

– Był, zanim go znalazłem i wyłączyłem. Jak przystało na kogoś o mojej profesji.

– Po diabła Land’a chciał cię podsłuchiwać w twojej kabine?

Lew roześmiał się.

– Ponieważ wydaje mu się, że jestem kimś więcej niż twierdzą.

– Jesteś pewien, że znalazłeś wszystkie pluskwy?

– Absolutnie. Gdyby tak nie było, Land’a nie musiałby przysyłać cię na przeszpiegi.

– Mój Boże! – Zmierzyła go ironicznym spojrzeniem z pełnym podziwu niedowierzaniem. – Uwielbiam takich ludzi jak ty, Maq. Nie ufasz nikomu, a w szczególności swoim przyjaciołom.

– Pierwsze przykazanie z podręcznika sztuki przetrwania – odparł beztrasko.

– A niech cię, ależ jesteś paskudny! – Wyciągnęła ku niemu szczupłe zielone palce i przesunęła nimi po jego intrygującej twarzy. Pod wpływem jej „elektrycznej” pieszczoty poczuł jedynie lekkie swędzenie. Pochylił się ku dziewczynie. Piżmowy zapach sztucznie dodanych do perfum feromonów, zintensyfikowany dzięki ciepłu jej ciała, zupełnie niepotrzebnie stał się nagle ostry, bowiem Lew już dużo wcześniej zdecydował, jak zakończy tę

rozmowę. Padli na tapczan i zaczęli się kochać. Maq odkrył, że jego partnerka jest zachwycająco szokująca i szokująco zachwycająca, niekoniecznie w tej kolejności. Stosunek z nią okazał się dla niego całkowicie nowym doświadczeniem.

* * *

Pięć dni później statek wylądował w Zin-Zanie, wolnym porcie położonym na granicy między federacyjnym terytorium marsjańskiej powłoki i niezależnym państwem Hammanite. Tu miał na nich czekać zbudowany specjalnie na tę wyprawę statek i tu mieli otrzymać wyposażenie na swoją niezwykłą podróż. Maq wybierał niezbędną broń ręczną i uzbrojenie statku, Cherry – sprzęt potrzebny do holoprojektacji, natomiast Sine Anura – szaty, klejnoty i perfumy, które wspomogą jej naturalny talent kusicielki.

Tak jak Ancor przewidywał, zarówno Madame Orzech, jak i Cherry’ego pilnie strzeżono. On sam miał mnóstwo swobody, zaś na spotkanie z lokalnym rusznikarzem poszedł zupełnie sam. Od czasu do czasu czuł na swoich plecach kilka par czujnych oczu, ale ten taktowny nadzór (za każdym razem gdy z pozoru niedbale się odwracał, strażnicy rozplýwali się w tłumie) wcale go nie martwił. Póki co nie planował zerwania zawartej z Land’em umowy, poza tym wiedział doskonale, że wszystko, co zdarzy się w nieprzenikalnych i dusznych komnatach zbrojowni na zawsze pozostanie sekretem dla niepożądanych intruzów.

Nikt nie musiał go tu anonsować. Tak dawno temu zarejestrował się jako zabójca, że we wszystkich komputerach wszechświata wpisana była każda jego cecha charakterystyczna. Weryfikacja stanowiła formalność – opóźnioną tylko nieco z powodu drobnej różnicy w sposobie jego mówienia, spowodowanej wdychaniem pewnych pyłków, którymi pachniał płaszcz Maqa. Przed wejściem do zbrojowni musiał zdać wszelką broń, a później roze-

brać się do naga. Ubranie zostało starannie obszukane, on sam zaś poddany dokładnemu skanowaniu. W końcu otrzymał szkarłatny kombinezon i pozwolono mu okryć nieco krępującą nagość. Dopiero wówczas srogo wyglądający, uzbrojeni po zęby wartownicy odprężyli się. Podobnie jak Ancor, rusznikarze bardzo niewiele pozostawiali przypadkowi.

Pół mili niżej, we wspaniałym, obwieszonym draperiami pomieszczeniu, które kryło się głęboko w betonowych bunkrach, czekała na Lwa niespodzianka. Powitał go osobiście właściciel miejscowej zbrojowni – świetnie mu znany Tortigus Veritain, prawdopodobnie najwspanialszy rusznikarz we wszechświecie.

– Niebezpieczna jest gra, w którą się wpakowałeś, Maq – zauważył niespokojnie Veritain.

Ancor skrzywił się.

– Przeżyję ją, Tortigusie. Szczególnie jeśli będę dysponował odpowiednią bronią.

– Służę ci najlepszą, jaką posiadam. Naszej najnowszej specjalnej oferty nie widzieli jeszcze nawet funkcjonariusze policyjnych szwadronów łowców głów.

– Sądziłem, że federacyjny kontrakt zakazał ci sprzedawać broń łowcom głów na wolnym rynku.

– Ależ tak! Tak się rzeczywiście stało! – Veritain teatralnie rozłożył ręce. – Miną jeszcze przynajmniej trzy lata, zanim choćby zaoferuję moje cudenka policji... ale kontrakt nie wspomina o broni, z której istnienia nie zdają sobie sprawy. Jeśli zaś chodzi o ciebie, nie obchodzą mnie żadne restrykcje.

– Z jakiego powodu chcesz mi oddać tak znaczną przysługę, Tortigusie? Nie wiesz, że wyrzucili mnie z gildii?

– Oczywiście, że o tym wiemy. Zdajemy sobie również sprawę z faktu, że posiadasz przyjaciół na bardzo wysokich stołkach.

– Gdybym faktycznie miał takich przyjaciół, co założmy czysto hipotetycznie, wiesz, że i tak nie wolno by mi było o nich dyskutować.

– Wcale tego nie oczekujemy, Maqu. Rozmawiamy przecież czysto teoretycznie. Tak czy owak, nie krępuj się i skorzystaj z naszej oferty. Prawdopodobnie drugi raz jej nie powtórzę.

Ancor szybko dokonał wyboru, zafascynowany możliwościami i wszechstronnością nowego typu broni ręcznej. Szczególnie spodobał mu się mały, szybkostrzelny granatnik o dużym zasięgu, z szerokim asortymentem amunicji – kul zapalających, gazowych, oszałamiających, przeciwpancernych, rozpryskowych, wybuchowych i mnóstwa innych. Nie był tak łatwy do zneutralizowania jak na przykład broń fotonowa, mniejszy i lżejszy niż blaster, za to niemal równie celny jak laser chemiczny, a w dodatku tak pomyślany, że Maq mógł się obwiesić nawet t lizinem sztuk i wcale nie wyglądał na uzbrojonego. Dzięki temu cudeńku z łatwością samotnie pokonałby małą armię.

Veritain z satysfakcją zaaprobował jego decyzję I dwaj mężczyźni dobili interesu.

– Twoja przyjaźń to dla mnie honor, rusznikarzu! – uświadczył Ancor, gotując się do odejścia.

Właściciel zbrojowni potężnie uścisnął mu dłoń.

– Uważaj na siebie, Maqu Ancorze! Na pożegnanie dam ci jeszcze maleńki prezent, który na pewno przyda ci się podczas podróży. – Wcisnął Lwu w dłoń duży guzik.

Maq z ciekawością obejrzał prezent.

– A cóż to takiego?

– Dyskietka. Nie znam jej zawartości, lecz jej ofiarodawca twierdził, że znajdziesz na niej wiele interesujących danych.

– Jaki ofiarodawca?

– Znowu mówimy wyłącznie teoretycznie, przyjacielu. Gdyby istniał ktoś taki, także nie mógłbym o nim rozmawiać.

Gdy Ancor wrócił do portu, natychmiast odkrył, że dostarczono już statek ekspedycyjny. Maszyna nazywała się „Shellback” i wszyscy członkowie wyprawy przyznali jednomyślnie, że mają przed sobą najbrzydsze latające paskudztwo, jakie kiedykolwiek zbudowano. Osobliwy wygląd maszyny, sugerujący pogardę twórców dla /osad estetyki oraz potocznych wyobrażeń o aerodynamicznych kształtach, rekompensowała wszakże widoczno gołym okiem potężna moc silników i wytrzymałość konstrukcji. Wielostopniowy napęd statku był ostentacyjnie, prawie wulgarnie funkcjonalny. Patrząc na niego, odnosiło się wrażenie, że jego projektantom przyświecały wyłącznie dwa cele: sprawność i niezawodność. Głowice bojowe „Shellbacka” wydawały się bardziej przerażające niż żądła zabójczych szerszeni.

Wnętrze nie było wiele sympatyczniejsze. Jedyne niewielkie ustępstwo uczyniono w tych segmentach statku, które miały służyć istotom ludzkim do pracy i życia.

Reszta została maksymalnie sfunkcjonalizowana pod kątem czekających maszynę niezwykle trudnych zadań, na myśl o których serca większości członków załogi przenikał dreszcz lęku. Car li zawsze się obrażała, gdy okoliczności zmuszały ją do przygotowywania posiłków dla mężczyzn, jednak rzut oka na miniaturową i nędznie wyposażoną kuchnię „Shellbacka” wystarczył, by dziewczyna zawyla z przerażenia. Cherry również nie był zachwycony swoim miejscem pracy, czyli kabiną pilota – ciasnym pomieszczeniem, przeładowanym do granic możliwości skomplikowaną aparaturą nawigacyjno-sterownicą.

Tylko Ancor docenił zalety statku: wręcz onieśmielającą aurę trwałości, doskonały system uzbrojenia i grubość odlanego w jednej bryle, a nie złożonego z płyt pancerza ochronnego, nieco go

uspokoiły. Jeśli wcześniej wątpił w możliwość szczęśliwego finału czekającej ich podróży, ten masywny symbol przenikliwości, bystrości umysłu i przezorności Land'y bez wątpienia napawał optymizmem. „Shellbacka” na razie załadowano do wielkiego egzozferycznego statku milionera. Pokraczna maszyna tkwiła tam bez ruchu niczym ohydny pająk w wannie i czekała na możliwość startu. Ancor wpatrzył się w nią czule i – chcąc, nie chcąc – uznał pierwsze spotkanie z nią za rzeczywisty początek ekspedycji.

Rozdział 7

Han-sa's-Arim

Statystyki na temat marsjańskiej powłoki były niepewne i znośne dla jej mieszkańców jedynie dzięki typowo ludzkiej umiejętności traktowania wszelkiego ogromu w abstrakcyjnych, matematycznych terminach. Kiedy jednak oglądało się świat z obrzeży przestrzeni, nawet mikroskopijny obszar wielkiego globu, który pozostawał doskonale widoczny z wysokości pięciuset mil, wystarczał by ogłuszyć widza i dezorientować co do rzeczywistych rozmiarów całości. Powierzchnię marsjańskiej powłoki o średnicy dwustu osiemdziesięciu trzech milionów mil i obwodzie równika długości osmiuset osiemdziesięciu dziewięciu milionów mil rejestrowano w oficjalnych aktach jako $2,5 \times 10^{17}$ mil kwadratowych, co Cherry z trudem przeliczył jako dwieście pięćdziesiąt tysięcy bilionów.

Maq Ancor zignorował statystyki i po prostu bez tchu wpatrzył się w iluminator. Przed jego oczyma snuły się fantastyczne impresje, podczas gdy statek Land'y unosił małą grupkę przez eg-

zosferę z prędkością około trzydziestu tysięcy mil na godzinę. Nawet przy tej szybkości, którą można było osiągnąć jedynie na wysokościach, gdzie atmosfera współzawodniczyła z prawdziwą próżnią, podróż przez niewielką w sumie część powłoki do równika wielkości dziesięciu milionów mil zabierze im więcej niż siedemnaście standardowych dni. Owa kombinacja czasu i prawie niewyobrażalnej prędkości wirowała w umyśle Ancora, wyzwalając niemalże podświadome, a może raczej intuicyjne zrozumienie rzeczywistego rozmiaru marsjańskiej powłoki. Powoli docierało do niego, dlaczego egzozferyczna podróż jest tak okropnie kosztowna.

Dla utrzymania równowagi ekologicznej i klimatycznej Zeus rozmyślnie wyrzeźbił ten gigantyczny teren w taki sposób, że ląd i morze zajmowały taką samą powierzchnię. To wyraźnie rozrzucone roztrwonienie potencjalnej przestrzeni mieszkalnej miało głęboki sens: idealne skorelowanie warunków glebowych i atmosferycznych zapewniało bujny rozkwit rolnictwu, czyniąc zaludniającą powłokę społeczność samowystarczalną. Dzięki temu ludzie na co dzień wymagali od Zeusa jedynie dostaw energii dla ciał świetlnych, które stymulowały pogodę oraz oświetlały i ogrzewały leżące pod nimi lądy. Jednak w obliczu psychologicznego szoku doznawanego pod wpływem oglądania z tak ogromnej wysokości powolnego marszu gór, równin, mórz i dolin, ta przemyślna strategia Zeusa umykała uwadze podróżników. Ze swej obecnej wysokości nie rozróżniali nawet największych z powłokowych miast, zaś gigantyczne oceany ukazywały się i znikwały w przeciągu kilku godzin, z pozoru chaotycznie na tle posępnej linii horyzontu.

Piętnastego dnia minęli jeden z najbardziej niewiarygodnych widoków w soiaryjskim wszechświecie. Zjawisko, które przy pierwszym kontakcie robiło wrażenie wiszącej na niebie cienkiej niczym pajęczyna nitki, przy bliższym oglądzie rozszerzyło się w

wielką złotą włócznię sterczącą dumnie wprost z ziemi; wyglądała, jakby wbił ją tam jakiś szalony bóg z archaicznych wierzeń. Land'a rozkazał zredukować prędkość statku, dając pasażerom możliwość dokładnego obejrzenia owego cudu. Odkryli, że mają przed sobą jedną ze szprych wahadłowcowych ciągnących się przez osiemdziesiąt pięć milionów mil przestrzeni kosmicznej z marsjańskiej powłoki do powłoki asteroidowej. Pędziły przez nią wahadłowce z zapasami i emigrantami; za ich pomocą Zeus regulował sprawy Solarii.

Podczas gdy Cherry spędzał czas na pilotażowym symulatorze „Shellbacka”, Sine Anura postanowiła towarzyszyć Maqowi w obserwatorium. Popijali drinki i wpatrywali się w powoli rozpościerające się pod nimi cuda powłoki, na której Sine mieszkała przez całe swoje życie, a jednak nigdy przedtem nie widziała jej z takiej odległości. Szczególnie zafascynowała ją widoczna w całej okazałości szprycha transportowa. Przyglądała się w niemym podziwie, jak szprycha znika w oddali. Wcześniej dziewczynie nawet nie przyszło do głowy, że ten wielki promień nie kończy się w miejscu, do którego sięgał ludzki wzrok, lecz ciągnie się dalej, przez miliony mil przestrzeni kosmicznej. Dziewczyna widziała go teraz z wysokości pięciuset mil ponad powierzchnią i jej perspektywa całkowicie się zmieniła. Zdumienie rozświetliło twarz Madame Grzech, zupełnie nietypową dla niej szczerą ekscytacją.

– Dlaczego on nie spada, Maq? – spytała.

– Nie spada – odparł – ponieważ nie jest dokładnie taki, jaki ci się zdaje. Chociaż wygląda dość solidnie, w rzeczywistości składa się z bardzo niewielkiej ilości materii. Mówimy o cylindrycznym polu siłowym, zwanym polem pi-inwersji *exis*, zaś buďulec, który wygląda na metal, to stosunkowo rzadka sieć atomów uwiezionych w potężnych orbitach kulistych. Gdybyś wyłączyła

pole *exis*, z całej szprychy stąd aż do powłoki asteroidowej nie zostałyby nawet piętnastu ton kurzu.

– Skoro szprycha jest tak... krucha, w jaki sposób wahadłowce pokonują bariery międzyprzestrzeni?

– Działa jako coś w rodzaju tuby pneumatycznej, ponieważ wahadłowce w przeciwieństwie do typowych statków kosmicznych, nie posiadają własnego napędu. Poza tym wspaniałość pola *exis* polega na tym, że przedmiot, który się w nim znajdzie, jest całkowicie izolowany od wpływu czynników zewnętrznych, a to oznacza, że wahadłowce nie tylko nie doświadczają grawitacji związanej z masą powłoki, ale też nawet najłżejszego oporu od molekuł znajdujących się w przestrzeni zewnętrznej.

– Co by się zdarzyło, gdyby nasz statek uderzył w pole *exis*?

– Katastrofa! Zostałaby z nas miazga. Pole pi-inwersyjne jest absolutnie niemożliwe do pokonania.

Sine już miała zadać następne pytanie, gdy Maq wychylił się nagle ku przezroczystej kopule i zaczął się przyglądać jakiejś osobliwości odległego horyzontu.

– Co zobaczyłeś? – spytała.

– Chyba cel naszego lotu. Popatrz tam. Widzisz? Wygląda na górskie pasmo o płaskich szczytach. Sądzę, że gdzieś tam znajdują się wrota do kalderoidu.

Wyteńczyła wzrok i zagapiła się w widoczną nierówność powierzchni.

– Chyba jest bardzo wysoko.

– Na pewno. Według mnie, co najmniej na wysokości tysiąca mil.

– Skąd tyle wiesz o takich sprawach, Maqu?

– Dobre pytanie! – Land'a bezgłośnie wjechał do obserwatorium. Ani mężczyzna, ani dziewczyna nie mieli pojęcia, jak długo milioner stał w progu i przysłuchiwał się ich rozmowie. – Odno-

szę wrażenie, że nasz drogi Ancor wie więcej, niż widzą jego oczy. Jak na zabójcę wie zbyt wiele o fizyce, zaś jak na fizyka – zbyt wiele o zabijaniu. – Kończąc temat, Land’a wykonał niedbale gest. – Przyniosłem ci mały prezent, zabójco Ancor.

Maq ze zdziwieniem wziął dyski.

– Cóż to takiego?

– Rezultaty wszystkich naszych dotychczasowych poszukiwań oraz najtrafniejsze naszym zdaniem symulacje oparte na mniej lub bardziej zweryfikowanych danych dotyczących faktycznej natury i struktury solaiyjskiego wszechświata. Chcę, abyś je zaktualizował. Przygotowałem dla ciebie kamery i sprzęt nagrywający, zaś komputery i czujniki „Shellbacka” będą automatycznie zawiadywać procedurą gromadzenia danych. W ten sposób przemienisz większość naszych spekulacji w fakty.

– Rozumiem.

– Tak jak poprawnie wydedukowałeś, zabójco Ancor, jesteśmy coraz bliżej wejścia do kalderoidu. Almanachy nazywają ten świat M13, a obejmujące go górskie pasmo w kształcie wulkanu nosi miano Han-sa’s-Arimu. Słowa te w wolnym tłumaczeniu oznaczają: „Strzeż się władzy Szatana”.

– Jak bardzo niedostępny jest ten świat?

– Dla kogoś, kto nie posiada statku klasy „Shellbacka”, całkowicie. Pasma ma ponad tysiąc mil wysokości, w większości składa się ze stopionego krzemu i nie sposób się na nie wspiąć. Tylko egzozferyczny statek potrafi nad nie wzlecieć, zaś przy egzozferycznej prędkości nie jest możliwa żadna forma eksploracji. Co więcej, M13 znajduje się na terytorium Orainu, który – choć jest członkiem Federacji – zazdrośnie i skutecznie strzeże swojej przestrzeni powietrznej. Dopuszczą nas najwyżej na lądowisko w Bryhn^ położone na granicy Hammanite i Orainu. Z tamtego miejsca odleciecie już sami.

* * *

Bryhn leżał wprawdzie tysiąc dwieście mil od Hansa's-Arim, lecz dzięki niezwyklej klarowności atmosfery nie sposób było nie zauważyć wielkiego szczytu górującego nad terenem, a także samego portu, który został zbudowany na stoku prowadzącym do fantastycznego stożka. Z ziemi płaskie wierzchołki potężnego pasma były ledwie widoczne, zaś pokryte śniegiem najwyższe szczyty tonęły w gęstych chmurach. Ancor wziął teleskop i przez długi czas z zainteresowaniem studiował ogromne stoki. Nie komentował tego, co widział, lecz czasem wymownie potrząsał głową.

Kiedy wydobyto „Shellbacka” z ładowni większego statku, Cherry rozejrzał się wokół siebie ze sporym niepokojem. Chociaż awionika ekspedycyjnego statku była najprostsza i najbardziej niezawodna z możliwych, magik mimo dwunastu dni spędzonych na symulatorze lotów ciągle nie miał pełnego zaufania do swoich kompetencji. Nie wiedział, czy potrafi pilotować ten dziwny statek i przerażała go perspektywa trudnych do przewidzenia komplikacji w kilka sekund po starcie z wysokiego na tysiąc mil „wulkanu”. Im dłużej patrzył na maszynę, tym bardziej się martwił. Tez i Carla chyba pogodzili się z faktem, że ich przyszłość całkowicie spoczywa w rękach losu i tylko Sine Anura wciąż przemyśliwała nad ewentualnością ucieczki – jej oczy wędrowały tęsknie ku mostom i wieżom Bryhnu kulącym się pod płaskowyżem, na którym znajdowały się lądowiska.

W końcu Maq objął dowództwo. Dwukrotnie sprawdził zapasy i system uzbrojenia, po czym zaznajomił się (na tyle dokładnie, na ile pozwolił mu czas) z możliwościami oraz ograniczeniami zarówno załogi, jak i statku. Pożegnanie z Land'ą było krótkie

i raczej zdawkowe, później zaś pod drżącymi palcami Cherry'ego „Shellback” zaczął brykać i zataczać się w powietrzu.

Nie mieli już odwrotu – wreszcie wyruszyli w swą fantastyczną podróż.

Przestrogi Land'y w pełni się potwierdziły, bowiem oraińska przestrzeń kosmiczna faktycznie była dobrze strzeżona. Często między społecznościami federacyjnymi i pozafederacyjnymi dochodziło do terytorialnych sporów, które co jakiś czas rozwiązywano zbrojnie. Żadnego z podróżników nie zaskoczyło więc, że gdy przekroczyli granicę i znaleźli się na oraińskim terytorium, ich detektory promieniowania radarowego rozbłysły, alarmując o wykryciu szeregu wiązek skanujących.

Wiedzieli, że mają przewagę zaskoczenia, ponieważ oraińscy obrońcy nie znali możliwości „Shellbacka”. Po rozmiarze pojazdu najwyraźniej wydedukowali, że leci ku nim zwyczajny, atmosferyczny statek i wysłali przeciwko niemu szybkie, nisko latające myśliwce przechwytyjące. Cherry skupił się na poderwaniu „Shellbacka” na odpowiednią wysokość i skierowaniu go ku stożkowi. Pierwsza fala napastników została w tyle – z powodu wysokości bądź tempa wznoszenia. Jednakże w tym momencie Oraińscy radykalnie zmienili taktykę obronną. Na ekranach radarowych statku pojawiła się wkrótce potężna eskadra wysokościowych niszczycieli. Zaczynało się robić gorąco.

„Shellback” na moment znalazł się w niekorzystnej sytuacji, ponieważ jego kadłub daleki był od aerodynamicznego ideału, toteż w niższych rejonach atmosfery wszelkie manewry utrudniał mu opór powietrza. Kiedy jednak wraz z wysokością tarcie osłabło, osobliwy kształt przestał krępować statek i wkrótce maszyna zrównała się prędkością z napastnikami. Dystans chwilowo przestał się zmniejszać, ale spore przeciążenie wywołało nieprzyjemne sensacje u pasażerów. Po chwili żadne odwetu za naruszenie ora-

ińskiego terytorium niszczyciele znów zaczęły przyspieszać i załódze „Shellbacka” zostało tylko jedno wyjście – wybrali najbardziej nieprawdopodobną z możliwych trasę ucieczki, czyli kurs prosto na ścianę górskiego stoku, a potem niemal pionowo w górę. Na pozór decyzja ta wydawała się samobójstwem. Ancor przypuszczał, że statek posiada uzbrojenie dostateczne do wygrania ewentualnej bitwy powietrznej, niestety wiedział również, że Cherry nie zdążył nabrać doświadczenia w bojowym pilotażu. To była fatalna okoliczność, ale nie mieli innego wyjścia – musieli przyjąć walkę.

Wkrótce niszczyciele znalazły się w polu rażenia i rozpoczęła się bitwa. Przeanalizowawszy wcześniej możliwości bojowe „Shellbacka”, by skompensować zupełny brak bitewnego doświadczenia swego zespołu, Lew postanowił zrezygnować z automatycznego systemu antyrakietowego. Zamiast tego uruchomił laserowe pole osłonowe, zasadniczo przeznaczone do ochrony przed meteorytami w warunkach podróży kosmicznej. Obliczył, że na ich obecnej wysokości może je bezpiecznie rozwinać, a co najważniejsze, błyskawicznie uzyskać wystarczający poziom mocy, by skutecznie odeprzeć atak wroga.

Rzecz jasna, było to rozwiązanie tymczasowe, ponieważ Orańczycy w końcu rozszyfrują jego fortel. Poza tym „Shellback” musi jak najszybciej osiągnąć prędkość pozwalającą mu na ucieczkę przed rozmieszczonymi na ścianie wyrzutniami głowic samosterujących. Natychmiast otrzymał potwierdzenie swoich domysłów, gdyż wystrzelone przez niszczyciele konwencjonalne głowice bojowe okazały się dla statku zupełnie nieszkodliwe, choć równocześnie Maqa ogarnęła frustracja, wiedział bowiem, że w regularnej bitwie nie mają szans, z jednej strony dysponując nie przetestowanym uzbrojeniem, z drugiej natomiast zieloną pod względem wojennego doświadczenia załogą. Krótko mówiąc,

chwilowe bezpieczeństwo zawdzięczali głównie pomysłowi z systemem antymeteorowym, a przyszłość jawiła się w dość czarnych barwach.

Cherry zawzięcie prowadził „Shellbacka” w górę, ku stożkowi. Tor statku stał się teraz niemal całkowicie pionowy i wiódł wzdłuż idealnie gładkich, zadziwiających regularnością ścian wyższych partii góry. Na takiej wysokości byli wymarzoną celem dla rozmieszczonych na powierzchni wyrzutni pocisków, które też zaczęły się powoli ku nim kierować. Rakiety ciągnęły za sobą ogniste warkocze, sugerujące wykorzystywanie tylko części mocy silników. Prawdopodobnie więc jedynie obecność na ich kursie pościgowej grupy niszczycieli hamowała skuteczność raketowego ataku. Kiedy zdawało się już, że są bezpowrotnie zgubieni, „Shellback” wystrzelił nagle w górę dużo szybciej niż pociski i pogрузzył się w egzosferze. W mgnieniu oka znalazł się poza zasięgiem nie tylko rakiet, ale i niszczycieli. A jednak nie przestał się wznosić. Chwilę później wzlcieli ponad szerokim stożkiem Han-sa’s-Arimu.

Rozdział 8

Świat obrzeżny

Stożek Han-sa’s-Arima okazał się szerokim na około dwa tysiące mil pierścieniowym płaskowyżem, który okalał otwór stanowiący wlot do kalderoidu. Jednakże podróżników przelatujących maleńkim „Shellbackiem” przez niskie przejście ponad potężnym górotworem ogarnął strach i niedowierzanie, połączone z nagłym, przerażającym szacunkiem dla skali, w jakiej działał Ze-

us. Ścięty wierzchołek stożka stanowił niemal nieskazitelnie gładką równinę mlecznej, opalizującej materii, obrobionej przez agregaty terraformujące. A ponieważ równina owa leżała na wysokości kilku tysięcy mil ponad powierzchnią marsjańskiej powłoki, była absolutnie bezwietrzna i żadna istota ani roślina nie mogły na niej przeżyć. Miejsce miało w sobie coś obcego i nierealnego, co niespodziewanie zaniepokoiło wszystkich członków załogi.

Ancor przez chwilę walczył ze sobą, starając się pokonać odrętwienie umysłu spowodowane porażającą ogromem panoramą, wreszcie oderwał się od luku obserwacyjnego i skoncentrował uwagę na pracy komputera pokładowego „Shellbacka”. Zgodnie z obietnicą Land’y sensory zewnętrzne statku zajęły się już zbieraniem i porządkowaniem zdobytych danych fizycznych. Ekrany powoli zapełniały się szeregami liczb opowiadających o tym osobliwym środowisku językiem matematyki, co nijak nie oddawało wspaniałości oglądanego świata. Ancor uprzytomnił sobie nagle – po raz pierwszy – dlaczego milioner wysłał ku centrum Solarii statek załogowy zamiast automatycznej sondy. Liczby na ekranie potrafią udokumentować wstrząsającą historię, lecz potrzeba ludzkiej istoty, by ją nasycić emocjami, na przykład zdumieniem. Bez subiektywnych ludzkich odczuć nie sposób było właściwie opisać niezwykłości oglądanego krajobrazu.

Średnicę kalderoidu szacowano wcześniej na jakieś osiem tysięcy mil, lecz z obliczeń Maq’a wynikało, że otwarcie w stożku Han-sa’s-Arimu ma niespełna pięć tysięcy mil szerokości. A zatem świat M13 był faktycznie i do tego solidnie uwięziony w wyrwie międzyprzeprzeni położonej głęboko w gęstej substancji marsjańskiej powłoki. Kiedy znaleźli się ponad krawędzią góry, poza zasięgiem rakiet, Ancor nakazał Cherry’emu radykalnie zredukować prędkość. Poruszali się teraz w ślimaczym tempie zaledwie kilkuset mil na godzinę. Maq sądził, że w ten sposób łatwiej

odkryje jakikolwiek trop potwierdzający jego podejrzenia... Był w stu procentach przekonany, że w tej pozornie nieskazitelnie jednorodnej równinie zawiera się odpowiedź. Lecieli wprawdzie zbyt nisko, by ogarnąć wzrokiem całość otoczenia wielkiego otworu, w czym dodatkowo przeszkadzał im łagodnie wznoszący się horyzont, ku któremu zmierzali, Maq jednakże nastawił pasmo wizualne skanera na maksymalne powiększenie i bacznie obserwował przestrzeń zarówno po bokach, jak i przed statkiem. Tylko od czasu do czasu zerkał ku samemu otworowi.

Sine Anura podeszła i stanęła obok niego. Przez chwilę oceniała głęboką koncentrację jego lwiej twarzy, w końcu odezwała się, wyraźnie urażona jego brakiem zainteresowania dla niej:

– Czego właściwie szukasz, Maq?

– Odpowiedzi. Istnienie tej góry wydaje się na pozór niemożliwe. Teoretycznie nie ma tak mocnych materiałów, z których można by zbudować szczyt o wysokości tysiąca mil. Pod takim ciśnieniem skała powinna spłynąć niczym lava i cała konstrukcja załamałaby się pod własnym ciężarem. A jednak stoi...

Dziewczyna wróciła na trap widokowy w obserwatorium. Właściwie nie pojmowała, czym jej towarzyszyć się martwi. Ona sama nie potrzebowała żadnego wyjaśnienia. Tysiącmilowa góra o szerokości niemal dziesięciu tysięcy mil po prostu istniała i już. Sine traktowała ją po prostu jako kolejny element nie wymagający zastanowienia rzeczywistości, równie oczywisty jak marsjańska powłoka i oświetlające ją ciała świetlne.

– Ach! – oświadczył w końcu Ancor z lekką nutą triumfu w głosie. – Podejrzałem, że tak właśnie jest.

Odwróciła się do niego, lecz z tej odległości nie potrafiła dostrzec szczegółów na ekranach. Maq przeprogramował ustawienie kamer zewnętrznych, toteż automatycznie podążyły za interesującymi go miejscami, po czym wszedł na trap obserwacyjny i stanął

obok dziewczyny. Sine wyciągnęła ręce i figlarnie musnęła jego gołe ramię. Wysyłając wiązkę elektryczną, chciała okazać mężczyźnie, że nie lubi być ignorowana. Ancor uśmiechnął się szeroko, pociągnął ją ku sobie i wpatrzył się jej intensywnie w oczy. Jednak w jego tęczęwkach dostrzegła tylko odbicie wielkiego białego stożka oraz krawędzi wielkiego otworu prowadzącego do innego świata. Z miny swojego mężczyzny odczytała istnienie pasji głębszych i trwalszych niż te, które potrafiła w nim wzbudzić.

Po kilku minutach „Shellback” dotarł do krawędzi otworu i na jego widok obserwatorzy aż stracili na moment oddech. Przed nimi wisiał uwięziony w kalderze świat – opalizujący marmurowo M13, otulony w biało-szaro-zieloną mgiełkę. Trwał spokojnie, z pozoru głęboko wbity w wierzchołek góry. Był wielką kulą, pomarszczoną morzami i kontynentami; jedna z jego półkul prawie tkwiła w marsjańskiej powłoce, oddzielona od niej tylko szeroką na prawie tysiąc mil szczeliną – legendarną międzyprzestrzenią, która podobno miała stanowić trasę wiodącą ku centrum Solarii.

Poinstruowany przez Maqę Cherry poprowadził statek ostro w dół krawędzi stożka, podczas gdy sam Lew wrócił do komputera i obserwował pochód kolumn liczb przez ekrany. W chwili obecnej – ze względu na położenie Han-sa’s-Arimu – mieli niemal próżniowe warunki, lecz niedługo powinni wejść w międzyprzestrzeń, dla której „Shellback” został zbudowany. Ancor pragnął jak najwcześniej przetestować wytrzymałość małego statku i zdecydować, który poziom międzyprzestrzeni był dla niego najodpowiedniejszy. Nie potrafił przy tym zapomnieć stwierdzenia Sine Anury – że może ich ekspedycja miała być tylko kolejną nieudaną próbą Land’y. Gdy wlecieli w szczelinę między kalderoidem i mariańską powłoką nieoczekiwanie trafiła w nich fala uderzeniowa. Zaskoczenie było zupełne, bowiem skanery nie uprzedziły podróżników ojej nadejściu, zaś nikt z grupy nawet o niej

nie pomyślał. Rozmawiali akurat o wale wysokiego ciśnienia atmosferycznego zupełnie nieprzewidywalnego przy takiej wysokości i o temperaturze atmosferycznej rzędu tysiąca stopni Celsjusza, gdy nagle ekrany oszalały. Fala nadeszła tak niespodziewanie, że nie mieli czasu przedsięwziąć należytych środków ostrożności i „Shellbackiem” szarpnęło, jakby uderzył w litą ścianę. Zewnętrzne czujniki temperatury zadźwięczały alarmująco, gdyż warstwy kadłuba leżące najdalej od środka rozjarzyły się aż do białości. W minutę później Cherry całkowicie stracił panowanie nad maszyną. Potężne porywy nierównej turbulencji chwyciły mały statek i rzuciły go na wiatr niczym słomkę.

Prawdopodobnie uratowała ich dokonana przez Maqą niemal natychmiastowa interpretacja liczb na ekranach. Maszyną straszliwie trzęsło, a mimo to Ancor postanowił przejść korytarzem do kokpitu. Po drodze rzucało nim okrutnie na boki, dotarł więc do kabiny pilota mocno posiniaczony. Chwycił drżące ręce spanikowanego iluzjonisty, wyłączył główny silnik, pozostawiając tylko silniczek sterujący. Pozbawiony głównej siły napędowej

„Shellback” od razu znalazł się pod grawitacyjnym wpływem M13 i zaczął gwałtownie tracić wysokość. Przez jakiś czas pędzili z dużą prędkością, toteż temperatura kadłuba nie przestawała rosnąć, na szczęście dzięki umiejętnemu zastosowaniu silników hamujących obniżyli ją w końcu do jako takiego poziomu, później zaś wskoczyli głęboko w stratosferę, dzięki czemu uniknęli spalania.

Kiedy wreszcie osiągnęli górne, rzadkie regiony atmosfery M13, znajdowali się dobrze poniżej głównego pasa turbulencji i statek znowu reagował na działania przyrządów sterowniczych. Cherry – choć pot obficie spływał mu po twarzy – ze skupieniem wprowadził ostrożnie „Shellbacka” w płytki, spiralny lot po kursie, dzięki któremu w bezpiecznej, stałej odległości zaledwie kilku

mil krążyli ponad powierzchnią kalderoidu. Tu zatrzymali się na chwilę, aby ocenić szkody i ponownie ustalić własną pozycję.

– W co, do cholery, uderzyliśmy? – spytał Cherry rozdygotanym głosem. Potwierdzały się jego najgorsze obawy związane z podróżą.

– Nie jestem pewny. – Ancor sprawdzał czujniki tensometryczne i przyrządy monitorujące stan kadłuba. Żaden z nich nie zarejestrował nawet najlżejszej usterki. – W każdym razie Land’a musiał o to przewidzieć, ponieważ statek w zderzeniu nie odniósł nawet drobnych szkód.

Z całej grupy tylko Cherry przypięty pasami w kokpicie wyszedł bez siniaka. Maq odniósł dość poważne obrażenia, podobnie jak Tez i Carla, którzy wpadli parokrotnie na (szczęśliwie miękko obite) ściany kabiny. Początkowo nie mogli znaleźć Sine Anury. Gdy ją odszukali, tkwiła – całkowicie bezpieczna, lecz oszołomiona – wewnątrz automatycznego kokonu antyuderzeniowego w obserwatorium. Pierwszy wstrząs „Shellbacka” rzucił dziewczynę na ścianę, powodując powierzchowną ranę głowy i chwilowy wstrząs, z którego Sine ocknęła się nieoczekiwanie unieruchomiona przez białe ścianki kokonu i niepewnie zastanawiała się, czy już umarła.

Zaczęli się rozglądać wokół siebie, starając się odkryć naturę świata, do którego trafili. Przyrządy Maqa wykryły zdatną do oddychania atmosferę, grawitację różniącą się zaledwie o pięć procent od normy panującej na marsjańskiej powłoce oraz znośną dla ludzi temperaturę. Ciała świetlne wiszące na niskiej orbicie między – przestrzeni dostarczały naprzemiennego oświetlenia, zaś solidna masa marsjańskiej powłoki odległej obecnie o prawie tysiąc mil zatraciła się w mgławicowej, neutralnej refrakcji atmosfery, wywołując wrażenie, że region jest bezkresny i osobliwie nieokreślony.

Z uzyskanych informacji wywnioskowali, że kalderoid jest zamieszkały i kiedy komputer wyznaczył im kurs, zgodnie z którym mieli oblecieć świat i skierować się do otworu umieszczonego po drugiej stronie marsjańskiej powłoki, wszyscy zgromadzili się przy iluminatorach. Spodziewali się widoku wielkich miast. Ponieważ na marsjańskiej powłoce przeciętna gęstość zaludnienia wynosiła dziesięć tysięcy osób na milę kwadratową, H kalderoid liczył dwieście milionów mil kwadratowych, podróżnicy (uwzględniając typową dla Zeusa strategię zalewania połowy powierzchni oceanami) oczekiwali tu około miliona mieszkańców. Skoro ludzie cierpieli na chroniczny niedobór przestrzeni życiowej, istniało małe prawdopodobieństwo, że Zeus zostawi tak ogromną krainę niezaludnioną. Tym niemniej przelecieli pełne tysiąc mil nie dostrzegając nawet jednego domu.

Było coś irytującego w widoku tych nieskończonych i idealnie niemal przystosowanych dla ludzi przestrzeni... kompletnie pozbawionych mieszkańców⁷. Oglądali morze, przesmyk, potem ogromną żyzną równinę iskrzącą się od łańcuchów jezior i rzek. Topografia terenu była znacznie przyjemniejsza dla oka niż w przypadku krajobrazu marsjańskiej powłoki. Podróżnikom patrzącym z góry na ten dziwny świat towarzyszyło irracjonalne poczucie nierzeczywistości.

Próbując rozwikłać zagadkę, Ancor odszukał dyski otrzymane od Land'y i wsunął jeden z nich do otworu na komputerowej konsoli. Najpierw pojawiły się fizyczne parametry stożka Hansa's-Arimu, które mniej więcej zgadzały się z ich wspomnieniami, chociaż nie było wzmianki o fali uderzeniowej podczas drogi do międzyprzestrzeni, zaś wiele parametrów dotyczących M13 wydawało się mniej lub bardziej niedokładne. Maq pomyślał, że prawdopodobnie zostały raczej wydedukowane niż oparte na dokonanych obliczeniach. Może „Shellback” rzeczywiście jako

pierwszy doleciał do kalderoidu... albo też poprzedni badacze po prostu nie wrócili, więc ich odkrycia nie dotarły do zleceniodawcy.

Lew już miał wydać komputerowi polecenie aktualizacji danych, kiedy na ekranie pojawił się tekst spisany z pewnością ludzką ręką. Ancor przeczytał go uważnie:

Z egzosferycznej obserwacji sfery M1 3 wynika, że mamy do czynienia ze światem obrzeżnym, czyli takim, który posiada warunki odpowiednie dla kolonizacji. Mimo podejrzeń, iż M1 3 był kiedyś przynajmniej częściowo zamieszkały, nie widnieje w solaryjskich aktach statystycznych, toteż prawdopodobnie jest bezludny.

– Maqu – Sine Anura odezwała się przez interkom – na horyzoncie nad naszymi głowami widzimy coś niezwykłego. Wyglądają na twory naturalne, lecz radar wykrył również jakieś inne duże obiekty, być może budynki. Chcesz rzucić okiem?

Lew ponuro zerknął na ekran.

– Szczerze wątpię, czy to budynki. Tak czy owak, na wszelki wypadek pora załadować broń.

Rozdział 9

Manduval

Gdy podlecieli bliżej, okazało się, że zarówno Ancor, jak i Sine Anura częściowo się mylili. W miejscach zupełnie niespodziewanych pojawiły się budynki, lecz były małe i raczej tymczasowej natury. Natomiast twory, które dziewczyna uważała za budynki okazały się ogromnymi maszynami do robót ziemnych sta-

nowiących część jakiejś większej operacji terraformującej. Dostrzegli wykop o długości stu pięćdziesięciu mil, szeroki na prawie milę i głęboki na ćwierć. W tym miejscu prawdopodobnie miała powstać nowa rzeka, na razie jednak koryto było całkowicie suche. Ogromne maszyny, całkowicie zautomatyzowane, przenosiły właśnie na bok ziemię i skały, tworząc pasmo pomniejszych wzgórz.

Mimo nadzwyczajnej skali tych działań, uwaga podróżników skupiła się raczej na ciekawym obszarze miejskim. Miasto, zbudowane za krzątającymi się nieustannie mechanicznymi behemotami, wydawało się dość zgrabnie ukształtowane. Otaczała je świeżo nawieziona gleba, już zieleniejąca naturalną roślinnością. Pole roślin na oko przypominających ryż porastało szerokie nieregularne zagony wokół miasta, a jednak ta ludzka enklawa nie wyglądała na trwałą. Podróżnicy odnieśli wrażenie, że zbudowano ją jedynie na czas potrzebny od siewu do żniw, po czym wraz z maszynami Zeusa zostanie przeniesiona w inne miejsce.

Ancora szczególnie zainteresowały wielkie maszyny. Podejrzewał, że są bezpośrednio sterowane przez Zeusa. Przyszło mu do głowy, że odkrycie obecności „Shellbacka” tak daleko od rodzimego portu może wywołać u komputerowego kompleksu jakąś paranoiczną reakcję. Jednakże podczas niskiego przelotu ponad gigantycznymi maszynami zrozumiał, że nie ma podstaw do obaw (przynajmniej chwilowo), ponieważ wszystkie skupiały się na swoich zadaniach i żadna nie była wyposażona w broń. Tyle że szybko coś sobie uświadomił. Z powodu swego potężnego rozmiaru nie potrzebowały uzbrojenia. Nic, nawet góra, nie mogło im się przeciwstawić.

Po wyraźnej panice, z jaką zareagowali mieszkańcy miasta na widok nadlatującego statku, Ancor wywnioskował, że uznali „Shellbacka” za maszynę Zeusa. Poleciał więc Cherry’emu, by wy-

lądował przynajmniej dwie mile od miasta i poczekał tam wraz z Tezem i Carlą. On i Sine Anura mieli pójść do osady na piechotę. Wybór posłów nie wzbudził żadnych kontrowersji: w razie nieprzyjaznego przyjęcia zarówno dziewczyna, jak i Maq potrafili się doskonale obronić. Cherry jednak wyraźnie również nie miał ochoty pozostać na statku. Niechętnie zgodził się objąć dowództwo na pokładzie dopiero po wymuszonej obietnicy, że para podróżników bezwarunkowo wróci w ciągu sześciu godzin.

Podczas drogi ku miastu Sine i Lew odnieśli wrażenie, że świat M13 nie wymaga żadnej adaptacji w celu zamieszkania przez ludzi. Być może zmian dokonano już poprzez wcześniejsze terraformowanie, tak czy owak, pogodne ciepło i subtelny, słodki wietrzyk wydały im się rozkosznie przyjemne po parnych i sterylnych pomieszczeniach na „Shellbacku”. Łagodne zbocza wzgórz zupełnie nie wyglądały na sztucznie utworzone. Bogato porastała je trawa i różnorodne kwiaty, zaś zachodzące naniskiej orbicie ciało świetlne przepięknie je oświetlało. Podróżnicy niemal w tej samej chwili pomyśleli, że ta godzina będzie należała do najbardziej pamiętnych momentów ich podróży.

Ich obecność została odkryta na długo, zanim dotarli do miasta. Zauważyli ich pracujący na polach dorośli, a po chwili podbiegły do nich podekscytowane dzieci. Gdy zaś doszli do przedmieść, dostrzegli na centralnym placu spory tłum. Wysłannik mieszkańców ruszył ku nim, by ich powitać.

Przywódca (kimkolwiek był) przemówił odmianą standardowego solaryjskiego – interesująco miękkim i śpiewnym dialektem, który wskazywał na długi pobyt z dala od głównych skupisk marsjańskiej społeczności. Był młody, na imię miał Manduval; jego długie włosy były w tak jasnym odcieniu blondy, że wydawały się białe. Patrzył z nieobecny spojrzeniem w oczach. Jego

fascynacja zieloną skórą Sine Anury była widoczna jak morska latarnia w nocy.

Tubylec potraktował gości grzecznie i życzliwie. Był ciekaw, kim są i w jaki sposób dotarli do ich świata. Gdy Maq próbował mu wyjaśnić związek między kalderoidem i marsjańską powłoką, mężczyzna chyba niczego nie pojął (wyglądał na zagubionego), natomiast ze zrozumieniem pokiwał głową na wzmiankę o „Shell-backu”. Oświadczył, że jego ludzie czasami budowali własne statki, które wykorzystywali do połowu ryb lub przewozu towarów, lecz znali też latające maszyny Zeusa i pojęcie transportu powietrznego nie było im obce. Manduval wyraził wielkie zainteresowanie „Shellbackiem” i pragnął go zwiedzić. Ancor obiecał, że zanim odlecą, osobiście go oprowadzi po statku.

W trakcie rozmowy mieszkańcy przygotowali dla nich ucztę i rozpalili ogromne ognisko, nad którym umieścili rożen z pieczytym. Łuna ognia i trzaskające skry nadały wieczorowi atmosferę starożytnego karnawału. Przywódca zarządził rozlanie wina do pucharów, po czym wziął pod ramię Sine Anurę i przedfilował z nią przed niedowierzającym tłumem. Dumnie przedstawił ją wszystkim, którzy się zbliżyli. Inni tymczasem bombardowali Maqą pytaniami i wyjaśniali, dlaczego uprawy muszą rosnać blisko przetwarzających teren maszyn terraformujących.

Przyjazna naiwność tych dobrodusznych i filozoficznie nastawionych do świata ludzi pozwoliła Lwu na niejaki odprężenie, choć z przyzwyczajenia popatrywał na swoją towarzyszkę, która zmieszała się z tłumem, a rękę rzadko odrywał od broni. Po jakimś czasie Manduval wrócił triumfalnie z rozradowaną i roześmianą Sine Anurą uwieszoną u jego ramienia i podał gościom czary z grzanym winem.

– Wypijmy toast – oznajmił – za niebiosą Solarii, z których opadają zarówno nowi przyjaciele, jak i starzy wrogowie.

Ta druga aluzja odnosiła się do latających „elementów” kompleksów terraformujących. Zupełnie ignorowały one obecność obszaru miejskiego na drodze zaplanowanych modyfikacji terenowych i kierowały maszynami do robót ziemnych, nie zważając na fakt, że ich działalność może zniszczyć uprawy, które miały zapewnić przetrwanie tutejszej populacji przez cały rok.

Maq podniósł czarę i wypił, po czym gwałtownie wypluł ogromny haust, obryzgując płynem twarze najbliższych mu osób. Niestety, spóźnił się. Jego organizm zdążył już wchłonąć część potężnych toksyn i zareagował natychmiast – mięśnie męczyzny stężały, ciałem wstrząsnął odrętwiający ból, zaś mózg zdawał się wirować i kręcić w czaszce jak oszalały. I tak oto wyszkolony i groźny zabójca dał się nabrać na jednego z najstarszych i najprymitywniejszych forteli: napił się zatrutego wina.

Kiedy się obudził, jego pierwszą reakcją były straszliwe, męczące wymioty. Wreszcie zimny i drżący padł z powrotem na podłogę, gdzie ułożył się w pozycji embrionalnej. Przez jakiś czas pozostawał nieruchomy, starając się zmusić umysł do myślenia, w końcu usiadł i rozejrzał się wokół. Zamknięto go w celi lub skarbcu zbudowanym z drewna, lecz tak mocnego i grubego, że bez narzędzi nie zdoła stąd uciec. Nie posiadał też żadnej broni. Gdy był nieprzytomny, rozebrano go do naga. Broń zniknęła wraz z ubraniem.

Przyćmione światło wtargnęło nagle przez małe okratowane okienko umieszczone wysoko w ścianie. Ancor dostrzegł przez nie jedynie neutralną biel nieba M13. W minutę później zauważył jakieś poruszenie w rogu i coś, co dotąd uważał za stos szmat, zbudziło się z jękiem. Sine Anura. Była nadal ubrana, lecz chora i jeszcze bardziej zielona niż zwykle. Pomógł jej usiąść i pocieszył kilkoma słowami. Niestety, chwilowo nie mógł zrobić nic więcej.

Drzwi zaryglowano od zewnątrz. Były solidnie skonstruowane i nabite potężnymi żelaznymi nitami. W ich górnej połowie znajdowała się mała klapa. Lew zaczął w nią łomotać, usiłując przyciągnąć czyjąś uwagę. Klapka otworzyła się i do środka zaglądnął starszawy mieszczanin. Przez moment przyglądał się ob-
oju, po czym popędził korytarzem – przypuszczalnie z zamiarem poinformowania swego szefa, że więźniowie się obudzili. Krótko później pojawił się Manduval i przez klapkę obrzucił mężczyznę i dziewczynę tym samym nieobecny spojrzeniem.

– Witaj rano, Maqu Ancorze! Wybacz mi to wino, ale rozumiesz chyba, że było konieczne. – Jego śpiewny głos lekko pobrzmiwał tonem przeprosin.

– Konieczne? Dla kogo? – spytał Lew. – Jestem pewien, że doskonale poradzilibyście sobie bez niego.

– Skądże! Przecież nie oddałbyś mi dobrowolnie swojego statku. A ja i kilkoro moich towarzyszy bardzo go potrzebujemy. Nie ty pierwszy zjawiłeś się tutaj, nie ty pierwszy opowiedziałeś nam o wielkiej marsjańskiej powłoce... Musimy na nią polecieć. Chcemy jak najdalej uciec od tego przeklętego miejsca.

– Nie bądź śmieszny, człowieku! Mój statek nie jest dla takich jak wy. Nigdy się nie nauczysz nim latać.

Wątpię, czy zaistnieje taka potrzeba – wyjaśnił Manduval cierpliwie. – Ustaliliśmy już, że na jego pokładzie wciąż pozostają trzy osoby. Dwoje z nich zostawię tutaj, zaś trzecia będzie moim pilotem. Zaoferuję mu wy-mianę. Oszczędzimy wasze życie, jeśli zabierze nas na wielką marsjańską powłokę.

– Cherry nigdy się na to nie zgodzi – oświadczył Ancor z przekonaniem.

– Sądzę, że się mylisz, Maqu Ancorze. Stary chudzielec wielce się troska z powodu waszej nieobecności. Dziś co prawda nie przyjął mojej propozycji, wydaje mi się jednak, że wkrótce się

zgodzi. Co innego mógłby zrobić? Życ aż do śmierci w oczekiwaniu?

– Przynieś nam coś do jedzenia – mruknął Ancor ze znużeniem. – W przeciwnym razie stracisz element przetargowy.

Gdy Manduval zniknął z pola widzenia, Sine zdołała wstać. Dla wsparcia chwyciła się kurczowo nagiego ramienia Maqu.

– Cherry nie zostawi nas tu, prawda?

– Wiesz, że żaden z niego bohater. Myślę, że przez jakiś czas będzie walczył z wyrzutami sumienia, w końcu jednak poleci.

– A co z nami, Maqu?

– Mamy przed sobą perspektywę gnicia przez resztę życia na M13. – Lew potrząsnął głową ze smutkiem i spojrzał na swe gołe ciało. Nigdy wcześniej nie uświadamiał sobie tak bardzo własnej zależności od broni.

Wkrótce przyniesiono zupeł, która rozgrzała więźniów i pomogła im zwalczyć pozostałe po narkotyku bóle i mdłości. Po jedzeniu znacznie poprawiły im się humory. Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę, po czym podjęła decyzję.

– Wynoszę się stąd, Maqu – oznajmiła nieoczekiwanie. – Mówiłeś mi, że najlepiej uciekać wtedy, gdy nikt się tego nie spodziewa. Myślę, że ta pora nadeszła właśnie teraz. Jeśli Manduval poleci na marsjańską powłokę, wracam razem z nim.

Ancor popatrzył na nią z nachmurzoną miną, następnie ze zrozumieniem pokiwał głową. Zapanował nad gniewem i spytał cicho:

Skąd pomysł, że będzie miał ochotę zabrać ze sobą gadzią dziwkę? Uśmiechnęła się szyderczo.

– Jeśli postanowię go przekonać, wątpię, czy mi się oprze.

– Widzę, że los reszty naszego zespołu zupełnie cię nie obchodzi.

– Nie chciałam tu przylatywać. I nie jestem dozorcą Lwa.

Ancor przyjął jej przyganę w milczeniu, jednakż podszedł do drzwi, jakby zamierzał jej przeszkodzić w wezwaniu Manduwała.

Przyjrzała się jego pozie z wściekłym rozbawieniem.

– Nie zdołasz mnie powstrzymać, Maqu. Może i jesteś ekspertem od walki wręcz, lecz nagi nie ośmielisz się nawet mnie dotknąć. Sześć tysięcy woltów powali cię szybciej niż zdążysz zareagować.

Wiedział, że dziewczyna mówi prawdę i niechętnie się odsunął.

– Prawie mi żal tego faceta – mruknął z nieskrywaną pogardą.

* * *

Manduwał z pewnością nie doceniłby troski Lwa. Wieść, że Sine Anura chce z nim porozmawiać wprawiła go w zachwyt, ponieważ przez cały czas nie przestawał myśleć o dziewczynie. Kiedy zaś usłyszał jej propozycję, wręcz znalazł się w siódmym niebie. Nawet w najbardziej erotycznych marzeniach nie przypuszczał, że trafi mu się tak uległa i ponętna kurtyzana.

Choć ledwie był w stanie uwierzyć w swoje szczęście, przyciągnął ją ku sobie. Jego nos szybko wyczuł zupełnie dla niego niezwykle luksus uderzających do głowy, fascynujących perfum, które wydobywały się z jej rozgrzanego podnieceniem sprężystego ciała. Kochanka okazała się nie tylko uległa, ale też niezwykle wyćwiczona w sztuce miłości. Nie znała wstydu, za to znała niewyobrażalne pieszczoty, a jej zapał wydał mu się równie szczery jak jego własny.

Coraz bardziej roznamiętniony, zaniósł ją na tapczan i wkrótce szalał z ekstazy. Sine Anura potrafiła doskonale panować nad swoimi mięśniami i wykazywała ogromne zrozumienie dla

jego pragnień i potrzeb. Kiedy osiągnął orgazm, po twarzy spłynęły mu łzy radości i zaczął krzyczeć z rozkoszy.

Ten krzyk był ostatnim dźwiękiem, jaki Manduval wydał w swoim życiu.

Rozdział 10

Pan Niebios

Śmiercionośne wiązki elektryczne, które Sine zaaplikowała kochankowi równocześnie dotykając go w mosznę i w pierś błyskawicznie wywołały skurcz mięśnia sercowego i męczyzna padł zeszywniały na tapczan. Dziewczyna – wprawdzie zadyszana, lecz niezbyt przejęta popełnionym właśnie morderstwem – obrzuciła ciało obojętnym spojrzeniem, po czym zebrała swoje rzeczy i pospiesznie zrewidowała pokój. Broń Ancora znalazła w szufladzie, zaś jego ubranie w kredensie. Później przebiegła dom ku skarbcowi, wołając głośno Maqa, aby się przygotował. Tylko jeden strażnik usiłował zagrozić jej drogę, lecz pozbyła się go z łatwością. Wystarczyło jedno dotknięcie jej morderczych palców i ciało mężczyzny stoczyło się hałaśliwie po drewnianych schodach.

Ancor odebrał od niej przez klapę ubranie i granatnik, w kilka sekund wsunął doń magazynkę z amunicją burzącą, po czym wystrzelił, niszcząc sporą część zewnętrznej ściany. Kiedy się ubierał, Sine Anura podniosła rygle i weszła do celi. W kilka minut później wyszli przez roztrzaskaną ścianę. Na zewnątrz napo-

tkali przerażonych mieszkańców, których przyciągnął odgłos wybuchu.

Zabójca zdawał sobie doskonale sprawę, że jego broń w mgnieniu oka oczyści im drogę, ale powstrzymał się. Zamachał tylko nad głową granatnikiem, demonstrując swą siłę, po czym poprosił ludzi o zrobienie przejścia. Wielu natychmiast się rozproszyło, pozostałych potraktował ostrzegawczym strzałem pod nogi i po chwili już nikt nie stawiał oporu.

Para uciekinierów prędko dotarła na „Shellbacka”.

Podczas radosnego powitania nikt nie wspomniał o niedoszłym układzie z Manduwałem, nie rozmawiali też o nagłej decyzji Sine Anury. Ancor nie miał pojęcia, czy faktycznie zamierzała odlecieć z mężczyzną, ale z jakichś powodów zmieniła zamiar, czy też od początku zaplanowała całą akcję. Dopiero kiedy mały statek znalazł się w powietrzu, Maq nie wytrzymał. Odszukał dziewczynę

1 zapytał ją wprost.

Uśmiechnęła się zagadkowo, skrywając pod rysami engeliańskich przodków ewentualne emocje.

– Być może odpowiedź, drogi Maqu, ma związek z twoją okropną brzydotą – oświadczyła tajemniczo.

Potem objęła dłońmi jego Iwą głowę i czule ją pieściła. Ancor wiedział, że mogła go w każdej chwili zabić, a mimo to cieszył się dotykiem jej palców na swoich skroniach.

Na spokojnie przeprowadził w myślach rachunek sumienia i ocenił, że absolutnie zawiódł podczas pierwszego testu. Miał być obrońcą całej ekspedycji, a tymczasem uratowała go kobieta. Pozornie naiwni i życzliwi ludzie z łatwością go omamili. Wpadł w tak oczywistą zasadzkę, że w gruncie rzeczy nie zasłużył na ratunek. Im dłużej rozważał całą sprawę, tym lepiej pojmował, że wyłącznie talent Sine mógł ich wydobyć z tych opałów. Ponownie z

podziwem pokiwał głową dla mądrości Land'y. Z pozoru bezsensowny skład załogi najwyraźniej był w pełni przemyślany, a jego głębszy sens miał się objawiać w trakcie kolejnych niebezpieczeństw. Niewątpliwie grupa została dobrana o wiele staranniej i dokładniej niż Lew dotąd sądził.

W kieszeni ciągle miał dyskietkę otrzymaną od Tortigusa Veritaina. Aż do tej pory nie miał czasu jej odczytać. Teraz poszukał panelu komputerowego i wsunął dyskietkę do napędu, po czym rozsiadł się wygodnie przed ekranem. Zdążył przeczytać jedynie pierwszą stronę.

Informacja ściśle tajna. Sztuczna inteligencja G25 Federacji Asteroidowej do prezydent Lauor.

Pani, w odpowiedzi na zapytania dotyczące księcia Awa-Ce-Land'y z marsjańskiejpowłoki, wolny stan Ham-manite, przekazujemy, co następuje: wszystkie źródła są absolutnie zgodne, że księżę nie był w stanie przeżyć wybuchu, w którym brał udział piętnaście lat temu. Pochodzenie bionicznej istoty, która nazywa siebie obecnie rzeczonym imieniem nie zostało wyjaśnione.

Ancora zaintrygowała nie tylko treść tej wiadomości, ale także powód, dla którego trafiła do niego jej kopia. Jego dywagacje przerwała jednakże pilna prośba Cherry'ego. Pilot domagał się konsultacji w kwestii jakichś rzekomo interesujących osobliwości terenowych, które właśnie się przed nimi pojawiły.

Przez cały ten czas „Shellback” leciał na niskiej wysokości i z umiarkowaną prędkością.

Tez i Sine Anura pełnili funkcje obserwatorów. W ten sposób przelecieli kolejne pięć tysięcy mil powierzchni M13, jednak poza geologicznymi różnicami w budowie terenu, krajobraz niewiele się zmieniał – co jakiś czas pojawiały się oddalone od siebie miasta koegzystujące w męczącej symbiozie z wielkimi maszy-

nami terraformującymi, które nieustannie i radykalnie zmieniały kształt tego świata.

Przyczyna, dla której populacji M13 nie wymieniano już w solaryjskim spisie ludności stała się oczywista: według Zeusa było to terytorium „zakazane”. Przestał je uważać za odpowiednie dla ludzi i z tego właśnie względu nie dbał o to, co na swojej drodze niszczyły ogromne maszyny nieustrudzenie wytyczające morza i rzeki, wznoszące łagodne wzgórza i wysokie górskie pasma. Nie wiele obchodzili go też niezbyt liczni mieszkańcy tego światka ciągnący się wraz z dobytkiem w ślad za maszynami. Ancor był ciekaw, czy przedstawiciele pierwotnej populacji otrzymali szansę na emigrację czy też może Zeus poświęcił ich w momencie, gdy zdecydował się przekształcić powierzchnię M13. Niestety, nie istniał sposób znalezienia odpowiedzi na to pytanie. Maq nie miał nawet pewności, czy Zeus respektuje jakiegokolwiek „humanitarne” zasady w swojej misji tworzenia jak największej powierzchni mieszkalnej dla ludzkości.

Nowe obiekty, które wyrosły przed pasażerami „Shellbacka”, przypominały olbrzymie piramidy i wyglądały na wytwór ludzkiej cywilizacji. Skupisko owych „piramid” stało na skalistej równinie, zaś między nimi i wokół nich rozrzucono niedbale miasteczka. Układ ten wyraźnie sugerował, że osady i piramidy są jakoś ze sobą powiązane. Terraformowanie tej strefy skupiało się głównie na tworzeniu żyznej gleby. Pasy zaoranej ziemi ciągnęły się aż po horyzont.

Podróżnicy okrążyli powoli teren, analizując zjawisko i rozważając strategię działania. Piramidy były naprawdę olbrzymie, zbudowane z ogromnych bloków ciosanego kamienia i prawdopodobnie wymagały pracy wielu pokoleń. Ponieważ wykonano je ze znacznie większą starannością niż budynki osady, zapewne miały szczególną wartość dla życia mieszkającej opodal nich spo-

łeczności. Maq uważnie wybrał miejsce, po czym kazał Cherry'emu wylądować w pobliżu jednej z nich.

Tym razem zamiast wyruszyć do osady Ancor postanowił poczekać, aż mieszkańcy sami się zbliżą. Po wylądowaniu podróżnicy otworzyli włązy i wystawili stół i siedziska. Lew, Sine i Cherry usiedli w świetle niskoorbitalnego ciała świetlnego, podczas gdy Carla [jakże nienawidziła swej roli!] przyrządziła i podała im posiłek. Brakowało jedynie Teza, który ukrył się w arsenale. Usiadł na fotelu celowniczym ciężkiego działka, wyraźnie przerażony bliskością zabójczej broni. Jednak dzięki jego poświęceniu reszta grupy mogła przybrać beztrioskie pozy osób zupełnie nieszkodliwych, choć starali się też nie prowokować mieszkańców zbyt ostentacją.

Minęła prawie godzina, zanim któryś z nich się zbliżył. W końcu jednak przed podróżnikami pojawiła się trójka postaci bliźniaczo ubranych w miękkie, szare bawełniane stroje. Stanęli w pewnej odległości i dyskutowali. Wreszcie jeden z mężczyzn ruszył śmiało ku siedzącej grupie. Jego sztywne, dystygowane maniere przywodziły na myśl kapłana. Tubylec zignorował Sine i Maqę, po czym nagle i zupełnie niespodziewanie padł na twarz przed Cherry'm. Iluzjonista, ubrany jak to miał w swoim zwyczaju w białą togę, skoczył na równe nogi z zaskoczenia i zerknął na Maqę, szukając porady. Ancor dał magikowi milczący znak przyzwolenia.

Zakłopotany Cherry przypatrzył się rozciągniętej przed nim na ziemi postaci, następnie przybrał swoją najbardziej teatralną pozę i przemówił:

– Ja, Cherry, nakazuję ci wstać!

Leżący podniósł się sprężyście na nogi.

– Pokornie cię witamy, panie, który poruszasz niebem, by uraczyć nas burzą. Jakiejż to przyczynie zawdzięczamy ten najbardziej niezasłużony z honorów?

– Eee, po prostu przelatywaliśmy – mruknął Cherry. Nie miał pojęcia, w jaki sposób poprowadzić konwersację, więc wybrał najprostsze wyjście. – Jesteśmy podróżnikami, studiujemy przeróżne lądy i ich mieszkańców.

Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz niedowierzania.

– Panie niebios, dziwnie do mnie przemawiasz. Czyż nie zostało zapisane, że jesteśmy ostatnimi i jedynymi?

– Nie wiercie we wszystko, co przeczytacie – odparł magik. Potem zauważył ostrzegawczy grymas na twarzy Maqą i dodał pospiesznie: – Ponieważ człowiek nie zawsze właściwie pojmuje pisma.

Oblicze tubylca zajaśniało nowym blaskiem.

– A mógłbyś nas oświecić, jaka jest droga prawdy, czcigodny panie?

– Ja, Cherry, potrafię pokazać wam rzeczy bardziej realne niż sama rzeczywistość.

Maq Ancor przerwał mu gwałtownie:

– Mój mistrz przybywa z daleka. Najpierw odpocznie, a dopiero później przyjdzie do was i pokaże wam swoją zdumiewającą moc. My zaś, jego słudzy, również chętnie was odwiedzimy i z bliska przyjrzymy się waszej kulturze. Jako że tylko poprzez wiedzę się rozwijamy.

Tubylec najwyraźniej dopiero teraz dostrzegł straszliwą głowę Ancora i natychmiast cofnął się o krok. Potem przesunął wzrok ku lśniącej, zielonoskórej Sine Anurze i chyba nagle odkrył, że znalazł się wśród aniołów, gdyż opadł na kolana z głośnym krzykiem, a następnie na długo przywarł do ziemi w czoło-

bitnej pozie. Kiedy ponownie otworzył oczy, grupa zniknęła, a włązy statku były zamknięte.

– Wydaje mi się, że możemy odnieść tutaj niespodziewane korzyści – zauważył Ancor, gdy znaleźli się wewnątrz. – W tej chwili posiadamy zaledwie szczątkowe informacje, toteż nie możemy zbyt ufać tubylcom, lecz najprawdopodobniej uznali Cherry'ego za pomniejszego proroka. Zamierzam ten fakt wykorzystać. Proponuję, żeby o zmroku nasz iluzjonista poszedł wraz z Carlą na skraj miasta i zorganizował dla tych ludzi holoshow. Wybierzcie jakiś autentyczny krajobraz z marsjańskiej powłoki. Niech przedstawienie da miejscowym sporo do myślenia, a jeśli nigdy nie widzieli holoprojektacji, uznają wasz pokaz za magię.

– Naprawdę zaawansowanej technologii nie sposób odróżnić od magii – oświadczył pompatycznie Cherry.

Maq zignorował jego napsuszony komentarz.

– Tez, chcę, żebyś został na pokładzie i czuwał przy działku. Jeśli znowu wpakujemy się w kłopoty, kilka pocisków świetlnych eksplodujących nad głowami tych prymitywów na pewno przekonają ich, że posiadamy prawdziwą moc i tanio nie oddamy skóry.

Tez wzruszył ramionami.

– Gdzie będziecie ty i Sine?

– Zamierzamy zbadać teren. Gdyby się udało, sprawdzimy jedną z piramid. Ewidentnie są dużo starsze niż reszta miasta i prawdopodobnie posiadają status świątyń. Podejrzewam, że skrywają odpowiedzi na wiele naszych pytań.

Tez niechętnie pokiwał głową, przystając na układ.

– Chciałbym jednak mieć stały kontakt radiowy. Skoro mam zostać, muszę wiedzieć, co się dzieje.

– Mądra uwaga – pochwalił go Ancor. – Każde z nas weźmie broń i nadajnik radiowy. Będziemy na bieżąco informować Teza o naszych posunięciach. Cherry, jeżeli dobrze oceniam porę dnia po

ruchach ciała świetlnego, masz godzinę na zorganizowanie holopokazu. Zdążysz?

– Dla ludzi utalentowanych nie ma rzeczy niemożliwych – odrzekł wyniosłe Cherry. – Tyle że... potrzebuję pomocników, którzy przeniosą rekwizyty i sprzęt.

* * *

Kiedy lokalne ciało świetlne zaczęło zachodzić za horyzontem, niebo zabarwiło się na moment barwami czerwieni, złota i purpury, które szybko wyblakły w szarość, choć nie w' zupełną ciemność, po przeciwnej stronie nieba wschodziło już bowiem drugie ciało świetlne. Gdy cienie zaczęły się wydłużać, nagle nowe światło załśniło na obrzeżach miasta, tkając z molekuł powietrza osobliwą opowieść. Ku zaskoczeniu widzów na skalistej równinie wyrosła panorama jednego z wielkich miast marsjańskiej powłoki, tak wiernie odtworzonego, że zdawało się w jakiś magiczny sposób faktycznie tu przeniesione.

– Hej ho! Ja, Cherry, przynoszę wam iluzje bardziej rzeczywiste niż sama rzeczywistość!

Nagle cała scena stopiła się i rozplynęła niczym bryła lodu w promieniu lasera. Pojawiła się następna wizja, przedstawiająca ruchliwy rynek zatłoczony tysiącami ludzi i oświetlony milionem lamp. Była tak szczegółowa i wiarygodna, że obserwatorzy niemal poczuli prawdziwy zapach owoców, warzyw i mięs.

Maq i Sine Anura tylko przez krótką chwilę przyglądali się widowisku. Ocenili, że tubylcy z zainteresowaniem oglądają pokaz i zapewne nikt nie przeszkodzi im w wejściu do świątyni, rozpoczęli więc poszukiwania. Szybko przemknęli, wykorzystując cień (zresztą oczy wszystkich mieszkańców i tak skupiły się na jaskrawej gali Cherry'ego), po czym wspięli się na piaszczystą rampę prowadzącą do szczeliny, która stanowiła wejście do wielkiej piramidy.

Dość łatwo odszukali wewnątrz świątynne kroniki. Trafili do społeczności, która opierała swój byt na rolnictwie i była głęboko religijna w sposób typowy dla środowisk potrzebujących „boskiego wsparcia” dla dokończenia żniw. Z tekstów wynikało, że Zeus zostawił ich równinę w stanie stosunkowo nienaruszonym, toteż ludność nie musiała prowadzić koczowniczego trybu życia. Maq i Sine uważali, że to przypadek, zaś mieszkańcy osady traktowali jego „łaskawość” jako nagrodę za swą pobożność. Modlili się do Zeusa i składali mu w ofierze co siódme niemowlę. I przez dwadzieścia dwie generacje Zeus powstrzymywał swój straszliwy gniew i obdarzał mieszkańców równiny łaską – tak przynajmniej wynikało z kronik świątyni.

W pewnym momencie Ancor spostrzegł, że zanika sygnał przekaźnika, który miał przy pasku i wyszedł na dwór, aby się skontaktować z „Shellbackiem”.

– Tez, najwyraźniej ściany piramidy blokują przekaz radio-
wy. Spędzimy w świątyni jeszcze około godziny. Wcześniej chyba nie zdołamy się z tobą porozumieć.

– Rozumiem, Maq. Czy Cherry wie, gdzie jesteście?

– Mówiliśmy mu, ale ma na głowie inne sprawy.

Lew spojrział przez równinę ku przedstawieniu.

Dosłownie na jego oczach wyrósł właśnie wielki lodowiec. Mimo ciepłego wieczoru na widok pasma lodowych szczytów szarpanych śnieżną burzą poczuł na plecach dreszcze. Cherry bez wątplenia opanował sztukę holoiluzji niemal do perfekcji. Ancor odwrócił się na odgłos wołania Sine Anury. Jej głos był zmieniony z powodu ogromnego podniecenia.

Rozdział 11

Niebiański pociąg

Wnosząc z blokowej konstrukcji piramidy, Maq i Sine Anura zakładali, że budowla jest bardzo solidna i prawdopodobnie poprzecinana tajemnymi tunelami. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Piramida była podzielona na szereg połączonych schodami wysokich kondygnacji, wspartych na grubych ścianach i mocnych filarach. Podróżników kompletnie zadziwił fakt, że tak potężną strukturę zbudowano jedynie przy użyciu połączonych luźno bloków kamiennych. Jakość wykonania szczerze ich zdumiała.

Każda kondygnacja była bogato udekorowana religijnymi symbolami i dewocjonaliami. Ponieważ wejście znajdowało się na szczycie, każde niższe piętro było szersze. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że cała ludność równiny spokojnie zmieści się w jednej piramidzie. Stopień zniszczenia szerokich stopni sugerował też, że budowle są bardzo stare. Fakt ten pasował do obserwacji Maqa – posiadaczy niezbędnych do ich skonstruowania umiejętności z pewnością nie było już wśród tubylców, w przeciwnym razie domy osady również odzwierciedlałyby rękę dobrego budowniczego.

Całe wnętrze piramidy oświetlały wielkie miedziane lampy, których knoty tkwiły zanurzone w misach z aromatycznym olejem. Cierpki zapach z palących się lamp wypełniał wszystkie pomieszczenia, nadając wielkim salom aurę ponadczasowości i starożytnej tajemnicy. Nietrudno się było domyślić, że tak osobliwe miejsce w istotny sposób zaważyło na kultywowaniu przez lokalną społeczność starych religijnych rytuałów.

Na ścianach znajdowały się rzeźbienia wżarte głęboko w litą skałę. Przedstawiały święte legendy, które nic nie znaczyły dla niewtajemniczonego obserwatora. Wyjątkiem był jeden, z pozoru dość banalny temat – konfrontacja między wielkimi statkami powietrznymi a roslymi bohaterami wykonującymi w ich stronę prowokujące gesty. Pozostałe były niezwykle różnorodne i fantastyczne, toteż Ancor i Sine zaczęli podejrzewać, iż nie opowiadają żadnej lokalnej historii, lecz są zniekształconym zapisem wspomnień mieszkańców całego świata M13, albo nawet innych światów czy powłok.

Niewiele więcej mogli zrobić poza sfotografowaniem sztychów w celu późniejszej interpretacji. Zatrzymali się na dłużej tylko przed jednym dziełem, które znajdowało się w najgłębszym i największym korytarzu. Scenka niby była nasycona szczegółami, lecz mimo to pozostawała prawie niezrozumiała – punkty połączono cienkimi liniami i określono symbolami. Były wśród nich: Byk, Rak, Skorpion, Wielki Wóz... A w samym środku widniała otoczona symbolicznymi promieniami ogromna kula, która dziwnym trafem skojarzyła się Maqowi z wielkim rubinem tkwiącym pośrodku platynowego stołu Land'y. Intuicyjnie czuł, że gdyby potrafili zrozumieć przekaz zawarty w tym obrazku, znaleźliby odpowiedzi na swoje pytania, niestety osobliwa atmosfera tego sanktuarium uspiła ich zmysły. Poza wszystkim zbyt długo już zamarudzili w piramidzie. Mieli przecież skontaktować się z Tezem.

Niechętnie ruszyli z powrotem po schodach. Dotarli już prawie na szczyt, gdy groźny dźwięk wybuchu odbił się echem w pustych korytarzach, po chwili zaś usłyszeli jeszcze głośniejszy głuchy łomot. Był tak intensywny, że aż zadrżały skalne bloki w ścianach piramidy.

* * *

Cherry zmęczył się wielkim przedstawieniem i zredukował skalę holoprezentacji. Strach, z którym widownia odbierała jego pokazy, przemienił go z proroka niemal w boga. Magik stanął teraz bliżej tłumu i „wyczarował” skały, z których niespodzianie trysnęła woda, po czym „wyprodukował” dziwne i przerażające zwierzęta, a następnie bez lęku zniszczył je przy użyciu ognia. Nigdy przedtem nie miał przed sobą tak oddanego i łatwowiernego audytorium. Aplauz wręcz go odurzył.

Nie był więc zadowolony, gdy Tez przerwał mu pracę, przywołując przez radio. Mówił strasznie spanikowanym głosem:

– Cherry, nie mogę się skontaktować z Maqiem. Jest w piramidzie, której ściany blokują sygnał. A coś... dziwnego dzieje się na górze, na niebie.

Na dalekim horyzoncie wschodziło właśnie ciało świetlne i Cherry pobieżnie rzucił ku niemu okiem, nie dostrzegł jednak niczego niezwykłego, więc kontynuował pokaz. Tyle, że Tez spojrział w przeciwnym kierunku, gdzie na ekranach czujnych radarów pojawił się akurat jakiś powietrzny fenomen, który sunął powoli przez powietrze niczym stalowy obłok.

– Cherry, możesz się skontaktować z Maqiem? Szykuje się coś strasznego! Jestem co do tego absolutnie przekonany.

Magik przerwał prezentację i popatrzył ponownie, tym razem we właściwym kierunku. Na tle z wolna jaśniejącego, szarego nieba ociężałe przesuwała się wielka eskadra połączonych ze sobą statków powietrznych. Razem wyglądały jak pociąg. Ich silniki wypełniały przestrzeń głuchym warkotem. Od podniebnej kawalkady oderwało się kilka statków i skierowało niemal wprost ku skrajowi miasta i piramidzie. Widownia Cherry’ego odwróciła się i także zagapiła na statki. Zapadło niesamowite milczenie. W blasku swoich laserów iluzjonista dostrzegł szczery przestach na twarzach mieszkańców. W minutę później dziób pierwszego stat-

ku znalazł się bezpośrednio nad ich głowami... I zaczęły się z niego sypać tysiące ton drobno granulowanej gleby. Za chwilę mogli zostać całkowicie zasypani!

Na szczęście spadająca ziemia rozpraszała się w powietrzu i tylko nielicznym groziło bezpośrednio niebezpieczeństwo zmiżdżenia lub zagrzebania, chociaż suchy „deszcz”, który gromadził się na głowach, ramionach, dachach i ścianach, zaczął zacierać zarys miasta. Widok był prawdziwie przerażający. A jednak nastrój tłumu znowu się zmienił, gdyż ludzie zrozumieli, że nawet jeśli ich domy zostaną zasypane, oni sami raczej przeżyją. Niektórzy wprawdzie biegali w panice, lecz większość zamarła w oczekiwaniu. Nagle, groźnie wymachując pięściami ruszyli w stronę Cherry’ego i Car li.

Do magika jako pierwszy dotarł wielki muskularny tubylec.

– Oszukałeś nas, Panie Nieba! W czasie, gdy obserwowaliśmy twoje cuda, wezwałeś swoje maszyny, które mają nas pogrzebać żywcem.

Nie zrobiłem tego! – krzyknął Cherry. – Uwierzcie mi! Takie decyzje należą do Zeusa, nie do mnie.

– Rozkaż im, niech odejdą.

– Nie potrafię. Nie posłuchają mnie.

Wielkolud nie wierzył mu.

– A zatem nie jesteś potężniejszy od Zeusa? Ty, który umiesz budować góry w sekundy, podczas gdy Zeus potrzebuje na to całych żywotów?

– Niczego nie rozumiecie – tłumaczył się Cherry. – Wykonałem ten pokaz przy pomocy holografii...

W następnej sekundzie został powalony na ziemię i w połowie zasypany spadającym błotem. Dopiero po chwili czyjeś ręce złapały go za osłabione nogi; ludzie zaczęli go wyciągać. Rozwrzeszczaną Carlę również ktoś podniósł. Oboje znaleźli się na

czele procesji, która ruszyła na obrzeże równiny, gdzie spadało znacznie mniej ziemi. W coraz jaśniejszym świetle świtu Cherry dostrzegł, że mnóstwo osób przynosi gałęzie pobliskich zarośli. Najwyraźniej budowali ofiarny stos pogrzebowy. Nie sposób było odmówić im logiki. Uznali, że dając się omamić fałszywemu prorokowi rozgniewali Zeusa, który właśnie ich karał. Może dla całkowitego ugłaskania bóstwa będą musieli spalić wiele ofiar, ale czyż na początek istnieje lepsza metoda pokuty niż poświęcenie osób, które spowodowały boski gniew?

Na statku Tez dosłownie szalał z niepokoju. Cherry zostawił włączony nadajnik, jednak dźwięki i fragmenty konwersacji, które docierały do „Shellbacka” poinformowały technika tylko o jednym: Carla i iluzjonista mieli kłopoty. Na ekranach radarów Tez widział, że coś dziwnego dzieje się nad miastem, lecz radar nie nazywał rzeczy po imieniu. Istniał zaledwie jeden pewnik – za aktualny bałagan odpowiedzialne były wielkie pociągi, które sunęły po niebie. Piskliwym ze strachu głosem mężczyzna ponownie zaczął krzyczeć do nadajnika, usiłując się połączyć to z Cherrym, to z Maqiem, niestety nie otrzymał żadnej odpowiedzi. W końcu, z braku innych instrukcji, odwrócił działko ku dziobowi głównego wagonu podniebnego pociągu i wypalił. Rozległ się huk wystrzału, potem wybuch i wielki latający „przewoźnik błota” runął w dół, spadając wprost na piramidę.

* * *

Kiedy Maq i Sine w końcu dotarli do wyjścia z piramidy, przerazili się, gdyż było całkowicie zasypane przez ziemię. Próbowali oczyścić teren, ale osiągnęli efekt odwrotny do zamierzonego – do środka wpadło jeszcze więcej ziemi. W końcu, po kilku

próbach powstał otwór, przez który mężczyzna i dziewczyna zdołali wypełznąć. Ancor natychmiast włączył przekaźnik.

– Tez, co się, do diabła, dzieje?

– Dzięki Bogu, że wróciłeś, Maq! – Ulga w głosie Teza była aż nazbyt wyraźna. – Zdaje mi się, że Zeus zapelnia całą równinę glebą. Po niebie suną ogromne transportowce terraformujące... A Carla i Cherry mają straszne kłopoty. Mieszkańcy obarczyli ich winą za spadające błoto.

– Gdzie są teraz?

– Gdzieś na równinie. Nadajnik magika ciągle działa, ale Cherry go nie używa.

– Dobrze! Spróbuję go namierzyć. Zostań pod bronią, Tez, ale jeśli będziesz musiał znowu strzelać, postaraj się, by tym razem żaden z tych transportowców nie spadł nam na głowę.

Ciało świetlne podnosiło się szybko i robiło się coraz jaśniej. Widać już było drogę zarówno do miasta, jak i do „Shellbacka”, tyle że miejsce zmieniło się niemal nie do poznania. Cały teren pokrywała gruba na stopę pylista brązowa ziemia, toteż zarysy budynków miasta widoczne były jedynie jako zaokrąglone garby i tylko w niektórych miejscach błyskały fragmenty nie oblepionej błotem ściany. Wszędzie wokół kręciły się grupki pokrytych ziemią tubylców. Większość wyglądała nieco bezkształtnie, chyba że udało im się umknąć przed deszczem ziemi z sunących po niebie transportowców.

Ciała Maqa i Sine szybko pokryły drobiny wszechobecnego w powietrzu pyłu oraz ziemi i oboje upodobnili się do „brązowych” mieszkańców równiny. Może dlatego nie napotkali z ich strony najmniejszego oporu ani żadnej w ogóle reakcji. Prędko zlokalizowali przekaźnik Cherry’ego, opuszczony i na wpół zagrzebany w błocie. Ancor wykopał go i wraz z dziewczyną bacznie rozejrzeli się po okolicy. Szczególnie dokładnie przypatrzyli

się dziwnemu zagajnikowi, który po chwili okazał się wielkim stosem gałęzi. Na jego szczycie – niczym kłody -leżała poszukiwana para. Cherry i Carla mieli związane ręce i nogi mi i byli prawie całkowicie pokryci glebą. To samo zjawisko, które przyczyniło się do ich kłopotliwego położenia, teraz uratowało im życie, ponieważ sypka ziemia opadła na stos ofiarny i ugasiła płomień. Niedoszłe ofiary pozostawiono samym sobie.

Po uwolnieniu nieszczęśników, Maq zauważył, że ostatnie podniebne kontenery docierają właśnie nad równinę. Były rozstawione wyjątkowo szeroko i obszar ich działania obejmował znacznie większy region. Przynajmniej jeden z nich kierował się ku stosunkowo czystemu miejscu, gdzie wylądował „Shellback”. Ancor natychmiast odkrył prawdziwe niebezpieczeństwo. Do startu atmosferycznego i niskiego lotu statek potrzebował odrzutowych silników strumieniowych oraz potężnych raketowych silników sterujących, które zasysały powietrze, ogrzewały je poprzez wtrysk paliwa i używały przegrzanego wydmuchu do poderwania maszyny i lotu. Niestety, żaden silnik odrzutowy nie może funkcjonować, kiedy wlot powietrza jest zatkany mialką ziemią.

Krzycząc do Teza, by spróbował powstrzymać nadejście niebiańskich pociągów, Maq dosłownie niósł Carlę i podtrzymywał słabego Cherry’ego. Najszybciej, jak tylko mogli wracali na statek. Tez wystrzelił z działka. Trafił w przód kawalkady transportowców, które zapaliły się i rozświetliły skądinąd ponurą scenerię. Dwa spośród gigantycznych przewoźników zatrzymały się na moment, po czym runęły w dół, powodując lekkie wstrząsy ziemi. Reszta pozostała stosunkowo odporna na niewprawny i do tego źle skorelowany ostrzał Teza i zanim podróżnicy dotarli do „Shellbacka”, mieli już bezpośrednio nad głowami przerażające transportowce.

Rozdział 12

Kosmiczne gigamąty

Statek niechętnie uniósł się w powietrze. Silniki działały kiepsko, w wyniku czego maszyna niebezpiecznie przechylała się i chwiała. Co gorsza, transportowce również zmieniły strategię. Ich kontenery tworzące dotąd jednolity podniebny pociąg, teraz rozdzieliły się i zboczyły ze wspólnej trajektorii, po czym – niby stalowy pierścień – zgromadziły się nad miejscem startu „Shell-backa”. Najwyraźniej niektóre transportowce otrzymały polecenie zniszczenia małego statku. Licho wie, czy w ostateczności nie zmieniają się w kamikaze. Tak czy owak, podróżnicy rozpoczęli właśnie bezpośrednią konfrontację z maszynami samego Zeusa.

W błyskach wybuchów Maq dostrzegł, że cała populacja miasta pospiesza ku piramidzie. Przyszło mu do głowy, że budowla zapewne służyła kiedyś jako schron przed co groźniejszymi etapami programu terraformującego Zeusa. Przypomniał sobie rozmiar korytarza u podstawy piramidy, która prawdopodobnie powstała na długo przed utworzeniem skalnej równiny, bowiem jedna trzecia jej „parteru” była już zagrzebana w ziemi. Jeśli składowano tam zapasy i z nieba nie spadnie więcej niż dwadzieścia stóp gleby, mieszkańcy osady mieli sporą szansę przeżyć kataklizm. Lew życzył im szczęścia. Szczerze wierzył w moc przetrwania człowieka, któremu nie może przeszkodzić nawet maszyna – choćby nie wiadomo jak skomplikowana i potężna. Jego zdaniem ludzie potrafili przetrwać mimo wszelkich przeciwności losu.

W chwili obecnej jednakże podróżnicy musieli się martwić o siebie, gdyż ich przetrwanie było mniej niż pewne. Zagrozały im

zarówno samobójcze transportery, jak i pozostałe, które zamierzały „tylko” zrzucić na statek tony błota, zaś silniki odrzutowe „Shellbacka” działały z przerwami, nieregularnie, bowiem wloty powietrzne stale się zapychały. Statek wzleciał na wysokość stu stóp, lecz nie mógł utrzymać się nawet na tej wysokości i zaczął lekko opadać, pomimo dokonywanych przez Cherry’ego szaleńczych prób poderwania. Co jakiś czas maszyna słała się zaledwie kilka stóp nad ziemią. Istniało poważne niebezpieczeństwo, że podwozie trzaśnie w którąś z pozostałych jeszcze na powierzchni skał.

Magik jakimś sposobem zdołał utrzymać „Shellbacka” w powietrzu, i – chociaż unieruchomiony – mały statek stopniowo zdołał umknąć swoim wielkim, stalowym prześladowcom, którzy na szczęście nie ruszyli za nimi w pościg. Tym samym podróżnicy znaleźli się nagle poza obszarem wiszącej w powietrzu piaszczystej chmury. Iluzjonista dzielnie kierował „Shellbackiem”, aż pozostałe w miejscu transportowce zmały do plamek na niebie, potem dał znak Maqowi, że przed kontynuacją podróży muszą wylądować, aby oczyścić filtry.

Na lądowisko wybrali miejsce w szerokim wąwozie o skalnych ścianach. Po dokładnym przeglądzie podróżnicy odkryli, że filtry są w gorszym stanie niż przypuszczali. Z powodu gorąca powstałego w wyniku wielokrotnych zapłonów sporo ziemi stopiło się i przyłgnęło do płytek filtrów. Cała ekipa pracowała intensywnie przez dziesięć godzin, zanim udało się rozebrać filtry i wymienić płytki. Przez cały ten czas radar monitorował niebo, podróżnicy nie mieli bowiem zamiaru dać się powtórnie zaskoczyć latającym kontenerom. Fortunnym zbiegiem okoliczności, nic się nie działo, jedynie daleko na horyzoncie zaobserwowali jakieś obiekty. Dopiero po wielu godzinach, gdy gotowali się do

krótkiego odpoczynku przed montażem czystych już filtrów, Sine Anura po obejrzeniu ekranów radarów wydała nagły krzyk:

– Maq, leci na nas coś naprawdę dużego!

Ancor wpadł do środka przez właz.

– Z którego kierunku?

– Z samej góry. Chodź i sam zobacz!

Zanim dotarł do ekranów, dziewczyna zdążyła włączyć skaner optyczny. Widok przeraził oboje. Ogromny (długi na pół mili) kosmiczny wehikuł z dziwacznymi dodatkami, które nadawały mu wygląd wypasionego metalicznego insekta, opadał na odrzutowych silnikach strumieniowych – znajdowały się w tak potężnych gondolach, że każda mogłaby pomieścić całego „Shellbacka”. Mimo odległości, na ekranach widniał gigantyczny statek o kadłubie pokierszowanym i poszatkowanym licznymi wgnieceniami. Maq pomyślał, że maszyna nosi ślady zmagania z żywiołami, o jakich im się nawet nie śniło.

Jak na zawołanie przypomniała mu się opowieść Land’y o machinach, które potrafiły przenieść „...niewyobrażalnie wielkie agregaty z regionów, do których nie jest w stanie dotrzeć żaden człowiek”. Lew był pewny, że ich niepożądany gość należy właśnie do potężnych kosmicznych gigantów, które brały udział w pozyskiwaniu materiału niezbędnego do budowy kalderoidów i powłok. Jego kurs jednakże sugerował jasno, że tym razem maszyna goni za „Shellbackiem”.

Gdy Lew przyjrzał się ogromnym stalowym „odnóżom” specjalnie przystosowanym do lotów kosmicznych i z mikrometrową precyzją namierzającym cel, uświadomił sobie, że jego statek – choć wytrzymały – z pewnością nie przetrwa ewentualnej konfrontacji z tym mechanicznym monstrum. Dziesięć zębatach chwytaków – każdy wielokrotnie większy od „Shellbacka” – prawdopodobnie potrafiły dopaść i zniszczyć mały statek z łatwo-

ścią kota chwytającego mysz na otwartym terenie. Na nieszczęście filtry nie zostały jeszcze zmontowane, więc podróżnicy nie mieli szans na natychmiastowy awaryjny odlot i nawet gdyby Maq postanowił potraktować wroga głowicami jądrowymi, nie miał gwarancji, że zdoła go zniszczyć na czas. Obliczył, że ma mniej niż sześć minut na wymyślenie alternatywnej drogi ocalenia. Wciąż bez skutku głowił się nad ewentualnym sposobem obrony, kiedy po raz nie wiadomo już który naszła go natrętna myśl o dziwnym zestawie jego załogi i zastanawiającej logice, z jaką została dobrana. Niecałe trzydzieści sekund później podjął decyzję i zaczął wydawać polecenia.

Wkrótce potem dotarł do nich narastający warkot odrzutowego napędu opadającego kosmicznego lewiatana, zaś gwałtowny ryk jego silników hamujących sugerował, że maszyna zamierza krążyć w miejscu na wysokości, z której łatwo będzie mogła podnieść z ziemi swoją zdobycz. Ogromna masa zaczęła przesłaniać blask przesuwanego się ciała świetlnego i długa smuga cienia stopniowo objęła cały skalny wąwóz, w którym schronił się „Shellback”. Potem zdarzyło się coś niezwykłego: w złowieszczym półmroku zmaterializowała się panorama Solaryjskiego Cyrku wraz z ruchliwymi promenadami obwieszonymi jaskrawą iluminacją i wielkimi kulami sal pokazowych prezentującymi się dumnie na tle urwistych ścian wąwozu. A gdzieś w strefie piątej, w ruinach dawnego amfiteatru iluzjonisty imieniem Castor strzeliły wysoko w niebo języki ognia.

Członkowie ekipy małego statku właściwie nie wierzyli, że ów pokaz holoiluzji ich uratuje, więc czekali w przerażeniu, aż gigant złapie ich maszynę stalowymi pazurami i zgniecie ją na proch. Chwytki rozhuśtały się niezdecydowanie, jakby komputer pokładowy zastanawiał się, czy rzeczywiście tę istotę kazano mu zlikwidować. Przez pełne trzy minuty kolos wisiał nieruchomo,

wyraźnie wahając się co zrobić, podczas gdy na pokładzie „Shellbacka” z każdą mijającą sekundą napięcie rosło i rosło, osiągając w końcu stadium bliskie hysterii. Wreszcie ponownie odpaliły wielkie raketowe silniki sterujące i gigantyczna latająca ciężarówka zawróciła ku dalekiemu horyzontowi. Wyczerpana psychicznie załoga „Shellbacka” eksplodowała okrzykiem radości. Cała piątka opadła rozluźniona na fotele, odreagowując stres. Do niektórych tak naprawdę dopiero teraz dotarło, że przed chwilą otarli się o śmierć.

* * *

Znajdowali się mniej więcej w pół drogi wokół kalderoidu. Ich samopoczucie znacząco się pogorszyło i dalsza podróż nie nastrejała optymizmem, uzyskali bowiem dowód, że Zeus nie tylko jest świadom ich obecności, ale w dodatku jest do ich ekspedycji nastawiony zdecydowanie wrogo. Istniało spore prawdopodobieństwo, że każde spotkanie z wielkimi maszynami będzie się wiązać z kłopotami, jednak Maq nie sądził, by wszystkie one miały na pokładzie broń. Z drugiej strony, maszyny które potrafią przesuwac góry lub przemieszczać asteroidy, nie muszą się zniżać do tradycyjnego ataku. Mimo to Lew żywił nadzieję, iż „Shellback” jest na tyle niepowtarzalny, że Zeus nie przygotował w stosunku do niego jakiejś szczególnej strategii.

Jednostajny krajobraz przesuwiał się pod nimi przez z górą tysiąc mil, a potem odmienił się tak nagle, że podróżnikom aż zaparło dech z wrażenia. Statek przeleciał ponad krawędzią tworu, który uważali za spore urwisko i natychmiast znaleźli się nad olbrzymią i straszliwą pochyłością, opadającą pełne trzydzieści mil do miejsca, gdzie szara skalna powierzchnia płaszcza M13 została dosłownie i całkowicie zdarta podczas operacji terraformowania o

prawdziwie przerażającym rozmachu. Na powierzchni o średnicy tysiąca mil cała skorupa planety znikła i dopiero ten osobliwie obcy pejzaż uzmysłowił im (wyraźniej niż wszystkie widziane dotąd w trakcie podróży zjawiska) ogrom skali, na jakiej działały maszyny Zeusa przekształcające świat.

Monotonna szarość skalnego podłoża szybko znużyła podróżników, zaś bezmiar jałowego krajobrazu popsuł im humory. W końcu przelecieli szczelinę i dotarli nad potężną, wysoką na trzydzieści mil ścianę skalną. Na jej szczycie dostrzegli pierwotną powierzchnię M13, którą Zeus sam kiedyś stworzył, a następnie zdecydował się przetransformować. Nawet na pierwszy rzut oka widać było, czego brakowało oryginalnemu układowi. Na krajobraz składały się wzgórza i góry, doliny i równiny, a jednak nie posiadał on pewnego niezwykle istotnego szczegółu, niezbędnego dla gatunku, który wyszedł z oceanu – wody. Na całym przemierzonym dotąd terenie nie dostrzegli ani jednego morza, jeziora czy rzeki. Z tego też względu jedyną roślinność stanowiły suche, zmierzwione mchy.

Całą piątką zgodnie uznali, że kraina absolutnie nie nadaje się do zaludnienia, jakież zatem było ich zdziwienie, gdy Cherry przyciągnął ich uwagę, wskazując wielkie zrujnowane miasto. Maq chciał natychmiast przeprowadzić w nim poszukiwania, chociaż lecąc tuż nad sypiącymi się dachami wkrótce uznali, że miasto jest opuszczone i porzucone. Wylądowali na placu w centrum miasta, doświadczając niesamowitego uczucia, że są jedynymi żywymi istotami w świecie zasuszonych i zakurzonych duchów.

Po rozmiarze miasta doszli do wniosku, że jego społeczność – może nawet wielomilionowa – żyła tam przez dziesiątki lat, choć (ocenili to po kształtach kilku nietkniętych dachów) nigdy nie spadł tu żaden deszcz ani też nikt się takowego nie spodziewał. Podejrzewali, że w tej sytuacji populacja pozostawała całko-

wicie zależna od Zeusowych transportowców przywożących im wodę. Prawdopodobnie po jakimś czasie zaopatrywanie osady przestało się Zeusowi wydawać warte wysiłku... Ancor zadał sobie pytanie: czy mieszkańców miasta ewakuowano czy też... Może Zeus po prostu pozostawił ludzi na pewną śmierć?

Lew prędko znalazł odpowiedź. Była przerażająca. Obfitość pergaminowych szkieletów, często skupionych po kilka w jednym domu, jasno wskazywała, że ewakuacji nie było. Czasami rozmieszczenie ciał sugerowało, że ludzie przed śmiercią toczyli żaźarte boje o naczynie, które prawdopodobnie zawierało resztkę cennego płynu, niestety nawet zwycięzca takiej walki zaledwie o parę godzin opóźniał swą straszliwą agonię. Gdy podróżnicy wędrowali po zapyłonych ulicach, mimowolnie tworzyli sobie w wyobraźni wizję tych ostatnich godzin, wypełnionych przerażającą beznadziejnością i może nieokreśloną, irracjonalną nadzieją. Wiara, którą ludzie pokładali w Zeusa, tu została nieodwołalnie pogrzebana. Zeus bez wahania skazał wielomilionową społeczność na śmierć w męczarniach. Udreka zdradzonych ludzi była niemal fizycznie odczuwalna. Spacer po tej przerażającej krainie duchów był nie do zniesienia. Jednakże najwyraźniej nie cała ludność poddała się biernie nieszczęściu. Na obrzeżach miasta znajdował się szeroki, piaszczysty basen, nad którym sterczało kilka nieregularnych metalowych kształtów. Po bliższym zbadaniu tych zagrzebanych w naniesionym piasku przedmiotów Maq i Sine z zaskoczeniem odkryli wraki brutalnie zdemolowanych ogromnych maszyn terraformujących. W odległej przeszłości (której nie dało się precyzyjnie określić) ludzie z absolutnie świadomym zamiślem wypowiedzieli Zeusowi wojnę i nawet osiągnęli wymierny sukces w bitwie z jego mechanicznymi sługami. Nie było wprawdzie jasne, czy podnieśli bunt przed wymuszoną suszą czy też z jej

powodu, lecz Zeus z pewnością właśnie wtedy odkrył w ludziach groźnych przeciwników.

Może dlatego zmartwił go widok małego, uzbrojonego, dowodzonego przez zawodowego zabójcę statku, który leciał wprost ku centrum Solarii.

Rozdział 13

Ręka dozorczy

– Powiedz mi szczerze, Tez! – nalegała Carla. – Kiedy mniej więcej dotrzemy do tego słońca?

– Według Cherry’ego, znajdujemy się ponad sto milionów mil od niego. Sama wiesz, że minęliśmy dopiero jeden mały kalderoid.

– Mówisz takim tonem, jakbyś znajdował w tej podróży przyjemność.

– Bo tak faktycznie jest. Zaczynam się nią cieszyć. Land’a chciał, abyśmy doświadczyli cudu. Wyczuwam ten cud wszędzie wokół, Carla, i moje serce się nim raduje.

– A cóż jest radosnego w leżeniu na stosie ofiarnym ze związanymi kończynami? Najpierw cię podpalają, a później spada na ciebie błoto. Gdzie tu cud, a może coś przeoczyłam?

– Chodzi o granice, Carla. Człowiek stale pędzi do przodu, gdyż kieruje nim pierwotna ciekawość odkrycia tego, co znajduje się za następnym wzgórzem. Wkrótce osiągniemy wewnętrzną powierzchnię marsjańskiej powłoki. Wyobraź sobie, jakie widoki nas tam czekają! Ludzie i miejsca odmienne od wszystkiego, co możesz sobie wyobrazić.

– Pleciesz kompletne nonsensy! Jak wewnątrz marsjańskiej powłoki mogą się znajdować ludzie i krajobrazy? Skoro na zewnątrz powłoki grawitacja spada, więc na jej wewnętrznej stronie z pewnością wzrasta. Ten fakt powinien być oczywisty... nawet dla ciebie.

– Fakty wcale tak prosto nie wyglądają. – Tez szukał jakiegoś klarownego porównania, na którym mógłby zbudować swój wywód. – Pomyśl o tym kalderoidzie, Carla. Ludzie żyją „na jego szczycie” i „pod nim”, a także wszędzie dokoła. Jest on podobny do powłoki marsjańskiej. Powłoka jest gruba niczym cały świat, toteż jej masa po obu stronach tworzy grawitację wystarczającą do życia.

– Mów, co chcesz, Tez, ale nigdy mnie nie przekonasz, że ludzie żyją na wnętrzu powłoki. Musieliby chodzić do góry nogami. To idiotyzm.

Mężczyzna zagryzł wargę.

– Cherry mówi...

– Cherry! – Jej pogarda niemal się zmaterializowała w powietrzu w chmurę toksyn. – Jeśli z góry odrzucisz dziewięćdziesiąt procent jego wypowiedzi, pozostałe dziesięć i tak okaże się bzdurne. Żałuję, że nie odeszłam do Castora, gdy zaproponował mi pracę.

– No cóż, dlaczego zatem nie odeszłaś?

– Ponieważ... ponieważ... – Odwróciła się ku niemu i nagle złagodniała. – Z twojego powodu, ty wielki, niezręczny, ale i uroczy idioto. Nie kłóćmy się więcej, Tez. Porozmawiajmy o przyszłości.

Uśmiechnął się szeroko i porwał ją w ramiona.

– Daj spokój przyszłości! Porozmawiajmy o teraźniejszości.

Wyciągnął z kieszeni otrzymaną od Land’y złotą fiolkę. Miała zintensyfikować rozkosze ich cielesnej miłości. Nieco lekliwie

Carli pozwoliła się rozebrać i zgodziła się przyjąć niewielką dawkę złotego eliksiru. Nagle cały jej gniew wyparował, zapomniała o wszelkich oporach i para oddała się tak szalonej fizycznej rozkoszy, że nawet Maq i Sine byliby zaskoczeni.

* * *

Tymczasem Maq siedział przy komputerze i porządkował dane dotyczące światka M13, który właśnie opuszczali. Kiedy podsumował odczyt, od liczb aż zakręciło mu się w głowie. Cała zewnętrzna powierzchnia marsjańskiej powłoki liczyła $2,5 \times 10^{17}$ mil kwadratowych. Rozmiar ten wydawał się szczególnie oszałamiający, jeśli porównać go z niezmierzonymi przestrzeniami, które dotąd przebyli, a które stanowiły ledwie jego ułamek.

Średnica kalderoidu M13 wynosiła w przybliżeniu osiem tysięcy mil, jego obwód około dwadzieścia pięć tysięcy mil, zaś powierzchnia trochę ponad dwieście milionów mil kwadratowych. Na pierwszy rzut oka M13 wydawał się spory, lecz marsjańska powłoka była bez porównania większa. Gdy Lew uprzytomnił sobie, ile razy była większa, zmroziło całe jego ciało – aż po błędzące po klawiaturze palce. W kategoriach strefy powierzchniowej stworzonej dla powiększenia przestrzeni życiowej ludzkości powłoka stanowiła ekwiwalent tysiąca dwustu pięćdziesięciu milionów kalderoidów rozmiaru M13!

Zrozumienie liczb pociągnęło za sobą świadomość ogromu problemu Zeusa. Maq przypomniał sobie, co powiedział Land'a. Na początku był tylko jeden świat. „Jakoś zdołali tworzyć drugi, a wkrótce musieli je podwoić i znowu podwoić, i tak dalej”.

Ile razy trzeba coś podwajać, aby osiągnąć tysiąc mil? Nie tysiąc razy, nawet nie sto. Wystarczy trzydzieści! Skoro ludność podwaja się co trzydzieści lat, populacja marsjańskiej powłoki w

ciągu tysiąca lat zdoła zapełnić tysiąc milionów marsjańskich powłok.

– Maq! – odezwał się Cherry przez interkom. – Już prawie przelecieliśmy przez marsjańską powłokę. Jaki pułap lotu chcesz utrzymać?

– Lepiej trzymajmy się blisko powierzchni M13, aż oddalimy się od stożka. Na wypadek, gdyby czekała na nas w górze kolejna fala uderzeniowa.

– Widzę stożek na monitorach skanera, ale otacza go również mnóstwo innych obiektów. Jesteśmy za daleko, abym je rozpoznał.

– Przyjdę zerknąć. Nic nie wiemy o tej części przestrzeni, więc chyba lepiej nie ryzykować.

Kiedy „Shellback” ostrożnie leciał ku wielkiemu otwarciu, stanowiącemu przejście z kalderoidu na wewnętrzną powierzchnię marsjańskiej powłoki, zjawisko neutralnej refrakcji atmosfery, słabnącej niemal do próżni w szerokiej na tysiąc mil międzyprzestrzeni, przebiegało zgodnie z przewidywaniami. Jedynie przyrządy nawigacyjne powiedziały podróżnikom, że przekroczyli już krawędź stożka i znaleźli się bezpośrednio w przestrzeni Barana, która oddzielała koncentryczne kule powłok marsjańskiej i ziemskiej z odstępem czterdziestu dziewięciu milionów mil. Skanery i ekrany radarów były' wszakże o wiele precyzyjniejsze. Krawędź stożka tworzyła wielki ocieniony półksiężyc na powierzchni ekranów, zaś w czerni, która reprezentowała przestrzeń za stożkiem, migotała garść jasnych kropeczek. Widniały ponad szczeliną niczym czujne oczy w nocy.

– Komitet powitalny Zeusa, jeżeli się nie mylę – zauważył Ancor. – Prawdopodobnie cała flotylla kosmicznych gigamąt. – Zajął się regulacją jednego ze skanerów, starając się poprawić obraz. – Tak, ani chybi ekipa Zeusowych sprzątaczek!

– Co robimy? – spytał Cherry.

– Najwyraźniej czekają na nas, więc nie mamy zbyt dużego wyboru – musimy się przebić. Na szczęście, z tej odległości od M13 w razie potrzeby możemy bezpiecznie użyć głowic jądrowych.

– Czy nie istnieje ryzyko, że opad radioaktywny skazi zamieszkałe tereny na powierzchni wewnętrznej?

– O tę akurat kwestię nie martwiłbym się zbytnio – odparł Ancor, nie starając się wcale wyjaśnić swojego stwierdzenia. Podszedł do panelu sterowania ogniem i zaczął uzbrajać pociski. – Kiedy dam ci znak, skierujesz statek prosto ponad krawędź między dwie śmieciarki, a potem wyrównasz lot na drugą stronę powierzchni stożka. W ten sposób nie będą mogły znaleźć się pod nami, będziemy mieć na głowie jedynie flanki i górę. Zawsze to coś.

– Czy są uzbrojone? – spytał nerwowo Cherry.

– Szczerze w to wątpię. Ale nie możemy lekceważyć ich bojowego potencjału, w końcu maszyny zaprojektowano do chwytania asteroid w locie. Mam nadzieję, że pociski oczyszczą nam drogę. Szczelina, która utworzy się po wybuchu, powinna wystarczyć „Shellbackowi” na przejście bez zbyt dużych zniszczeń.

– Dlaczego mówisz, że „masz nadzieję”?

Tysiąc emocji przemknęło przez twarz Lwa. Zazwyczaj egocentryczny Cherry z fascynacją patrzył na oblicze swego towarzysza.

– Właśnie zaczynam doceniać naturę ludzkich związków z Zeusem. Więzień powinien pomyśleć dwa razy, zanim ugryzie rękę swego dozorca.

Magik nie miał czasu zastanawiać się nad spostrzeżeniem Maqa. Zajął się przygotowaniem do przejścia z lotu atmosferycznego w szybki lot kosmiczny. Potem, na sygnał Ancora, mały sta-

tek poderwał się z powierzchni M13 i pomknął ku dalekiemu stożkowi, podczas gdy reszta podróżników obserwowała posunięcia eskadry wielkich śmieciarek, które wisiały groźnie nad ich głowami.

Dla postronnego obserwatora ruchy gigamąt przywodziły na myśl kosmiczny balet. Dyrygował nimi gigantyczny latający mechanizm. Było jakieś nieludzkie piękno w gracji i precyzji, z którą zawiadywał nimi niczym sforą stalowych drapieźników. Każda z gigamąt wyglądała jak mechaniczny rekin-ludojad, każda z pozoru skupiała się na swym zabójczym zadaniu, a jednak potrafiły współpracować w taki sposób, by wzajemnie nie wchodzić sobie w paradę. „Shellback” umykał tuż nad powierzchnią stożka jak przerażony zając przed watahą wygłodniałych wilków.

Maq wszakże dokładnie skalkulował skuteczność takiej strategii ataku. Kiedy pierwszy z jego pocisków dosięgnął najbliższej, a zatem najgroźniejszej z gigamąt, dwie inne natychmiast podążyły za nim i – ponieważ nie były w stanie na krótkim dystansie skorygować swojej trajektorii lotu – trafiły w rozpadający się wrak. Zderzenie zakończyło się tak potężną eksplozją, że tylko osłony antyradiacyjne „Shellbacka” ochroniły załogę statku przed napromieniowaniem. Ponieważ małemu statkowi nie zagrażał już bezpośredni atak, Maq wystrzelił dwa kolejne pociski w kierunku głównego zgrupowania gigamąt – z podobnymi rezultatami. Potem nagle minęli stożek i skierowali się w dół ku nieprzenikalnej ciemności okrywającej stoki „wulkanu”, porównywalnego wielkością z samym Han-sa’s-Arimem.

Zastygli w niepewności, oczekując w każdej chwili ponownego ataku. Co zaskakujące, żadna z gigamąt nie podążyła za nimi poza stożek, a kiedy uciekli tak daleko, że wielki „wulkan” był już tylko cieniem na ekranie radaru, dostrzegli, że monstrial-

ny statek ponownie ustawił gigamąty w formację; prawdopodobnie otrzymał rozkaz odlotu.

Wtedy właśnie Maq zauważył, że z Cherrym dzieje się coś dziwnego. Mimo iż podróżnikom przestało zagrażać niebezpieczeństwo, twarz iluzjonisty zastygła w grymasie człowieka, któremu śni się koszmar, lecz jest absolutnie przekonany, że trwa na jawie. Ancor szybko włączył automatycznego pilota i poszedł do Cherry'ego.

– Lepiej trochę odpocznij, stary. Przeżyliśmy trudne chwile. Magik podniósł wzrok.

Nie chodzi o lot, ale o to... – Wskazał monitor podglądu zewnętrznego, gdzie widniała absolutna ciemność nierozjaśniona promieniami żadnego ciała świetlnego, a potem ekrany skanerów, na których teren był elektronicznie przedstawiony jako monotonna, nieprzerwana, lekko falująca skalna równina. – Zero światła, atmosfery, ludzi i grawitacji... Nic. Pustka.

– Porzuć myśl, że można zaludnić wnętrze grawitacyjnej powłoki – zauważył cicho Lew.

– Ale dlaczego? Przecież powłoką ma mniej więcej tę samą grubość co średnica kalderoidu. Jeśli kalderoid również jest kulą i może utrzymać odpowiednią dla ludzi grawitację, z jakiego niby powodu jest to niemożliwe na obu powierzchniach powłoki?

– Gdybyśmy mieli do czynienia ze strukturą linearną, zgoda. Niestety, wewnątrz zamkniętej kuli grawitacja jest niestabilna, czyli raz jest, innym razem zanika, zresztą w ogóle parametry fizyczne zmieniają się permanentnie...

– Ale mam przekazy...

– To fantastyka, którą właśnie mamy oddzielić od faktów. Dokładnie w tym celu przysłał nas tutaj Land'a.

Cherry dziko rozejrzał się wokół siebie. Najwyraźniej Maq zdruzgotał częściowo obraz wszechświata, w który magik wierzył

i który w sobie od dawna pielęgnował. Wyraźnie mocno przeżywał tę stratę – twarz mu zsiniała i kiwał się bezwładnie na fotelu. Lew pomógł mu wstać z siedzenia pilota i zaczął monitorować ekrany, podczas gdy iluzjonista oddalił się na swoją koję. Nie zamierzał spać, lecz pragnął uspokoić umysł.

– A nie mówiłam! – oświadczyła kwaśno Carla Tezowi.

Kiedy magik wyszedł, w kokpicie zjawiała się Sine Anura.

– Cherry chyba kiepsko to przyjął. Ty znałeś prawdę od początku, co, Maq?

– Tak sugerowały notatki Land’y. Nawet gdybym nie miał pewności, wystarczyłoby logicznie pomyśleć.

– Zatem odpowiedz mi na następujące pytanie. Jeśli na zewnątrz marsjańskiej powłoki istnieje atmosfera, zaś we wnętrzu jej nie ma, jakim sposobem powietrze przeciekło przez dziurę do próżni, to znaczy tutaj?

Bardzo niewiele powietrza... Sekret tkwi w wysokości Hansa’s-Arima, który wznosi się do miejsca, gdzie gęstość atmosfery jest mniejsza niż milionowa część tej na poziomie powłoki. Na tej wysokości panują warunki prawie próżniowe, zatem faktyczna utrata powietrza jest doprawdy niewielka. Szczerze mówiąc, dużo bardziej mnie zmartwił sam Hansa’s-Arim i otwór prowadzący do kalderoidu. Wedle wszelkich znanych praw fizyki góra powinna się załamać pod własnym ciężarem i otwór zniknąłby bez śladu. Dopiero kiedy mijaliśmy stożek, zrozumiałem, dlaczego tak się nie dzieje. Pamiętasz, mówiłem ci o polu pi-inwersji, które zawiaduje wahadłowcami szprychowymi?

– O polu *exis*? Tak.

– No cóż, generalnie cały kalderoid istnieje tylko i wyłącznie dzięki sferycznemu polu inwersyjnemu, otwartemu jedynie na końcach. Ten fakt wyjaśnia, dlaczego masa powłoki nie zgniata otworu. A ponieważ sferyczne pole wywiera nacisk na górę, nie-

jako odwraca wektor grawitacji, góra traci masę i oddziałuje z kolei na samo pole, tym samym przenosząc punkt ciężkości na dół całej struktury. Jednakże prawdziwym majstersztykiem w tej przestrzennej inżynierii jest sam kalderoid. To istne arcydzieło sztuki.

– W jakim sensie?

– Ponieważ kalderoid jest prawie całkowicie uwięziony w polu *axis*, nie oddziałuje w żaden sposób na masę otaczającej go powłoki. Ani ona na niego. W sensie czysto fizycznym dla M13 nie istnieje reszta Solarii. Potrafisz sobie wyobrazić życie w takim odizolowanym wszechświecie?

Pieszczotliwie przeczesała palcami jego rudą grzywę.

– Nieustannie mnie zaskakujesz. Kimże naprawdę jest ten brzydki Lew, który wie zbyt wiele o fizyce jak na zabójcę, zbyt wiele o zabijaniu jak na fizyka i zbyt wiele na temat piękna oraz sztuki kochania, by być zarówno fizykiem, jak i zabójcą? Wierzę, że pewnego dnia poznam wszystkie twoje sekrety, Maqu Ancorze.

Rozdział 14

Błysk ognia

W porównaniu z odległościami, z jakimi mieli do czynienia na marsjańskiej powłoce, czterdzieści dziewięć milionów mil przestrzeni dzielącej marsjańską orbitę i ziemską powłokę wydawało się spacerkiem. Porównanie wszakże okazało się zwodnicze. Nawet najbardziej zaawansowane technologicznie spośród statków egzosferycznych kursujących po powłoce tak naprawdę nie

były przystosowane do przemierzania kosmosu. A te nieliczne, które były, mogły przelecieć góra milion mil bez tankowania.

Ancor odkrył, że „Shellback” jest rzeczywiście tak niezrównany i jedyny w swoim rodzaju, jak sugerował Land’a. Pojedynczy zespół silnikowy statku był najmniejszym i najpotężniejszym, jaki Maq kiedykolwiek widział. Nie miał pojęcia, jakiego paliwa używał statek, lecz mieściło się ono w metalowej kapsule wielkości trumny, a z niezmiennie maksymalnych odczytów stanu zbiornika wywnioskował, że posiadają praktycznie nieskończone zapasy. Wielokrotnie zadawał sobie pytanie, czy na zbudowanie tak nowatorskiego i skomplikowanego statku poświęcono całe górskie pasmo platyny, czy może nawet i ono nie starczyło. Land’a (który podobno nie był w stanie przeżyć swojego wypadku) wzbudzał równie wiele pytań, jak cały ten dziwny wszechświat, do którego wyekspediował swoją niekonwencjonalną ekipę badawczą.

Podróżnicy obliczyli, że przy stałej kosmicznej prędkości rzędu pięćdziesięciu tysięcy mil na godzinę „Shellback” potrzebuje czterdziestu standardowych dni, aby przenieść swoich pasażerów w pobliże ziemskiej powłoki. Kiedy do komputera nawigacyjnego wprowadzono współrzędne, lotem zajął się autopilot. Członkowie załogi jedynie sporadycznie kontrolowali wyświetlacze parametrów kursu i sprawność poszczególnych podzespołów. Kiedy mały statek ruszył przez przestrzeń Barana, Ancor znalazł czas, by ponownie skupić się nad dyskietką, którą przekazał mu Tortigus Veritain. Miał nadzieję, że znajdzie więcej informacji na temat Land’y, lecz wśród danych zawartych w następnym pliku nie było najmniejszej wzmianki o enigmatycznym księciu. Niemniej jednak Maq z ciekawością wczytał się w akta

Od: Uniwersytet w Ajkautit: Profesor N. K. V. Sooto *Do:* Prezydent Layor.

Pani: Możemy szczegółowo odpowiedzieć na twoje zapytanie. Teoretyczna i eksperymentalna weryfikacja zarówno szczególnej, jak i ogólnej teorii względności Einsteina w aspekcie hipotetycznie podanych tam wartości czyni nas absolutnie przekonanymi, że przyspieszenie obiektu materialnego do szybkości równej prędkości światła jest jak dotychczas nieosiągalne.

– Interesujące! – mruknął do siebie Ancor. Jednak jeszcze bardziej zajmujący wydał mu się powód, dla którego prezydent Layor w ogóle zadała to pytanie.

Sine Anura weszła, stanęła za nim i czytała ponad jego ramieniem z ekranu.

– Co to znaczy? – spytała.

– Z grubsza tyle, że podczas gdy my będziemy lecieć do ziemskiej powłoki czterdzieści dni, wehikuł pędzący z prędkością światła odbyłby tę podróż w około cztery i pół minuty.

– Czy to takie ważne?

– Tylko wtedy, jeśli musisz pokonać naprawdę długi dystans w ograniczonym czasie.

– Cóż, jesteśmy zatem niebotycznie wolniejsi.

– Niebotycznie to przy tej skali eufemizm. Gdybyśmy chcieli pokonać ten sam dystans, potrzebowalibyśmy ponad trzynaście tysięcy lat. Innymi słowy „Shellback” nie jest w stanie tego zrobić.

Lew wywołał następny plik na dyskietce i ujrzał na ekranie gęsto wypełnione liczbami tabelki. Odkrył, że ma przed sobą geograficzne dane związane z marsjańską powłoką. Z ciągu przeróżnych parametrów wychwycił mikroskopijne różnice w przyspieszeniu, powstałe z powodu grawitacji liczonej od biegunów po równik. Przez minutę nie potrafił ocenić, dlaczego akurat te liczby przyciągnęły jego uwagę ani co tak naprawdę oznaczają. W zamy-

śleniu odchylił się na fotelu, po czym jego lwia twarz nagle przybrała wyraz rosnącego gwałtownie niepokoju.

– Och, na rany Chrystusa! – zawołał. – Szprychy!

Sine Anura nie miała okazji dowiedzieć się, co sprowokowało jego wybuch, bo z interkomu rozległ się krzyk Teza:

– Maq, widzimy przed sobą mnóstwo punktów świetlnych. Są zbyt daleko dla skanerów, ale Cherry prosi cię, żebyś tu przyszedł i sam sprawdził.

– Będę za sekundę, Tez. Chodź, Sine! Musimy zobaczyć, co znaleźli.

Przez tafelę zaciemnionego obserwatorium nikle świetliste punkciki były widoczne jedynie z powodu intensywności blasku. Nawet maksymalne powiększenie dalekosiężnego skanera ukazywało je jako niewiele większe od główki szpilki i Maq musiał poddać obraz komputerowej obróbce, zanim zrozumiał, co widzi. W końcu się wyprostował.

– Wszystko w porządku. Spektroanaliza sprawdza się tylko dla idealnie zwyczajnych protogwiazd. My zaś widzimy przed sobą ciała świetlne otaczające ziemską powłokę.

– Aż tyle? – spytała Sine Anura.

– Nie zapominaj, że z tej odległości widzimy pełną półkulę powłoki. Nie przypuszczam, żeby ktoś kiedykolwiek przed nami miał okazję do podziwiania takiego widoku.

– Jak unikalna jest nasza wyprawa, Maq?

Im dłużej się nad nią zastanawiam, tym bardziej unikalna mi się zdaje. Na przykład projekt „Shellbacka”. Land’a miał absolutną rację, gdy powiedział, że dotąd nie istniał zatny do takiej podróży statek. Ciekawe, że materiał radioaktywny, lecz tak niskiej gęstości, że nasze osłony antyradiacyjne łatwo mu się oprą. Problem pojawia się wówczas, kiedy jest tego materiału naprawdę

dużo. Dochodzi wówczas do syntezy jądrowej i błyskawicznego osiągnięcia masy krytycznej. W efekcie rodzi się nowe ciało świetlne. My zaś tkwimy w samym jego epicentrum.

– Do diabła! – Cherry zaczął w panice szukać sposobów zwiększenia prędkości, lecz Maq tylko potrząsnął głową.

– Uwzględnili już nasz kurs w korelatkach przestrzennych epicentrum. A ze względu na ogromny rozmiar pierwotnego rozbłysku nie muszą się zbytnio przejmować dokładnością. Czy przyspieszymy, czy zwolnimy, i tak prawdopodobnie nie damy rady opuścić sektora, jaki dla nas przewidzieli. Naszą jedyną nadzieją jest ostry skręt w prawo ku temu zbliżającemu się gazowemu dyskowi.

– Skręt?! – Magik był przerażony. – Masz pojęcie, co zrobią z nami siły inercyjne, jeśli spróbujemy przy obecnej prędkości wykonać ostry skręt?

– Przy czterestu milach na sekundę może nas wszystkich równo rozplaszczyc na ścianach. Niestety, nie mamy wyboru. Jeśli nie zdołamy się wydostać z sektora przed narodzinami ognistej kuli, czeka nas natychmiastowa kremacja. Przypniesz się pasami w ciasnym kokpicie, zaś pozostała trójka dysponuje kokonami przeciwwstrząsowymi.

– A ty?

– Będę dygotał obok. – Pospiesznie przekazał reszcie załogi instrukcje związane z kosmicznymi kokonami, potem odwrócił się do iluzjonisty, który siedział przy pulpicie sterowniczym. – Wybierz maksymalnie ostry skręt, na jaki się ośmielisz, Cherry. W przeciwnym razie się usmażymy.

Początkowe zaniepokojenie na twarzy magika zmieniło się w autentyczną udrękę, kiedy siła odśrodkowa już przy minimalnej zmianie kursu wbiła go w miękkie oparcie fotela. Ze strachu policzki Cherry'ego zapadły się jeszcze bardziej niż zwykle i męż-

czyzna wyglądał niemal jak mumia za komputerową konsolę. Ancor, rozciągnięty na kwadratowym tapczaniku, poczuł, jak przemożna siła wgniata go w podłogę, nacisk na jego pierś wręcz utrudniał mu oddychanie. Obaj mężczyźni zdawali sobie sprawę z grożącego im strasznego niebezpieczeństwa. Co będzie, jeśli iluzjonista zemdleje i przestanie panować nad statkiem? Obecnie nie było już jednak czasu na przeprogramowanie zmian kursu na autopilota. Los ekspedycji spoczywał nieodwołalnie w rękach magika.

Z miejsca, w którym leżał, Maq wyraźnie widział wymizowaną twarz Cherry'ego, nie mógł jednakże dostrzec panelu nawigacyjnego, więc nie miał pojęcia, jak przebiega manewr. Nie miał nawet pewności, czy magik jest nadal przytomny, ponieważ sprasowana przez przeciążenie twarz Cherry'ego upodobniła się do maski i nie odzwierciedlała żadnych emocji. W końcu Ancor doszedł do przerażającego wniosku, że Cherry chyba stracił kontrolę nad maszyną, która ciągle leciała po nazbyt łagodnej trajektorii. Jeśli faktycznie tak było, ich podróż mogła zakończyć się w dwojaki sposób: albo zabraknie im paliwa i staną się dryfującym stalowym pudłem, albo strawi ich ognisty oddech niemowlęcego ciała świetlnego.

Sytuację rozwiązał sam ognisty rozbłysk. Mimo że fotoreaktywne panele zaciemniły się, aby chronić pasażerów statku, rozbłysk był wyraźny, choć krótkotrwały. Po nim nastąpił okres ciemności, któremu towarzyszyło przeraźliwie wycie systemów alarmowych, gdy osłony chroniące przed promieniowaniem subatomowym znalazły się o krok od przeciążenia. Najwyraźniej wybuch wyrwał Cherry'ego ze stanu omdlenia. Pilot wbił konwulsyjnie palce w drążek sterowniczy, który zaciskał w pięści i miazdzący napór zelżał.

Po chwili Maq zeskokczył z tapczaniku. Najpierw upewnił się, że magik panuje nad statkiem, potem pospieszył sprawdzić kokony. Na szczęście nikt z załogi „Shellbacka” nie odniósł poważniejszych obrażeń. Ancor wrócił do skanera, spojrzął na ekran i pot sperlił mu czoło, kiedy tylko na ekranie zaczęły się przewijać odczyty liczbowe programu testującego stan uszkodzeń statku. W dodatku nieopodal nich nowa protogwiazda rozświetlała bezmiar przestrzeni Barana, ale przypadkiem statek podróżników znalazł się na rubieżach regionu, gdzie promieniowanie prawdopodobnie nie powodowało trwałych defektów. Okazało się, że „Shellback” co prawda nieco się „podsmażył”, oprócz tego jednakże pozostał nietknięty. I już mknął po liczącym dziewiętnaście milionów mil kursie dzielącym go od wielkiej ziemskiej powłoki.

Rozdział 15

Podniebny towarzysz

Ziemska powłoka była mniejsza od marsjańskiej, mimo to jej wymiary były całkiem znaczne, zaś cała strefa powierzchniowa wręcz imponująca – 1 x 10¹⁷ milionów mil kwadratowych. Jeśli przyjąć, że gęstość zaludnienia oscylowała w okolicy przeciętnej (czyli dziesięciu tysięcy osób na milę kwadratową, z czego na łąd przypadała połowa powierzchni), populacja powłoki liczyła – na razie była to wyłącznie spekulacja – pięćset trylionów mieszkańców.

To była ogromna liczba, w którą jednak podróżnicy potrafili uwierzyć z łatwością, kiedy z powietrza oglądali zadziwiające miasta. Co ciekawe, nie dostrzegli żadnych statków egzosferycz-

nych, chociaż zarejestrowali przelot jakiegoś pojazdu w niskich partiach atmosfery, lecz jego zasięg był z pewnością ograniczony do około tysiąca mil. Najwyraźniej tutejsze społeczności nie widziały potrzeby wykorzystywania typowych dla marsjańskiej powłoki egzostatków. Fakt ten – jeśli się potwierdzi – działał zdecydowanie na korzyść załogi „Shellbacka”, ponieważ w tej sytuacji podróżnicy mieli całkowitą swobodę w poruszaniu się po egzosferze. Ancora zaintrygowały kiedyś szczegółowe dane geofizyczne marsjańskiej powłoki, teraz zapragnął je porównać z ich odpowiednikami dotyczącymi ziemskiej powłoki. Początkowo zamierzał zbadać jeden z regionów polarnych, lecz po dokładnym sprawdzeniu współrzędnych lotu odkrył, że najbliższy biegun znajduje się o sto czterdzieści milionów mil od nich. Lew zdecydował się zatem na prostszy i szybszy w realizacji wariant – postanowił dokonać porównawczych obliczeń bliżej równika powłoki. Jednak nawet tam mieli problemy z zarejestrowaniem jakichkolwiek znaczących dysproporcji i aby uzyskać bardziej reprezentatywne odczyty, musieli przemierzyć szereg milionów mil. Wycofali się w egzosferę na trzy dni, pędząc z maksymalną prędkością, zanim Maq zdecydował się poszukać miejsca na lądowanie.

Oprócz nieregularnie rozmieszczonych mórz, przelatywali głównie nad stosunkowo intensywnie zaludnionymi regionami miejskimi. Podobnie jak w przypadku marsjańskiej powłoki, mieszkańcy zmaksymalizowali wykorzystanie wspomagającej życie energii z orbitujących ciał świetlnych poprzez ulokowanie na co większych dachach pól i hydroponicznych ogrodów. Praktyka ta była tak powszechna, że z wielkiej wysokości nawet przed najczulszymi teleskopami „Shellbacka” pozostawały ukryte nieprzeliczone miliony, żyjące na dole wokół wielkich obszarów z pozoru idealnie zaprojektowanych upraw. Jednakże skanery były znacznie dokładniejsze: na monitorach pojawiły się ulice i magistrale

transportowe, parki i centra rekreacji oraz wszystkie inne typowe atrybuty wielkich aglomeracji, na wpół ukryte w złotach i zieleniach ogromnego rolniczego pasa.

Oczywiście, tylko dzięki analizie skanerów Maq znalazł odpowiednie lądowisko. Dwa szerokie górskie pasma zbiegały się w kształt litery „V”, otoczonej zewsząd rozległymi równinami, na których jedynie skanery potrafiły znaleźć rzadko rozsiane osady. Takie pustkowia nie były niczym nadzwyczajnym także na marsjańskiej powłoce, gdzie lądy zaludnione były nierównomiernie i Maq celowo wyszukał podobny obszar, aby uniknąć wścibstwa tubylców i zminimalizować – przynajmniej do czasu zebrania dokładniejszych informacji na temat tego świata – ryzyko ujawnienia misji „Shellbacka”.

Miejsce, które w końcu wytypował do lądowania, znajdowało się w całkowicie bezludnym regionie i pasażerowie natychmiast skorzystali ze sposobności opuszczenia małego statku. Wyszli na spacer i po tylu dniach zamknięcia z rozkoszą grzali się w promieniach lokalnego ciała świetlnego. Ancor zajął się pomiarami. Gdy prawie skończył zadanie i wpisywał rezultaty do komputera, usłyszał nagłący głos Sine Anury. Dziewczyna wołała go pilnie do przeciwległej burty statku.

– Maq! Widzę nad nami dziwny statek!

– Gdzie? – Lew wynurzył się obok kadłuba „Shellbacka”, po czym stanął jak wryty. – Nie wierzę własnym oczom!

– Co się dzieje?!

– Nic strasznego, po prostu nie mogę uwierzyć, że coś takiego jeszcze istnieje. Ten przedpotopowy wehikuł w górze składa się głównie z gazu – prawdopodobnie wodoru. Wielka kula napompowana gazem służy do podniesienia małej kabiny zawieszanej u dołu. Posiada też silnik ze sporych rozmiarów drewnianą turbiną... Nie używają jej tylko wtedy, gdy unosi ich wiatr.

– Po kiego licha latają takim zabawnym muzealnym eksponatem?

– Przypuszczam, że to wcale nie kaprys, lecz szczytowy wytwór ich technologii. No no, wygląda na to, że szykują się do złożenia nam wizyty.

Dryfujący powoli sterowiec, który wyraźnie w pewnej odległości od nich wyłączył silnik i bezgłośnie zbliżał się na lekkim wietrze, zasygnalizował zamiar zatrzymania się poprzez spuszczenie wieloramiennej kotwicy na łańcuchu. Maszyna doleciała do skupiska drzew i kotwica zaczepiła się o koronę jednego z nich. Sterowiec opuścił drabinkę linową, po której zszedł lotnik ubrany w strój uszyty z różnokolorowych kawałków skóry. Przy pasie nosił krótki nóż, który wyglądał bardziej na narzędzie niż na broń, toteż Maq oczekiwał tubylca rozluźniony i spokojny.

Kiedy osobliwy lotnik podchodził do marsjańskiej maszyny, szeroka twarz wykrzywiła mu się w uśmiechu.

– Witam cię, podniebny towarzyszu! Ogromnie dziwaczny statek posiadasz.

– Mnie twój wydaje się równie dziwny – odparł Ancor z sympatią. – Z kim mam przyjemność?

– Nazywam się Sarassim i jestem suzerenem Rainor. A ty?

– Maq Ancor, ostatnio zamieszkały na marsjańskiej powłoce.

– Marsjańska powłoka? – Tubylec wrzucił ramionami i wydał usta. – No cóż... przyznam ci się, że za tymi górami istnieje wiele miejsc, o których nigdy nie słyszałem. Jakże wiatry przywiały cię tak daleko?

– Jesteśmy podróżnikami, którzy szukają przygód. – Lew gestem polecił pozostałym członkom swojej załogi, by wyszli. – Nie żywimy złych zamiarów.

– Och, to dość oczywiste – odrzekł beztrząsliwie Sarassim. – W przeciwnym razie wylądowalibyście raczej na naszym terytorium

niż poza jego granicami. – Gdybyście opadali... na przykład tam, byłbym zmuszony do was strzelić.

Ancor pozostawił ten komentarz bez odpowiedzi. Po bliskim spotkaniu z zabójczą protogwiazdą taka groźba pod adresem „Shellbacka” tylko go rozśmieszyła. Był pewien, że żadna broń, jaką mógł dysponować ten prymitywny lotnik, nie wyrządziłaby najmniejszej szkody nowoczesnemu marsjańskiemu statkowi. Gdy suzeren obserwował resztę załogi wyłaniającą się z „Shellbacka”, jego twarz zmarszczyła się od dobrotliwego rozbawienia.

– Tylu ludzi w takim małym statku? Załóżę się, że do wzniesienia się potrzebujecie czegoś innego niż gaz. Jeśli jednak szukacie przygód, nie mogliście trafić lepiej. Z każdą godziną wojna wyniszcza nas coraz bardziej.

– Jaka wojna?

Z suzerenem Karnaltą, podniebnym piratem z Orn. W ubiegłym tygodniu najechał nas trzykrotnie. Bandyta i Sarassim obserwował ją uważnie przez kilka minut. Nic nie powiedział, lecz podczas schodzenia ze wzgórza Maqowi się zdało, że dostrzeżę na twarzy ich gospodarza napięcie. Wszystkie pozostałe sterówce, z wyjątkiem flagowego statku samego suzerena, wystartowały hałaśliwie w noc i odleciały, by wykonać wyznaczone im zadania.

Mniej więcej dwie godziny później do sali wpadł posłaniec. Zanim przekazał wiadomość swemu panu, przez chwilę ciężko łapał powietrze. Sarassim wysłuchał go z powagą, zadał kilka pytań, po czym odwrócił się z powrotem do Ancora.

– Stało się coś strasznego, podniebny towarzyszu. Ludzie Karnalty zaatakowali ze strony, z której się ich nie spodziewaliśmy. Obawiam się, że przechwycili twój statek.

– Nie przejmuj się tym – odparł lekko Lew. – Nie zdołają ani do niego wejść, ani wyrządzić mu zbyt wielkich szkód.

– Niestety, pozostałe wieści są jeszcze gorsze. Straciłem najlepszą część mojej bitewnej floty, zaś terenu, który przejęli wrogowie, nie sposób odzyskać wyłącznie lądową kampanią. Obawiam się, że przyjmując moje zaproszenie, straciłeś bezpowrotnie swój statek i w żaden sposób nie potrafię ci pomóc w odzyskaniu go, zanim nie zdobędę większej ilości bojowych maszyn latających.

– Został ci jeden statek – twój własny. Ja zaś posiadam pewną szczególną broń. Zabierz mnie do strefy wojennej, a szybko się rozprawię z Karnaltą i jego ludźmi.

Sarassim spojrzał w lwią twarz swego gościa i natychmiast z niej wyczytał, że nie ma do czynienia z próżnymi przechwałkami. W tym samym momencie jednakże całkowicie odrzucił pomysł.

– Wykluczone! Masz już z mojego powodu dostatecznie dużo kłopotów. Nie będę cię zmuszał, żebyś za mnie zginął. Jakimś sposobem zdobędę dodatkowe statki. – Odwrócił się i poszedł ku drzwiom, po drodze rozważając problem.

Maq znacząco zerknął na Sine Anurę, która w lot zrozumiała sugestię. Wstała szybko i ruszyła za suzerenem.

Kilka minut później Sarassim wrócił z buńczuczną miną na twarzy.

– Bardzo dobrze, podniebny towarzyszu! Skoro sądzisz, że warto zaryzykować, ruszymy na pole walki. Ilu ludzi pragniesz zabrać ze sobą?

– Żadnego. Tylko by mi przeszkadzali.

– Posiadasz nadzwyczajną wiarę we własne siły.

– Raczej nadzwyczajną broń – mruknął chłodno Lew.

– Wiecie co? Jesteście naprawdę niesamowici. – Oczy Sarassima powędrowały z powrotem do dziewczyny i jego twarz rozjaśniła się na moment rozkosznym wspomnieniem.

Rozdział 16

Mandersport

Sygnalizacyjne latarnie, poza funkcją komunikacyjną, pełniły najwyraźniej jeszcze inną – po zmroku służyły jako nawigacyjne markery. Dzięki nim Sarassim szybko ustalił kurs na strefę, gdzie pozostawili „Shellbacka”. Po nieco ponad godzinnym locie suzeren unieruchomił łoskoczący ciężko silnik i w absolutnych ciemnościach zaczął opuszczać kotwicę.

– Mamy dobrą pozycję... no chyba, że przed świtem zmieni się wiatr. Teraz musimy poczekać.

– Na co?

– Mój drogi podniebny towarzyszu, nie da się walczyć z wrogiem, którego nie widać. Dlatego właśnie nasi przeciwnicy uderzyli o zmroku. Wiedzieli, że aż do rana nie zdołamy im się zrewanżować.

– Jak daleko od nas się znajdują?

Sarassim ustalił ich położenie w oparciu o latarnie.

– Bardzo blisko, prawdopodobnie nie więcej niż milę.

– W takim razie lećmy ku nim. Weźmiemy ich przez zaskoczenie.

Tubylec wymamrotał coś niezrozumiałego, niemniej jednak wciągnął kotwicę.

– Ile czasu zajmie nam dotarcie do nich? – spytał Ancor.

– Polecimy z wiatrem, a zatem około ośmiu do dziesięciu minut. Jednak i tak ich nie zobaczymy.

– Ależ zobaczymy ich, obiecuję ci to. Teraz załaduj swoje kusze i bądź gotów. Kiedy ci powiem, zaczniesz strzelać w po-

włoki gazowe sterowców wroga. Uziemimy ich statki, a poza tym będziesz mógł później odzyskać bełty.

– Ale jak zareagują ludzie Karnalty, gdy znajdziemy się tak blisko nich?

– Nijak. Będą zajęci całkiem innymi rzeczami – odparł Maq.

– Ciekawy sposób walki! Jesteś albo szaleńcem, albo geniuszem. Hmm... Dopiero o świcie okaże się, którym z nich.

Kiedy suzeren uznał, że dolecieli, Ancor odbezpieczył miotacz i wystrzelił kilka świetlnych pocisków – na tyle pionowo, na ile pozwalały wiszące im nad głowami worki z gazem. Intensywne światło emitowane przez te powoli spadające superiluminanty zupełnie wystarczyło dla rozjaśnienia całego terenu, toteż obaj mężczyźni od razu dostrzegli osiem statków zacumowanych obok siebie. Były niedaleko, choć dalej niż Lew przewidywał.

– Uruchom silnik – polecił Sarassimowi. – I puść mnie do sterów.

Suzeren zmrużył oczy przed cudowną luną, która rozświetliła niebo i bez słowa wykonał rozkaz swego towarzysza. Przyszło mu do głowy, że człowiek, który nosi w kieszeniach ciała świetlne, rzeczywiście może dokonać wielkich rzeczy.

Po włączeniu silnika pomknęli prędko ku zacumowanym statkom. Podczas lotu Maq działał. Hipersoniczne pociski ogłuszające, które zastosował, musiały wpaść przez okienne szczeliny kabin sterowców. Tylko w ten sposób mógł unieszkodliwić ewentualnych wartowników bez walki. A nawet jeden postawiony na nogi łucznik czy bombardier wystarczył, by zmienić ich atak w klęskę.

Gdy dotarli w pobliże pierwszego statku i nikt do nich nie strzelał, Lew uprzytomnił sobie, że ogłuszacze spełniły zadanie. Sarassim niczym opętaniec zaczął strzelać z kuszy, zaś jego twarz rozjaśnił wyraz niemal pogańskiej radości. Jego strzały mocno

podziurawiły poszycia trzech statków, a wtedy rozległo się dudnienie – wystrzeliło działko z czwartego statku. Pocisk uderzył w ich sterowiec tuż przy kabinie.

– Jeszcze jeden strzał i jesteście zgubieni – jęknął Sarassim.
– Następnym razem będą celować w nasz worek z gazem.

– Nie, jeśli posłużymy się moją metodą – odparł Ancor. Posłał atakującemu statkowi szybki pocisk smugowy. Potężna ogniwa rozeta, które się podniosła, w pełni potwierdziła jego podejrzenia, że napędowym gazem sterowców był wodór. – Przykro mi, że straciłeś jeden zdobyczny statek, Sarassimie... ale niestety, nie miałem zbyt dobrego wyboru.

Suzeren zaczął się śmiać wysokim, niemal histerycznym głosem.

– Na wszystkich bogów! Ten człowiek rozbija całą flotę nieprzyjaciela, a potem przeprosza, że poczynił zbyt duże szkody!

Musieli szybko manewrować w porywistym wietrze, aby uniknąć ataku ze strony pozostałych statków. Na szczęście, strzały Sarassima w niedługim czasie unieruchomiły kolejne trzy maszyny. Ostatnia podniosła kotwicę i serwowała się ucieczką. Jej pilot tak się spieszył, że silnik sterowca dosłownie charczał, jakby miał się za chwilę rozpaść.

– Pogonimy za nim? – spytał Ancor.

Nie, odpuśćmy mu. Niech zanieśnie nowinę o mojej zemście ludziom, którzy go wysłali. Chociaż... Czy ktokolwiek uwierzy w prawdę? Jesteś straszliwym człowiekiem, podniebny towarzyszu. Wiele ci zawdzięczam, lecz muszę cię o coś poprosić. Nie przeciągaj zbyt długo swego pobytu w Rainor, ponieważ nasz sposób życia na dłuższą metę nie zniesie kontaktu z twoją przerażającą techniką. Wyznam ci też, tylko proszę, nie uważaj mnie za niewdzięcznika, że w tej chwili mam więcej sympatii dla moich wro-

gów niż dla ciebie – sojusznika, dla którego wszystko wydaje się takie proste.

– W pełni cię rozumiem – rzucił Maq. – To w istocie niesprawiedliwe, że wyłącznie z racji swojego pochodzenia uczyniłem pośmiewisko z walki, która nadawała sens całemu twojemu życiu. Odlecimy jeszcze przed świtem.

* * *

Skierowali się ku równikowi ziemskiej powłoki, wokół której znajdowało się co najmniej szesnaście kalderoidów. Mieli pewien kłopot z wyborem następnego celu podróży, ponieważ nie posiadali absolutnie żadnych informacji na temat któregośkolwiek ze światów. Postanowili zatem wybrać taki, który leży w miarę daleko od Rainor i będzie wyglądał interesująco. Ancor upierał się też przy kontynuacji rozpoczętych pomiarów geofizycznych.

Nową trasę przelotu wytyczyli zatem nie w szerokim pasie uprawnym, lecz ponad serią rozległych równin tak regularnie pooddzielanych górkami łańcuchami, że cały teren wyglądał jak rozorany pazurami kosmicznego tygrysa. Po kolejnym milionie mil lotu na horyzoncie pojawił się łatwy do rozpoznania „wulkan” o płaskim wierzchołku, który oznaczał wejście do jednego z ziemskich kalderoidów. Nawet z egzosferycznej wysokości wydawał się masywny i onieśmiałający, toteż Cherry z obawą przyjął perspektywę rychłego przelotu małym statkiem ponad jeszcze jednym „stożkiem”. Długie loty ponad powierzchnią powłoki uznawał za znośne, ponieważ warunki zmieniały się stosunkowo powoli, ale myśl o nagłym przejściu z trybu kosmicznego do atmosferycznego oraz o niespodziankach czyhających w kalderoidowej międzyprzestrzeni wprawiała go w stan podenerwowania. Póki co jednak, lęk Cherry’ego było nieco przedwczesny, ponieważ Ancor

chciał wcześniej dokonać pomiarów na powierzchni ziemskiej powłoki, szczególnie w okolicach równika.

Z pasa równikowego sterczała jedna z wielkich złotych szprych wahadłowcowych, którymi przymusowi emigranci odbywali podróż w nieznane. Nieszczęśnicy mijali orbitę marsjańską, potem asteroidową i lecieli do jednej z największych powłok zewnętrznego kręgu wszechświata solaryjskiego, w której istnienie musieli wierzyć Zeusowi na słowo, bowiem nikt dotąd z niej nie wrócił. Ancor uznał niespodziewane sąsiedztwo terminalu emigracyjnego za czynnik sprzyjający ich misji, jako że wokół niego najprawdopodobniej usytuowano centrum transportowe lokalnej sieci atmosferycznej. Statki zabierały stąd emigrantów pochodzących z tak różnorodnych rejonów i kultur, że każdy z członków załogi „Shellbacka” powinien łatwo się wmieszać w tłum.

Kompleks nazywał się Mandersport i był wielkim zadaszonym miastem. Wysokie żelazne łuki wspierały prawie nieprzerwaną taflę szklanego dachu ciągnącego się zarówno nad ulicami, jak i nad budynkami. Obecność owego zadaszzenia nadawała miastu bardzo oryginalny wygląd – było zupełnie odmienne od wszystkich metropolii, jakie podróżnicy kiedykolwiek widzieli. Każda przecznica wydawała się posiadać własny ruchliwy rynek, zaś z ilości osób odpoczywających w progach domów i pod ścianami wywnioskowali, że zapewne wielu mieszkańców żyło i spało na ulicach; prawdopodobnie w ogóle nie posiadali domów.

Sine Anura i Maq wybrali się na rekonesans. Jako walutę zabrali z sobą kilka spośród otrzymanych od Land’y kawałków platyny. W związku z tym, że po raz pierwszy w trakcie swojej wyprawy postanowili zapuścić się w gęsto zaludniony teren, w dodatku bez znajomości miejscowych zwyczajów, zachowywali się z maksymalną ostrożnością. Ancor ponownie wyznaczył na zwiad siebie i dziewczynę, ponieważ w razie czego – utwierdziły go w

tym dotychczasowe wypadki – najlepiej z całej grupy potrafili się obronić. Reszta załogi pozostała na statku. Już pierwsze minuty pobytu w Mandersport przekonały Lwa, że podjął właściwą decyzję.

Sam kompleks emigracyjny otaczający wahadłowców szprychę wyglądał dość standardowo: był dobrze zorganizowany, zatłoczony, lecz spokojny. Składał się z serii korytarzy patrolowanych przez uzbrojonych strażników i nadzorowanych przez automatyczne kafary. Przed tą oazą porządku jednakże ciągnęły się ulice Mandersportu, po których kręciły się nieskończone grupki emigrantów oczekujących na swoją kolejkę do wahadłowców. Ponieważ istniały ściśle ograniczenia na temat ilości bagażu, jaki emigranci mogą ze sobą zabrać, a nie istniała pewność, że w miejscu ostatecznego przeznaczenia będzie się liczyć tutejsza czy w ogóle jakakolwiek waluta, tabuny przygnębionych podróżników stawały się łatwą zdobyczą dla wszelkiej maści łajdaków, oszustów, złodziei i pozbawionych skrupułów kupców. Pod szklanymi dachami Mandersportu rozwinął się cały szalbierczy przemysł oparty na wymuszeniach, zdzierstwie, oszustwach i kradzieżach, gdyż żaden przymusowy emigrant nie mógł odroczyć terminu swego odlotu, nie miał zatem czasu odwołać się do lokalnego sądu ani nie mógł wrócić później, by dochodzić swych praw. Niezależnie od wielkości doznanej krzywdy.

Początkowo Maqą i Sine również uznano za emigrantów, więc atakowali ich rozmaici kanciarze i naciągacze, ofiarowując im niemal wszystko: od przynoszących szczęście maskotek i „gwarantowanej uniwersalnej waluty solaryjskiej” po pastylki zapewniające „sprawność seksualną przez całe życie”. Oszuści sprzedawali nawet podstemplowane i podpisane urzędowe pisma zwalniające od emigracji. Reklamowali je zresztą dość makabrycznie, twierdząc że zostały wystawione osobom, które niedaw-

no zmarły. Na pierwszy rzut oka dokumenty faktycznie wydawały się autentyczne, toteż Ancor miał niejakię podejrzenia co do przyczyn śmierci tych ludzi. Tak czy owak, przeniesienie zwolnienia od przymusu emigracji na inną tożsamość było niemożliwe i człowiek na tyle łatwowierny, by zmarnotrawić majątek na kupno owego pisma narażał się na katastrofalną w skutkach utarczkę z jednym z Zeusowych kafarów.

Kiedy (po kierunku, w którym się udawali i obojętności wobec takich ofert) stało się oczywiste, że para nie przynależy do grona przymusowych emigrantów, nastrój tłumu radykalnie się zmienił. Ludzie przestali im schlebiać i żebrać. Zamiast tego zaczęli stawiać bezpośrednie żądania, posuwając się nawet do niemądrej próby porwania Sine Anury. Dziewczyna poradziła sobie sama, porażając trzech zbirów taką dawką elektryczności, że wszyscy niemal stracili życie. Od tej pory wszakże Lew wołał nosić broń bardziej na widoku i wkrótce wśród gawiedzi rozeszła się wieść, że oboje są niebezpieczni. Zbiry zostawiły ich we względnym spokoju, dzięki czemu mogli swobodnie kontynuować badania.

Nagle w komunikatorze rozległ się głos Teza.

– Maq! Mamy kłopoty na „Shellbacku”. Porwali Carlę.

– Kto, do diabła...?!

– Jacyś faceci gadali z Cherrym, który sądził, że chodzi o interes, więc otworzył właz. Wskoczyli i nim się zorientowałem, ogłuszyli mnie. Kiedy się ocknąłem, Carla zniknęła.

– Cholera! Ile czasu minęło?

– Nie wiem dokładnie... Na oko dziesięć, może piętnaście minut. Nie został po niej nawet ślad.

Kiedy wrócili na statek, natychmiast uświadomili sobie, że znalezienie dziewczyny w wielkim, niebezpiecznym kompleksie Mandersport jest prawie niemożliwe. Maq po krótkim namyśle

doszedł do wniosku, że nie zdołają przeszukać całego terenu i zwrócił się do Sine.

– Niektórzy z naszych nowych przyjaciół w mieście cierpią na nadmiar zachłanności i ogromny brak delikatności. Podejrzewam, że skoro raz im się udało, spróbują znowu. Ponieważ najwyraźniej bardzo interesują ich kobiety, może sami podsunie my im jeszcze jedną?

Sine uśmiechnęła się złowrogo.

– Gorzko tego pożałują.

– Jasne! Ale nie traktuj ich zbyt surowo, przynajmniej na początku. Musisz pozwolić się zabrać do tego samego miejsca, w którym trzymają Carli. Podążę za wami.

– A właściwie dlaczego sądzisz, że spróbują ponownego porwania?

– Skup się i pomyśl, Sine. Czy gdzieś w Mandersport widziałaś kobietę, której nie towarzyszyłby opiekun? Takie porwania są tu zapewne na porządku dziennym.

– No dobra, więc czego ode mnie oczekujesz? Co mam zrobić?

– Po prostu przejdź się sama do miasta. Jeśli cię napadną, symuluj walkę, ale nic więcej. Będę podążał krok w krok za tobą.

To powiedziawszy, energicznie otworzył wąż i wkrótce oddalił się, znikając między zaparkowanymi na lądowisku statkami. Sine spojrzała na Teza, potem na Cherry’ego – obaj nie wyglądali najlepiej; chyba jeszcze nie doszli do siebie po uderzeniu w głowę. Skrzywiła się.

– Nie opuszczajcie statku, chłopcy. Jeśli sytuacja stanie się tak paskudna, jak podejrzewam, będziemy musieli wystartować w trybie natychmiastowym.

Rozdział 17

Z12

Przewidywania Ancora sprawdziły się co do joty. Ledwie Sine Anura dotarła na obrzeża Mandersportu, po wpływie gwałtownego ciosu zachwiała się, a potem zatoczyła w alejkę.

Czający się za jej plecami kolejny zbir wykręcił jej ramiona do tyłu i sprawnie związał nadgarstki pętlą z drutu, która zaciskała się tym boleśniej, im intensywniej dziewczyna walczyła o wolność. Na jej całkiem szczere wrzaski nie zareagował żaden z przechodniów, którzy – prawdopodobnie nawykli do podobnych incydentów – nie zamierzali narażać własnej skóry dla wątpliwej satysfakcji z udzielenia pomocy obcej kobiecie. Przestała krzyczeć, gdy przytknięto jej do karku koniuszek ostrego noża i jakiś głos oświadczył:

– Jeśli chcesz jeszcze trochę pożyć, zamknij się. W przeciwnym razie będę cię musiał zabić, a wierz mi, że przyjdzie mi to równie łatwo, jak porwanie. Chociaż osobiście wolałbym nie kałeczyć takiego ładnego ciała. W tym mieście znajdzie o wiele lepsze zastosowanie. Jazda!

Sine niechętnie ruszyła, czując ostrze wpijające jej się w plecy. Wkrótce otoczyła ją eskorta czterech chuliganów, którzy przemierzali szybkim krokiem boczne uliczki i aleje kompleksu. Symptomatyczny był fakt, że porwanie odbywało się na oczach ludzi, ci zaś okazywali zaledwie przelotne zainteresowanie. Dopiero teraz dziewczyna uprzytomniła sobie w pełni skalę zepsucia, jakiemu uległ ten świat. Wszechobecność zła uczyniła jego mieszkańców kompletnie nieczułymi na cudzą krzywdę. Rozejrzała się za Maqiem i zastanowiła, czy cały incydent nie zdarzył się przypadkiem zbyt szybko dla niego. Może nawet zupełnie

umknął jego uwadze. Nie dostrzegła nigdzie przyjaciela, więc nie wiedziała, czy podążyć za nią.

Dotarli w końcu do wielkiej sali zastawionej drewnianymi kabinami. Niektóre były otwarte, inne przesłonięte kotarami. Wszędzie było pełno ludzi, którzy przechadzali się powoli, zaglądając do kolejnych pomieszczeń. Każda kabina zawierała tapczanik, na którym siedziała zakuta w łańcuchy dziewczyna, zaś w wejściu stał handlarz krzykliwie zachwalający doskonałość jej ciała i otwarcie targujący się z klientami o cenę. Od czasu do czasu ktoś z tłumu dawał się skusić, wręczał handlarzowi pieniądze, po czym wchodził do klitki, zasuwiał za sobą kurtynę i gwałcił dziewczynę. Sporadyczne wrzaski sugerowały, że nie wszystkie biernie poddawały się swemu losowi. W jednej z kabin siedziała Carla – otepiała, w podartej sukni i w łańcuchach.

Nagle kącikiem oka Sine z ulgą dostrzegła wśród gawiedzi Maqa. Lew starał się nie przyciągać niczyjej uwagi. Prawie niedostrzegalnym skinieniem głowy dziewczyna wskazała mu kabinę, w której tkwiła Carli. Zauważyła, że Ancor ruszył powoli w tym samym kierunku. Przywitał go aukcyjny „zaśpiew” handlarza wychwalającego zalety Carli.

Na Anurę czekała już pusta kabina. Pojawienie się zielonokórej piękności wzbudziło ogromne zainteresowanie. Jej porywacze zsunęli jej z nadgarstków drucianą pętlę i zaczęli zakładać łańcuchy. Poczekala, aż poczuje dotyk chłodnego metalu, a wówczas wyciągnęła delikatne palce i musnęła ogniwa łańcucha. Dwóch mężczyzn natychmiast osunęło się na ziemię niczym po ciosie. Na szczęście żaden z widzów nie skojarzył, że to sprawka Sine. Dziewczyna stała przez chwilę swobodnie na małej scenie, którą dla niej przygotowano, potem uśmiechnęła się zachęcająco. Kusząca oferta przyciągnęła przed kabinę nawet handlarzy z pobliskich pomieszczeń.

Ni stąd, ni zowąd około trzydziestu mężczyzn padło na ziemię powalonych hipersonicznymi pociskami oszłamiającymi, które stojący z tyłu Maq wystrzelił tuż ponad głowami zebranych. Później zmienił amunicję i zaczął celować wysoko – kolejnymi strzałami roztrzaskał szklany dach i wysokie żeliwne łuki, następnie zasypał całą salę spadającym gruzem. Wybuchła panika i zamieszanie. Większość klientów uciekła, zaś wściekli handlarze złapali za broń, by bronić swego interesu przed niespodziewanym napastnikiem. Ancor powalił większość z nich pociskami oszłamiającymi, zachowując amunicję przeciwpancerną dla tych, którzy naiwnie przypuszczali, że drewniane kabiny zapewnią im schronienie.

W końcu, chwyciwszy pod ramię oszołomioną Carlę (na jej kończynach ciągle jeszcze wisiały krótkie łańcuchy), Maq krzyknął do Sine:

– Cholera! Wynośmy się stąd i to już!

Jego apodyktyczny ton nieco skonfundował dziewczynę. Maq najwyraźniej przejął kontrolę nad sytuacją. Jednakże już w biegu Sine zobaczyła nagle to, co jej towarzysz ujrzał wcześniej i aż ją zmroziło. Trzy mordercze Zeusowe terminatory – kafary wpadały właśnie do sali...

– Padnij! Natychmiast padnij na ziemię!

Choć w pierwszej chwili dziewczyna nie pojęła powodów rozkazującego wołania Maqą, tym niemniej posłusznie rzuciła się na zarzuconą gruzem podłogę. Jeden z kafarów ostrzelał ich z automatycznego działka, wyorując w przeciwległej ścianie głęboką wyrwę. Gdyby Sine nadal stała, zostałaby przecięta tą serią na pół. Bojaźliwie poszukała wzrokiem Ancora. Wraz z Carlą leżał za prowizoryczną osłoną w postaci zdruzgotanego filara, celując w najbliższego kafara. Od eksplozji kumulacyjnych pocisków w zamkniętym pomieszczeniu aż zadrzała podłoga – maszyna przeje-

chała jeszcze kilka jardów, po czym przewróciła się i zajęła ogniem.

– Biegnij!

Na prawo dostrzegła wylot alejki. Tylko ona mogła zapewnić im ucieczkę przed ostrzałem dwóch pozostałych straszliwych maszyn. Lew wtulił głowę w ramiona, wziął Carli na ręce i pędem wbiegł w alejkę. Sine poszła za jego przykładem, obawiając się, że w każdej chwili może ją dosięgnąć kolejna salwa. Na szczęście, gdy się rozległa, dziewczyna skręcała właśnie za róg. Kilka balistycznych pocisków odbiło się rykoszetem od ścian, lecz kąąt był zbyt duży i nie dosięgły uciekinierów.

Ancor postawił Carli na nogi i nalegał, by obie dziewczyny kontynuowały ucieczkę, po czym w zamyśleniu przyjrzał się ścianom. W chwilę później seria potężnych wybuchów wstrząsnęła powietrzem, a kiedy Sine obejrzała się, by sprawdzić, czy Maq podąża za nimi, spora część ściany eksplodowała, odcinając ich troje od Zeusowych maszyn. Ich radość trwała jednak krótko. Kafary były doskonale zaprogramowane, toteż знаły wszystkie przejścia w kompleksie i potrafiły automatycznie wybrać najkrótszą drogę do uciekinierów.

Lew postawił wszakże na szybkość i częste zmiany tras. Jego strategia wyraźnie przyniosła efekty, więc przez szereg minut zadyszani biegali po ulicach miasta, z których zniknęli przerażeni pojawieniem się maszyn mieszkańcy. W końcu cała trójka dotarła do rejonu, skąd niemal prosta droga wiodła do pola, na którym stał „Shellback”.

Kiedy przemknęli przez szeroką aleję i wpadli w mniejszą uliczkę, przed nimi pojawił się nagle kafar. Maq nieoczekiwanie stanął „twarzą w twarz” ze śmiercionośnym wysłannikiem Zeusa. Seria z szybkostrzelnego działka chybiła jego piersi zaledwie o cale. Sine i Carla zdążyły odskoczyć i z boku widziały Ancora,

który znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Na ucieczkę nie miał najmniejszych szans. Przez moment wpatrywał się prosto we wzrokowe receptory maszyny. Potem, choć w każdej chwili groziła mu śmierć i jego los był całkowicie zależny od szybkości obwodów decyzyjnych maszyny, Lew zareagował osobliwie, by nie powiedzieć wariacko – pokazał kafarowi środkowy palec w wyzywającym geście i zaczął się histerycznie śmiać.

Przez dziesięć niewiarygodnych sekund nic się nie działo. Sekundy rozciągnęły się w pół minuty, po czym Maq wzruszył ramionami i dał znać kobietom, by poszły za nim.

– Wszystko w porządku!

Popatrując ze strachem na straszną maszynę Sine Anura dołączyła do Ancora.

– Co mu zrobiłeś?

– Nic. Zauważyłem, że te pieprzone monstra strzelają do nas tylko raz, a później przerywają atak. Tak się zdarzało za każdym razem, gdy popadaliśmy w konflikt z maszynami Zeusa. Podejrzewam, że po pierwszej salwie czekają na transfer mocy bądź na dalsze instrukcje. A te nie nadchodzą.

– Zeus zawodzi?

Możliwe. Według notatek Land’y Zeus znajduje się gdzieś na orbicie wenusjańskiej... powiedzmy trzydzieści milionów mil stąd. Jeśli przyjmiemy, że maszyna – gdy chybi – musi czekać na polecenie drugiego strzału od Zeusa, trochę to trwa. Sądzę, że sygnał idzie do Zeusa około dwóch i pół minuty. Doliczmy drogę powrotną... Czyli zyskujemy pięć minut. Sądzę, że właśnie ta zwłoka nas uratowała. Niestety, nie powinniśmy całkowicie polegać na moich obliczeniach. Lepiej nie ryzykować, bo nie wiadomo, czy wszystkie maszyny tak działają.

Ku zaskoczeniu uciekinierów kiedy tylko wynurzyli się spośród miejskich zabudowań, rozległ się ryk silników „Shellbacka”,

gdy zaś wbiegli na polanę, mały statek znajdował się już w powietrzu. Na ich widok ponownie osiadł i wypuścił trap. Lew już miał pochwalić Cherry'ego za tę inicjatywę, potem jednak zobaczył na ekranach skanera dalekiego zasięgu powód nagłej ucieczki. Radarowy horyzont mienił się tysiącem ruchliwych punktów – prawdopodobnie przechwytyjących meteoryty kosmicznych gigamąt. Wszystkie jawnie zmierzały w ich kierunku. Bez względu na niechęć Cherry'ego wobec tego pomysłu, umykać mogli jedynie w jedną stronę – ku pochyłości „wulkanu” i dalej, do kalderoidowej międzyprzestrzeni. Wobec takiej koncentracji maszyn Zeusa nie mieli innej drogi ucieczki.

Magik odważnie podjął wyzwanie, kierując mały statek prosto w górę ku stożkowi potężnej góry. Ze strachem i równocześnie fascynacją obserwowali kosmiczne gigamąty, które błyskawicznie zmieniły kurs i ruszyły ku nim (zapewne w celu przechwylenia „Shellbacka”), lecz dzięki intuicji iluzjonisty, trafnemu wyborowi momentu odlotu oraz wściekłemu tempu, które narzucił statkowi, w pełną minutę przed przybyciem ogromnych mechanicznych drapiezców znaleźli się ponad wielkim stożkiem. „Shellback” pędził z tak ogromną prędkością, że nawet najszybsi z prześladowców nie byli w stanie go dopaść.

Dwa tysiące mil nad płaskim stożkiem przelecieli z prawie egzosferyczną szybkością w niecałe trzy minuty.

Podczas lotu ku nieznanemu kalderoidowi strach podróżników rósł. Co będzie, jeśli znów natkną się na falę uderzeniową? Szczególnie przy takiej prędkości... Paradoksalnie, właśnie prędkość ich uratowała. Ponieważ Cherry nie mógł wykonać ostrego zakrętu, który naprowadziłby statek z powrotem pod stożek góry, skoncentrował się na pokierowaniu maszyny w pobliże kalderoidu w bezpieczne centrum pierścienia. Wybrał szeroką, spiralną trasę, w trakcie której – przed kontaktem z atmosferą – starał się zredu-

kować szybkość. Dzięki temu, raczej za sprawą przypadku niż przemyślanego planu, uniknęli zewnętrznej fali uderzeniowej i wkrótce (gdy kadłub na granicy wytrzymałości rozżarzył się aż do białości) z ulgą usłyszeli przeraźliwy gwizd stratosfery kalderoidu. Hen w górze zza stożka wyłoniła się sfera kosmicznych gigamętaw. Zastygły, falując w miejscu, jakby zastanawiały się nad dalszym pościgiem, na szczęście jednak żadna go nie podjęła.

Cherry kontynuował spiralny kurs, aż wytracił prędkość do kilkuset mil na godzinę. Powierzchnia kalderoidu leżała już niecałą milę pod nimi. Maq tkwił przy komputerze i śledził odczyty sensorów. Z wyjątkiem kilku niewielkich odstępstw, cyfry były porównywalne z parametrami kalderoidu marsjańskiej powłoki M13, zaś grawitacja, ciśnienie barometryczne i skład atmosfery wydawały się niemal identyczne. Prawdopodobnie wszystkie kalderoidy we solaryjskim wszechświecie budowano według jednego podstawowego wzorca. Z braku innych pomysłów Ancor zapisał zbiór danych pod nazwą Z12. Zmarszczył przy tym brwi, ponieważ nie istniał właściwie żaden logiczny powód, aby wybrać tę a nie inną liczbę.

Główne odstępstwo Z12 od jego leżącego na marsjańskiej orbicie odpowiednika zawierało się w klimacie. Sensory wykryły temperaturę przy grunтовой sporo poniżej zera i wielkie lodowcowe pasma ciągnące się na lądzie. Kiedy Maq przyłączył się do swoich towarzyszy w obserwatorium, dostrzegł, że widok na ekranach niestety potwierdza dane. Z12 – przynajmniej w tym regionie – był zmrożonym, niegościnnym i smaganym przez straszliwe wiatry pustkowiec. A ponieważ śnieg i lód pokrywał wszystko (z wyjątkiem miejsc, z których – na jałowym terenie – wyrastały czarne, posępne, skalne szczyty) pod bladym niebem, trudno było odgadnąć rzeczywisty wygląd jego powierzchni.

Ancor wrócił do komputera i dopisał przy nazwie Z12: *Kolejny świat obrzeżny. Populacja nieznana.*

Potem usiadł i zastanowił się, dlaczego właściwie ten podtytuł tak bardzo go niepokoi. Powierzchnia ziemskiej powłoki była mniej więcej pięćset pięćdziesiąt milionów razy większa niż powierzchnia E12, z pozoru zatem nie warto było na ten kalderoid zwracać większej uwagi. A jednak coś interesującego było w tej leżącej pod nimi zimnej kuli – przecież światy tworzone dla ludzi, ten natomiast wyglądał na całkowicie martwy i zupełnie nie nadawał się do zamieszkania. Ta myśl nie dawała Lwu spokoju.

Rozdział 18

Ostatni ludzie

Im dalej się posuwali, tym bardziej martwy i niegościnnie wydawał się Z12. Podróżując z atmosferyczną prędkością ani na chwilę nie przestawali się bacznie wpatrywać w teren. Mieli nadzieję, że zobaczą jakieś oznaki życia. Po ilości skutych lodem mórz i oceanów ocenili, że (niezgodnie z powszechnie stosowanymi przez Zeusa proporcjami) woda zajmuje około siedemdziesięciu procent całkowitej powierzchni świata, chociaż tylko dzięki odczytom mikrostrukturalnego skanera orientowali się, które rejonny są wodne, które zaś pokrytym lodowcem stałym lądem. Nigdzie nie dostrzegli żadnych śladów osadnictwa. Ani żywej duszy.

Z każdą kolejną milą tego monotonnego śnieżnego piekła rosło zniechęcenie podróżników. Przyglądali się intensywnie wielkim lodowcom i co jakiś czas zafrapowani jakąś drobną nieregu-

larnością terenu opadali nisko ponad pasma w nadziei, że natrafili na oznaki życia. Niestety, nieodmiennie okazywało się, że to jedynie świetlne miraże. W niektórych regionach zbocza wyższych wzgórz pokrywały ogromne połacie lasów, zaś od czasu do czasu podróżnicy dostrzegali w śniegu ślady, które wyglądały na pozostawione przez sanie, jednak przy bliższym oglądzie zawsze okazywały się koleinami wyoranymi przez olbrzymie głazy lub złamane drzewa staczające się po stoku.

Maq wprowadził uzyskane dotąd niepełne dane do komputera i przeprowadził symulację geoklimatycznych parametrów lodowego świata. Do kalderoidu docierało niewiele ciepła, znacznie poniżej solaryjskiej normy, ponieważ wszystkie lokalne ciała świetlne były niewiarygodnie stare i najwidoczniej po wyeksploatowaniu nie zastępowano ich nowymi ani nie doładowywano, jak to się działo w przypadku ciał na głównej powłoce. Przypuszczalnie Zeus oszczędzał rzadkie surowce i wyznawał logiczną politykę skupiania wszelkich wysiłków na zapewnieniu przeżycia jak największej liczbie ludzi, co z grubsza oznaczało tereny najgęściej zaludnione. O resztę swych włości dbał mało lub zgoła w ogóle.

Sprawdziwszy stopień naświetlenia Z12 Ancor ostatecznie doszedł do przekonania, że świat ten – przynajmniej w swoim obecnym stanie – nie nadaje się do zamieszkania i ich poszukiwania spełzną na niczym. Wprawdzie rozległe połacie tundry porastała karłowata roślinność, zaś ogromne szare morza prawdopodobnie zamieszkiwały ryby, ale lądowe ssaki nie występowały tu w ogóle bądź w tak nikłych ilościach, że nie sposób ich było dostrzec z pokładu „Shellbacka”.

Potem, kiedy pokonali już prawie osiem tysięcy z zaplanowanych dwunastu tysięcy mil lotu do wnętrza ziemskiej powłoki, Cherry zauważył coś, co na nowo rozbudziło nadzieje podróżników. Jego zmęczony wpatrywaniem się w jednostajny krajobraz

niekończącej się pustyni lodu i śniegu wzrok był wyczulony nawet na najdrobniejsze anomalie i chociaż pędzili na sporej wysokości, nieuzbrojonym okiem dostrzegł coś, co jego towarzysze przeoczyli mimo użycia teleskopów – mikroskopijną serię czarnych punkcików na śniegu, które (gdy obniżyli pułap lotu) okazały się watahą wilków albo psów. Maq postanowił dokładniej zbadać teren, ponieważ pamiętał, że dziczące psy często trzymają się pobliza ludzkich osad.

Na nieszczęście, akurat wtedy popsuła się pogoda pod nimi, a ponieważ lecieli na niskiej wysokości utknęli w tak uciążliwej śnieżycy, że dalsze śledztwo było wykluczone. Mogli co prawda uciec z powrotem w górę, w stratosferę, obawiali się jednakże stracić ślad, toteż Ancor zdecydował się lądować i przeczekać zadymkę.

Pozostawił Cherry’emu wolną rękę w wyborze najlepszego miejsca do wylądowania. Iluzjonista optował za twardym, pewnym podłożem przy podstawie klifu, gdyż na jego wierzchołku niczym gęsty dym wirowały tumany pędzonego przez wiatr śniegu, co najmniej w połowie równie wysokie jak sam klif. W zaciśzu skalnej ściany panował większy spokój, pokrywa śnieżna zaś była stosunkowo cienka i magik pomyślał sobie, że kiedy postanowią odlecieć, nie będą zmuszeni wykopywać statku spod śniegu.

Po wylądowaniu zasiedli w salce widokowej w ciepłym wnętrzu „Shellbacka” i wsłuchali się w odgłosy szalejącej na zewnątrz burzy. W obliczu pierwotnego żywiołu nawet w przytulnym i bezpiecznym wnętrzu statku czuli się nieco zagubieni.

Tuż przed brzaskiem Sine Anura przywołała Maqą. Wiatr nieco osłabł i w powietrzu widać było wielkie pojedyncze płatki śniegu, które kręciły się leniwie nad „Shellbackiem” i wokół niego.

– Maq, może mi się przyśniło, ale chyba widziałam światło.

– Światło? Gdzie?!

– Przy klifie... albo na nim. Widać je tylko z jednego miejsca i pod szczególnym kątem.

Podążył za nią na koję i spróbował ułożyć głowę we wskazywany sposób. Poprzez szarości pochmurnego świtu głęboko w rozpadlinie skalnej skały, pod którą przycupnęli Lew zauważył wyraźny punkcik. Ogień.

Natychmiast zerwał się z miejsca i zaczął ubierać.

– Wychodzę sprawdzić, co to jest, Sine. Sam. Mieście oko na wszystko.

Ponieważ jego zwykły strój nie nadawał się do takich warunków atmosferycznych, Maq przywdział ocieplany skafander roboczy, po czym wyszedł przez właz na powierzchnię. Gdy zeskokczył, wpadł niemal po pas w sypki śnieg i przez chwilę się szamotoł, zanim wyruszył w drogę do klifu. Było tak zimno, że para z ust osiadała mu szronem na twarzy.

Podczas wędrówki dostrzegł z daleka nieregularne wyszczerbienie w skalnej powierzchni i ciemną plamę wejścia do jaskini. Z trudem zaczął się ku niemu przedzierać. Wkrótce jego wysiłki zostały nagrodzone i poczuł przyjemny zapach ogniska. Z wnętrza grotu dotarło do niego warczenie przebudzonego psa.

– Jest tam ktoś? – zawołał głośno w głąb jaskini, po czym zrobił kilka kroków do środka. Nagle zobaczył ognisko, za którym siedział pies. Zwierzę szczyrzyło kły, lecz chyba nie zamierzało atakować.

Głębiej w jaskini coś się poruszyło, a potem wysunęło się czyjeś ramię ledwie widoczne w przyćmionym świetle. Osobnik poruszył drwa, podsycając ogień. W migotliwej iluminacji Maq dostrzegł mężczyznę. Nosił ubranie z pozszywanych kawałków futra i wywijał ostrą włócznię.

– Pokój z tobą, przyjacielu! – odezwał się Ancor. Stał przy krawędzi ogniska, sugerując jednoznacznie, że nie ma nieprzyjaznych intencji. – Nie jesteśmy wrogami, lecz podróżnikami. Zatrzymaliśmy się tutaj na krótko i naprawdę nie chcemy nikogo skrzywdzić. Rozumiesz moje słowa?

Nieznajomy obszedł ognisko. Najwyraźniej nie bał się Lwa, lecz popatrywał na niego z niedowierzaniem.

– Rozumiem cię. Ale powiedz mi, kim jesteś, ponieważ dotąd sądziliśmy, że zostaliśmy całkiem sami na świecie. Że żadni ludzie nie pozostali już przy życiu.

Widzieliśmy, jak wasz piorun opuszcza się w burzy, ale nie przypuszczaliśmy, że znajdują się w nim istoty ludzkie.

– Ten piorun to nic innego jak zwykły statek kosmiczny, który przenosi nas do różnych światów i miejsc. Natknąłem się na ciebie zupełnie przypadkowo. Nazywam się Maq Ancor. Jeśli się zgodzisz, moi towarzysze chętnie do mnie dołączą.

– Nazywają mnie Anim – odparł uroczyście obcy. Odwrócił się, pragnąc przedstawić pozostałych lokatorów jaskini, których Lew nie dostrzegł w mroku. – Oto moja rodzina. Jesteśmy ostatni.

– Co to znaczy ostatni, Animie? – spytał Maq łagodnie.

– Zanim przybyliście, uważaliśmy się za ostatnich z naszej rasy. Za ostatnich ludzi... Kiedyś było tu wielu, wielu innych, lecz pogoda jest coraz gorsza. Z każdym rokiem klimat się ochładza. Wydaje mi się, że wszyscy pozostali wymarli.

– Pragnę cię uspokoić – stwierdził Ancor. – Ten świat chyba rzeczywiście umiera, a to dlatego, że od stuleci nikt nie dba o wasze ciała świetlne. Gdzie indziej jednakże gatunek ludzki ma się całkiem dobrze. Co więcej, zaludnia nie jeden świat, lecz miliony.

– Czy może to być prawda?

– Tak, taka właśnie jest prawda. Mój towarzysz, Cherry, z radością ci je pokaże, jeśli tylko znajdziesz dla niego jakieś pomieszczenie.

– Może znajdzie się jakieś miejsce w podziemnych korytarzach. Chętnie obejrzymy pokaz. Jednakże nawet on nas nie przekonana, ponieważ doskonale wiemy, jak szybko wymiera ludzka rasa.

– Daj nam godzinę – oświadczył Maq – a udowodnimy ci, że wymarcie należy do najdrobniejszych lęków ludzkości.

W podziemnych korytarzach panowało przeraźliwe zimno, lecz możliwe do wytrzymania dla osób, które się w nim urodziły i dysponowały dostateczną ilością grubych futer. Mimo iż podróżnicy ich nie zauważyli, najwyraźniej E12 zamieszkiwały kolonie fok, a nawet niedźwiedzie, z których futer tutejsi ludzie szyli sobie ubrania. Rodzina żywiła się żyjącymi pod lodem rybami. Podobno czasem pojawiały się także stada jeleni, choć z każdym rokiem coraz mniej liczne. Holoprezentacja Cherry’ego zrobiła na tych twardych, lecz przybitych przekonaniem o nieuchronnej zagładzie niedobitkach ogromne wrażenie. Nieznane dźwięki i bajeczne obrazy odległych lądów oraz wysoko rozwiniętych i gęsto zaludnionych miast wypełniły jaskinię. Maq nie zdziwił się, gdy stary Anim załamał się i rozpłakał jak dziecko.

W końcu jednak pokaz się skończył i podróżnicy wrócili na statek, rozmyślając ze smutkiem, że nijak nie są w stanie pomóc tym ludziom w przetrwaniu. Mieli absolutną pewność, że jeśli Zeus niebawem nie doładuje lokalnych ciał świetlnych, nawet morza całkowicie zamarzną, a wówczas w krótkim czasie wyginie większość żywych organizmów z ludźmi na czele. Maq przedyskutował tę kwestię z Animem i oznajmił mu wprost, że Zeusa można zmusić do działania tylko w jeden sposób – poprzez kompletne zniszczenie kilku spośród wadliwych ciał świetlnych. Niestety,

jeśli Zeus nie zareaguje, sytuacja pogorszy się błyskawicznie i nieodwracalnie.

Anim wzruszył ramionami i odrzekł z rezygnacją:

– Cóż, mimo ryzyka jest to gra warta świeczki...

0 ile potrafisz tego dokonać. Jeśli pogoda będzie się pogarszać w takim tempie, za trzy lata skończymy polować i łowić, a wtedy i tak umrzemy.

* * *

Sine Anura znalazła Ancora przed ekranami głównego komputera pokładowego, pogrążonego bez reszty w skomplikowanych obliczeniach. Analizował trajektorie ciał świetlnych i dokonywał porównania ich wydajności, w końcu wybrał jedno, które wydzielalo ciepło w ilości zaledwie jednej dziesiątej normy przewidzianej dla powierzchni powłoki. Wprowadził parametry celu do systemu uzbrojenia statku, lecz dziewczyna rzuciła tylko raz okiem na jego groźną twarz i wiedziała, że wcale jeszcze nie podjął ostatecznej decyzji co do zniszczenia ciała świetlnego. Poznała go już wystarczająco dobrze, by wyczuć wahanie. W walce potrafił być szybki i straszny, ale nigdy nie podejmował niepotrzebnego ryzyka.

Dopiero gdy zrównoważył wszystkie czynniki, ocenił niebezpieczeństwo i korzyści akcji, podejmował działanie.

Kiedy jego palec zawisł nad przyciskiem, Sine pochyliła się i mocno go docisnęła.

– Zrobione! – oświadczyła.

Ciało świetlne przybrało barwę czerwieni w rażąco jaskrawym odcieniu i spuchło, po czym weszło w ostatnią fazę swojej sztucznej ewolucji. Kolejne trzy głowice nuklearne dosięgły celu, a wtedy rozjarzyło się jeszcze intensywniej – goręcej i piękniej niż w swoim najlepszym okresie. Pół minuty później świetlna kula

skurczyła się niespodziewanie, a potem zapadła. Pozostał po niej jedynie obłok zjonizowanego radioaktywnego gazu, który wisiał w przestrzeni niczym kosmiczny duch zdematerializowanej sztucznej gwiazdy.

Ancor pokiwał głową w zadumie i zaczął wpisywać szczegóły operacji do komputera. Dziewczyna przez chwilę obserwowała go z niepewnością w spojrzeniu, jakby trawił ją jakiś dylemat, lecz lękała się wypowiedzieć go na głos.

– Dlaczego nazwałeś ten świat Z12? – spytała w końcu.

– Bo ja wiem, taki numer po prostu przyszedł mi do głowy. Land'a nie zaopatrzył nas w przewodnik turystyczny.

– Ciekawy zbieg okoliczności! Ludzie w jaskini ciągle nazywali swój świat Ziemią, a przecież od macierzystej planety nadano nazwę całej powłoce. Czy to możliwe, aby tu właśnie wszystko się rozpoczęło? Może tego właśnie świata szuka Land'a?

Nie sądzę, byśmy się tego kiedykolwiek dowiedzieli – odparł Ancor.

Rozdział 19

Lustra nad lustrami

Po przypadkowym spotkaniu z „jaskiniowcami” kontynuowali dokładne poszukiwania na Z12, jednak bez skutku: nie znaleźli żadnych innych śladów ludzkiej bytności. Mimo niepowodzenia byli absolutnie przekonani co do istnienia podobnie odizolowanych i skrytych w jaskiniach grup niedobitków. Niestety, nie natknęli się już więcej na żadnych nieszczęśników. Podczas lotu

dobitnie przekonali się, że fauna tego świata faktycznie jest na wymarciu. Dostrzegli zaledwie jedno małe stado jeleni na skraju szerokiego zalesionego zbocza.

Podczas gdy pozostali nadal z napięciem obserwowali przesuający się pod nimi krajobraz, Maq wrócił do komputera i wywołał dane geofizyczne ziemskiej powłoki. Właściwie spodziewał się, co znajdzie, więc szczegółowe dane specjalnie go nie zaskoczyły. Ponownie umieścił w napędzie dyskietkę otrzymaną od handlarza bronią i wyświetlił kolejny dokument.

Uniwersytet w Ajkavit

Doktor Langol do prezydent Layor.

Pani: Tak jak słusznie przypuszczasz, nie istnieje odpowiedź na pytanie: „Dokąd lecą nasi emigranci?”. Znając historię Solarii, podejrzewamy, że nowe powłoki ciągle się tworzy i zaludnia. Profesor Soo jednakże przedstawił przekonujący dowód matematyczny, że stwarzanie nowych powłok nie może się ciągnąć bez końca. W pewnym momencie system osiągnie maksymalny rozmiar, określony przez fundamentalne prawa fizyki. Nowe pytanie: „Gdzie wtedy będą się przeprowadzać nasi emigranci?”, ma bardzo przerażająco implikacje.

– Pytanie trafne jak cholera! – mruknął do siebie Ancor. – Zaś implikacje są daleko bardziej przerażające niż sądzisz, kolego!

Wyłączył komputer i oparł swoją ciężką głowę na splecionych rękach. Niepokojące myśli nie pozwalały mu się skupić, aż w końcu Cherry wywołał go przez interkom.

– Przelecieliśmy już prawie połowę ziemskiej powłoki, Maq. Na razie nie ma najmniejszych przesłanek, że coś tu znajdziemy. Masz jakiś plan?

– Tak, i to do szybkiej realizacji. Kiedy dolecimy do centrum stożka i oddalimy się od pola *axis*, przełączymy się na tryb pręd-

kości kosmicznej. Chcę zminimalizować ryzyko. Nie wiadomo, co się czai za stożkiem.

– No to się przekonamy! Rozpędzimy się do prędkości kosmicznej za około pięćdziesiąt minut. Chcesz przyjść popatrzeć?

– Nie, jeżeli dasz sobie radę beze mnie, Cherry. Mam teraz inne rzeczy na głowie.

– Coś cię martwi?

– Zeus. Musimy znaleźć sposób na dotarcie do niego i odnowienie bezpośredniego kontaktu między nim a ludźmi. To absolutnie niezbędne.

Wbrew lękom Ancora, nic nie czaiło się za wielkim stożkiem, stanowiącym granicę międzyprzestrzeni E12, toteż podróżnikom zaledwie mignęła sterylna wewnętrzna powierzchnia powłoki, po czym mały statek przeskoczył dwadzieścia sześć milionów mil okołoziemskiej przestrzeni i wreszcie skierował się ku powłoce wenusjańskiej.

Podczas lotu w trybie kosmicznym Ancor stał przy radarze dalekiego zasięgu i obserwował trasę, szukając jakichkolwiek oznak niebezpieczeństwa. Monitorował także częstotliwości komunikacyjne, mając nadzieję zyskać wskazówki co do miejsca pobytu Zeusa. Mał spodziewał się wokół niego kolosalnego zagęszczenia transmisji radiowych.

W obu kwestiach (z tym że w pierwszej na szczęście) jego wysiłki poszły na marne, doszedł więc do wniosku, że Zeus zapewne wysyła informacje poprzez szprychy, które skutecznie tłumią sygnał radiowy. A ponieważ w ziemskiej przestrzeni nie było nawet Zeusowych maszyn, które Lew uznał za bezpośrednie ogniwa komunikacyjne, nie mógł się nawet domyślić, w której ewentualnie ćwiartce wenusjańskiej powłoki mieści się ogromny kompleks komputerowy, który zbudował solaryjski wszechświat. Po prawie trzech tygodniach lotu kosmicznego wenusjańska po-

włoka widniała przed nimi w całej okazałości, lecz Ancor nadal wiedział niewiele więcej niż w momencie startu „Shellbacka”.

Maq stanął obecnie przed dylematem, którego nigdy przedtem nie rozważał: w jaki sposób miał znaleźć Zeusa, skoro nie wiedział dokładnie, gdzie, ani czego szukać. Szczegółowe badanie powłoki wenusjańskiej wydało mu się kompletnie bezproduktywne. Nawet przy prędkości egzosferycznej na pokonanie dystansu czterystu milionów mil strawiliby większość standardowego roku kalendarzowego i chociaż powierzchnia powłoki była dwa razy mniejsza od ziemskiej (a nie stanowiła nawet ćwierci marsjańskiej), i tak liczyła oszałamiające pięćdziesiąt sześć tysięcy bilionów mil kwadratowych. Jeżeli w jakiś sposób nie sprowokują Zeusa, by podał im swoją lokalizację, jego odnalezienie zabierze im resztę życia. I to bez gwarancji sukcesu.

W trakcie podróży Lew spędził wiele długich godzin przy konsolce głównego komputera, projektując rozmaite strategie dalszego działania, aż doprowadził się do stanu, który Sine na własny użytek zaklasyfikowała jako „kontrolowaną bezsilną wściekłość z elementami paniki”. Dziewczyna musiała wykorzystać cały swój talent, aby go wydobyć z tego nastroju głębokiego zaabsorbowania na pograniczu psychozy. Kiedy w końcu powierzchnia powłoki wenusjańskiej znajdowała się zaledwie kilka mil pod nimi, Maq siłą woli zmusił się do wyjścia z introwertycznego kokonu i znowu zaczął się na bieżąco interesować postępami ekspedycji.

Na pierwszy rzut oka wenusjańska powłoka była bardzo podobna do pozostałych i nic nawet nie sugerowało, że to na jej powierzchni mogłaby się mieścić główna „kwatery” Zeusa. Powłoka posiadała jedenaście kalderoidów. Podróżnicy wylądowali na pierwszym, uczynili go centrum aktualnej operacji i spędzili tydzień na ciekawych badaniach w odległości ponad miliona mil od

gigantycznego „wulkanu” stanowiącego wejście do międzyprze-
strzeni. Podczas jednej z takich wypraw znaleźli „kryształową
świątynię” – budynek niezwykle, gdyż wydawał się mieć bardzo
niewielki związek ze świeckimi cywilizacjami, które prawdopo-
dobnie go otaczały. Sine zasugerowała, że może on być pozosta-
łością jakiejś starszej kultury, która została wchłonięta przez inne,
a ponieważ podróżnicy wciąż pamiętali intrygujące reliefy w pi-
ramidach M13, postanowili przyjrzeć się świątyni z bliska.

Określenie „kryształowy” okazało się zdumiewająco trafne.
Na którymś etapie kształtowania powłoki (być może w wyniku
jakiegoś wypadku), rozległe złożę czystego kwarcu najwyraźniej
rozgrzało się do temperatury wielu tysięcy stopni, w wyniku cze-
go powstała formacja ogromnych naturalnych kryształów o nie-
zwykłej klarowności. Później ludzie wydobyli je z powłoki. Bu-
downiczowie stworzyli z nich budowlę, zaś rzemieślnicy wyko-
rzystali je do ornamentów zdobiących świątynię. Pod promieniami
łaskawego ciała świetlnego cały budynek lśnił niczym klejnot.
Można było odnieść wrażenie, że wielościennie kryształowe bloki
uwięziły w sobie cudowne tęcze.

„Shellback” wylądował niedaleko świątyni. Podróżników
zaskoczył nieco brak zainteresowania ze strony tubylców, zaczęli
więc podejrzewać, że teren jest bezludny. Utwierdził ich w tym
przekonaniu brak strażników przed świątynią. Poza tym nie poja-
wili się również typowi w takich sytuacjach samozwańczy prze-
wodnicy liczący na łatwy zarobek. Uznali zatem, że mają to piękn-
e miejsce całkowicie dla siebie.

Kiedy znaleźli się w środku, zaczęli mieć wątpliwości co do
religijnego charakteru budowli. Jej wnętrze przypominało raczej
muzeum. Zaraz po przekroczeniu progu ich uwagę przykuły dwa
rzędy „eksponatów”, które okazały się wielkimi kryształowymi
soczewkami wypolerowanymi z rzadką precyzją.

Mijając jedną z nich, Ancor zatrzymał się nagle i przyjrzał uważnie przedmiotowi, który wzbudził jego żywe zainteresowanie. Z bliska dostrzegł – zatopiony głęboko w kryształach – jeden z najnowocześniejszych karabinów, jakie widział w życiu. Gdyby wszyscy rusznikarze z marsjańskiej powłoki połączyli wysiłki i w oparciu o wspólną wiedzę wyprodukowali idealną broń, możliwe, że udałoby im się stworzyć podobną. Doświadczonym oczom Maq nie umknęło, że karabin jest równie śmiertelny, co pięknie wymodelowany.

Zadumę Lwa przerwało głośne przekleństwo stojącego przy sąsiedniej soczewce Cherry’ego.

– Maq – zawołał iluzjonista – powinieneś zobaczyć ten holoprojektor! Na marsjańskiej powłoce nie wymyślą takiego jeszcze przez sto lat.

– Zrób mi przysługę – odparł cicho Ancor. – Chodź i obejrzyj mój obiekt, ja tymczasem przyjrzę się twojemu. Mam ciekawe podejrzenia co do tych eksponatów.

Magik wzruszył tylko ramionami i – choć niczego nie rozumiał – wykonał polecenie.

– Co widzisz teraz? – spytał Maq.

– Oczywiście następne sprzęty do holopokazów. Czemu pytasz?

– Kiedy ja spoglądałem w tę soczewkę, widziałem broń. W twojej także ją widzę. Te cholerne świecidełka skanują nasze mózgi i pokazują nam wizerunki przedmiotów, które uważamy za doskonałe.

W tym momencie do sali weszła Carla, która wcześniej wraz z Sine badała spektralne tęcze na ścianach. Zachwycona dziewczyna zatrzymała się przed jedną z soczewek.

– Ależ piękne maleństwa! – zawołała. – Też, chodź tu szybko.

Mężczyzna zjawił się u jej boku i zagapił przed siebie. Po chwili uśmiechnął się, lecz jakoś bez przekonania.

– Czy nie są piękne? – nalegała.

– Powiedz nam, co widzisz, Tez – polecił łagodnie Lew.

– Widzę Carli, oczywiście. Mam przed sobą coś w rodzaju lustra, nieprawdaż?

– Tak, to swego rodzaju lustro, ale bardzo wyjątkowe. Prawdopodobnie odbija myśli, a nie promienie światła. Sine, chodź i powiedz nam, co widzisz.

Sine Anura stanęła przed soczewką. Przez moment się przyglądała, potem zrobiła krok w tył. Jej twarz wykrzywił strach.

– Przerazające, Maq! Cała ta ciemność... Wirująca ciemność... Ona próbuje mnie wciągnąć...

– Ciemność? – Głos Ancora pobrzmiwał szczerym zaskoczeniem. Chciał zadać następne pytanie, lecz nie zdążył, gdyż jego uwagę przyciągnęło nowe zjawisko. Soczewka zaczęła emitować wysoki dźwięk przypominający dzwonek alarmowy, który stawał się coraz intensywniejszy, aż wypełnił całą świątynię. Wydawał się osobliwie hipnotyczny. Piskliwe brzęczenie odebrało podróżnikom jasność umysłu. Stracili poczucie czasu, a ich ciała jakby odpląnęły gdzieś w dal. Maqowi gdzieś w podświadomości zamigotało ostrzeżenie, że ciało świetlne zachodzi i wkrótce zapadnie ciemność, lecz – podobnie jak jego towarzysze – stał nieruchomo, uwięziony przez niezwykle dźwięk. W końcu nadeszli strażnicy świątyni.

Maq otrząsnął się z otępienia, lecz znalazł się w jeszcze gorszym koszmarze, gdyż nie mógł w żaden sposób zareagować. Czuł dziwną sieć, która otulała jego mózg i chociaż dziesięć zakapturzonych postaci w habitach podeszło do nich i zabrało Sine, nie był w stanie zmusić palców, by sięgnęły po broń, która tkwiła

w kaburze na biodrze. Nawet język odmówił mu posłuszeństwa, więc Lew nie mógł zaprotestować.

Zakapturzeni osobnicy utworzyli wokół dziewczyny krąg, potem złożyli ręce i zaintonowali potężny psalm. Słowa – choć zupełnie niezrozumiałe – natychmiast zadziałały na Sine, która zaczęła się kołysać do rytmu. Jej skóra stawała się coraz bledsza, jakby ktoś wysysał z dziewczyny życie. Później Sine opadła na kolana, spłotła dłonie przed sobą i wpatrzyła się błagalnie w Ancora. Zakapturzeni podnieśli śpiew, który teraz pobrzmiwał triumfem.

Maqa ogarnęła tak wielka desperacja, że znalazł w sobie siłę do przełamania paraliżu. Otworzył usta i zdołał wykrzyknąć jedno słowo:

– Czekaście!

Rozdział 20

Świat eksperymentalny

Krąg pękł i jeden z zakapturzonych mężczyzn podszedł do Ancora.

– Nie denerwuj się, mój przyjacielu. Wkrótce skończymy.

– Co... Co skończycie? – Lew z całych sił starał się odzyskać kontrolę nad kończynami i mimo zdrętwiałego gardła usiłował mówić głośno i wyraźnie.

– Wkrótce skończymy z diabłem. Twoja towarzyszka musi umrzeć. Jest nienaturalna. Nieczysta.

– Sine pochodzi z Engela. Jest członkiem mojej załogi. Nie jest diabłem.

– Lustra mówią nam coś innego. Dla ochrony ludzkiej rasy trzeba pozabijać zwierzęta, które krzyżują się z nami. W przeciwnym razie dni ludzkości będą policzone.

– Wszyscy pochodzimy od zwierząt – oświadczył Ancor. Jego głos odbił się echem od ciemniejącego kryształowego sufitu.

– Przyznaję! Lecz pochodzenie twojej towarzyszki nie jest wynikiem działania natury.

– Chyba nie pojmuję subtelności twojego sposobu rozumowania – mruknął Maq. – Zostawcie ją w spokoju!

Kątem oka dostrzegł, że Sine Anura zaczyna się otrząsać z osobliwego transu. Interwencja Lwa najprawdopodobniej zerwała a przynajmniej osłabiła hipnotyczną władzę, jaką krąg posiadał nad dziewczyną. Chociaż Sine z pozoru wciąż wyglądała na oszłomioną, jej twarz przybrała intensywniejszy odcień zieleni. Mężczyzna w kapturze wzruszył ramionami, wyraźnie dając do zrozumienia, że dalszą dyskusję uważa za bezcelową i odwrócił się z zamiarem powrotu do reszty grupy. Kiedy krąg się otworzył, aby go przyjąć, uwięziona dziewczyna z szybkością kobry zaatakowała trzymających się za ręce strażników. Pod wpływem jej dotyku dziesięciu mężczyzn padło na ziemię jak kłody – nie byli martwi, lecz elektrowstrząs pozbawił ich przytomności. Dokładnie w tym samym momencie front świątyni roztrzaskała potężna eksplozja, zaś wśród opadających kawałków kryształu do pomieszczenia wjechały dwa automatyczne kafary.

Nagle niebezpieczeństwo całkowicie wyrwało Maqą z hipnotycznego transu. Chwycił w ręce miotacz i zanim Zeusowe maszyny przebrnęły przez szklany gruz, z wprawą wycelował w jedną z nich i trafił. Potem ukrył się za kryształowymi soczewkami i próbował znaleźć dogodny punkt, z którego mógłby zaatakować drugą maszynę. Przez mniej więcej minutę ukrywał się, po czym wyskoczył jak z katapulty i przebiegł odległość dzielącą od siebie

dwa „lustra”, tym samym – na ułamek sekundy – stając się widocznym dla maszyny. Kafar w okamgnieniu (z szybkością dostępną jedynie dla najnowocześniejszych serwomechanizmów) wycelował w Ancora swoją broń. Maq wiedział, że jeden strzał może go rozerwać na strzępy, zanim zdąży wypalić ze swojego miotacza.

Na szczęście nic się nie stało. Po trzydziestu sekundach Lew schował broń i na drżących nogach podszedł do maszyny. Zastygła w idealnym bezruchu i Ancor rubasznie ją poklepał. Jego straszliwa twarz wyrażała niewysłowioną ulgę.

Cherry i pozostali, zaszokowani błyskawicznym rozwojem wypadków, również otrząsnęli się z transu. Maq gestem ponaglił ich do pośpiechu. Przedarł się przez popękaną ścianę. Jego załoga – wciąż lekko otępiała – podążyła za nim. Potrzęsali głowami, starając się pozbyć resztek odrętwienia. Z wyjątkiem Sine Anury, która zrównała się z Lwem i popatrzyła na niego zaintrygowana.

– Maq, dlaczego oni mówili, że jestem nienaturalna? Dlaczego twierdzili, że nie jestem produktem natury?

– Nie wiem, Sine. Początkowo sądziłem, że po prostu nigdy nie widzieli Engelianki. Ale im chodziło o coś innego. Soczewka uwydatniła różnice między tobą i nami. Ciekaw jestem tylko, z jakiego powodu tak bardzo ich one zaniepokoiły.

Ty chyba nie uważasz mnie za nienaturalne zwierzę, prawda? podczas przyływów panował chłód i duża wilgotność. Tuż za nimi wyrastały górskie pasma. Wiele sięgających aż w chmury szczytów pokrywały czapy śnieżne, ale wysokogórskie pastwiska były soczyście zielone i porośnięte bajecznie kolorowymi kwiatami. W obliczu tych niesamowitych anomalii przyszła Ancorowi do głowy myśl, że może cały ten świat jest jednym wielkim ekologicznym poletkiem doświadczalnym, na którym Zeus hodował i testował (pod względem użyteczności w rozmaitych środowi-

skach) przeróżne niższe formy życia, które później porastały lądy i dna mórz całego wszechświata solaryjskiego.

Podróżnicy uznali ten pomysł za tak intrygujący, że natychmiast zapragnęli go zweryfikować podczas krótkiego rekonesansu lądowego, toteż przy pierwszej sposobności Cherry wylądował na wysokogórskiej zielonej polanie u podnóża jednego ze szczytów. Szybko uprzytomnili sobie, że wszystko wokół wcale nie wygląda tak, jak sobie wyobrażali. To, co błędnie wzięli za trawę, okazało się niskimi, kolczastymi krzewami, tak odpornymi i chciwymi życia, że nawet nie potrzebowały gleby (rosły bezpośrednio na gołej skale), zaś olśniewające wielobarwne kwiaty miały szerokie niczym turecki bułat liście o brzegach z krzemowymi wypustkami na tyle ostrymi, że łatwo mogły przeciąć kończynę nieostrożnego biegacza. Gdy podróżnicy dostrzegli, że główki kwiatów chylą się w ich stronę, doszli do wniosku, że te piękne rośliny są zapewne mięsożerne i bez wątpienia świadome krążących wśród nich ludzi.

Ancor podsumował sytuację zmarszczeniem brwi, zaś im dalej szli, tym bardziej wyglądał na zamyślonego. Jego podejrzenia co do świata doświadczalnego wydawały się umotywowane, nie rozumiał jednakże powodów, dla których Zeus wybrał akurat to miejsce na teren eksperymentów. Blisko szczytu Teza zaatakował jakiś długonogi gryzoń, który poruszał się z niebywałą szybkością, toteż nikt nie zauważył jego napaści. Na szczęście Tez stracił jedynie kawałek buta, zaś Maq zabił szczurowate monstrum, choć z niejakim trudem. Nauczeni doświadczeniem, odtąd zachowywali się znacznie ostrożniej. Nieco później zdenerwowali swoją obecnością zwierzę przypominające owcę, które nieoczekiwanie odwróciło się, warknęło i złowrogo błysnęło wielkimi siekaczami. Ancor momentalnie wyciągnął broń, a wtedy stworzenie ucieкло po stoku i zniknęło im z pola widzenia. Najwyraźniej w tym kal-

deroidzie Zeus postawił na agresję i przetransponowany z gatunków drapieżnych instynkt obronny.

– Wróćmy na statek – poleciał w końcu Lew. – Fatalnie się czuję w tym świecie. Otaczają nas same bestie. Każde z tych stworzeń zostało poddane rażącym mutacjom, wbrew swojej naturze.

– Nie pojmuję, skąd u ciebie taka radykalna teza – skomentowała Sine Anura. – W końcu jesteśmy na hermetycznie izolowanej planetce, pewnie z przyrodą o charakterze endemicznym. A w takim świecie istnieje przecież możliwość odmiennego toru ewolucji.

– Sprawa nie jest wcale taka prosta, Sine. Ewolucja wymaga czasu... mnóstwo czasu. Tu jednak nic nie powstało w sposób naturalny. Mam wrażenie, że te dziwadła ewolucji zostały celowo sprokurowane i to w trybie przyspieszonym.

– Czy to wykonalne?

–Tylko do pewnego stopnia. Większość mutacji jest szkodliwa dla organizmu, zaś podczas ewolucji dochodzi do naturalnej selekcji. Natura wybiera bardzo niewiele mutacji i głównie te, które wydają się w jakiś sposób korzystne dla rozwoju. Natomiast tutejsze organizmy diametralnie się różnią od znanych nam przedstawicieli gatunków solaryjskich. Nawet po krótkiej obserwacji jestem się gotów założyć, że nie miały dość czasu, by wykształcić w sobie takie cechy. A zatem ich ewolucja musiała być stymulowana, jest więc nienaturalna.

Przy włązie „Shellbacka” jeszcze raz popatrzyli na wspaniałe szczyty, milcząco wznoszące się przepływające po nieboskłonie chmury. Wtedy zdarzyło się coś niesamowitego – zupełnie bez ostrzeżenia i tak szybko, że nawet zawodowa wprawa i refleks Maqa nie wystarczyły, by temu przeszkodzić, runął na nich jakiś cień, rozległ się furkot wielkich skrzydeł, a później kobiecy krzyk. Lew dostrzegł, że coś białego przesuwają się nad ich głowami. Po-

tem lecące stworzenie przyspieszyło i pomknęło ku skalnej rozpadlinie. Niewiarygodne, lecz wyglądało dokładnie tak, jak ogromny anioł z legendy – pół-człowiek, pół-ptak. Zaś do swej muskularnej piersi przyciskało Sine Anurę!

Ancor natychmiast wy dobył broń i namierzył na celowniku potężną istotę, ale oczywiście nie wypalił, ponieważ człowiek-ptak leciał wysoko ponad rozpadliną i gdyby wypuścił swą zdobycz na takiej wysokości, dziewczyna ani chybi roztrzaskałaby się na skałach. Za rozpadliną „anioł” wzniosł się wyżej i poleciał prosto przed siebie, ponad pasmami i dolinami. Ciągłe mocno trzymał swoją wrzeszczącą zdobycz.

Rozdział 21

In vitro

Obserwowali „anioła”, póki nie znikł im z oczu. Ancor cały czas celował w niego, czekając aż skrzydlata istota wyląduje i wypuści ze swych uścisków Sine. Na próżno. Twarz Lwa wykrzywiła się w straszliwym grymasie wściekłej zadumy.

Incydent wniósł nowe światło do jego wiedzy na temat tego konkretnego świata, lecz – co istotniejsze – sugerował on pewną generalną strategię Zeusa. W tym eksperymentalnym świecie nie tylko niższe formy życia były gwałtownie przystosowywane – najwyraźniej Zeus nie oszczędził nawet ludzi. Fakt ten implikował coś wręcz przerażającego. Skoro w niektórych regionach powłok i kalderoidów panowały warunki uniemożliwiające przeżycie człowiekowi, czyż nie było logiczne przystosowanie ludzi do tych skrajnych warunków? Pewnikiem właśnie tym sposobem Zeus

pozyskiwał pozbawionych indywidualnych cech wielkoludów z formacji łowców głów. Wszystko zależało od tego, jak pojemny jest dla nas, ludzi termin „istota ludzka”, ocenił Maq.

Przez jego głowę przetoczyły się setki myśli. Jak brzmiały frazy, które wypowiedział kapłan w kryształowej świątyni? „Dla ochrony ludzkiej rasy trzeba pozabijać zwierzęta, które krzyżują się z nami. W przeciwnym razie dni ludzkości będą policzone”. Sine Anura pochodziła z Engela. Od samego początku istnieli przeciwnicy krzyżowania się ludzi z jej zielonymi wodnymi przodkami, których genom był zgodny z ludzkim. Dopiero teraz Lew zaczął rozumieć ich argumenty. Dzięki aliażowi cech ludzkich i anglikańskich człowiek mógł zaludniać również morza planety, jednak osadnicy (dysydenci polityczni) przybyli na nią całkowicie nielegalnie i tylko przypadkiem cała sprawa ujrzała światło dzienne. Może Zeus od dawna eksperymentował z przystosowaniem ludzi do wodnej egzystencji? Jak wiele innych dziwacznych genetycznych hybryd i mutantów zamieszkiwało solaryjski wszechświat?

Jeszcze bardziej kłopotliwe było pytanie o metody.

W jaki sposób Zeus tworzył mutantów? Wiek solaryjskiego wszechświata (czyli okres od statusu jednego świata aż do obecnej mnogości powłok i kalderoidów) był niczym w porównaniu z eonami potrzebnymi dla zaistnienia trwałych przemian ewolucyjnych. A jednak wodni Engelianie zamieszkiwali morza na długo przed powstaniem marsjańskiej powłoki!

Kiedy Sine zniknęła w końcu z pola widzenia, podróżnicy rzucili się do „Shellbacka”. Cherry wprowadził parametry lotu na maksymalnie niskim pułapie i ruszyli w pościg za człowiekiem-ptakiem. Niebawem podróżnicy znaleźli się nad pasmem poszczerbionych wierzchołków, tak niegościnnych, że nie rosły na nich nawet drapieżne krzewy. W dole rozpościerała się skompli-

kowana sieć szczytów i rozpadlin, i gdyby nawet kręciła się w nich cała armia „aniołów”, z powietrza byłiby praktycznie niewidzialni. W dodatku istniało poważne ryzyko, że porywacz uprowadził dziewczynę na skaliste wzgórza leżące za wysokim pasmem.

Aby przeszukać ten niedostępny teren, mały statek krążył niestrudzenie w tę i z powrotem ponad pasmami i rozpadlinami, a czasem i niebezpiecznie nisko ponad górskimi szczytami. Niestety, wszystko na próżno. Natknęli się za to na wiele zadziwiających stworzeń. Jedne z nich przypominały kozice, lecz wyraźnie posiadały owadzią umiejętność wspinania się na całkowicie pionowe ściany. Widzieli też stada mięsożernych „owiec”, uganiających się za jakąś mniejszą zwierzyzną, lecz po Sine i jej skrzydlatym porywaczem nie było śladu.

O zachodzie ciała świetlnego wrócili na pierwsze lądowisko. Zamierzali poczekać na wschód któregoś z ciał świetlnych, poza tym zgodnie uznali, że jeśli Sine zdoła uciec, tam właśnie będzie ich szukała. Jednakże, chociaż przez całą noc badawczo przyglądali się okolicznym górskim stokom w podczerwieni i przy użyciu wzmacniaczy obrazu, zaczęli tracić nadzieję, że dziewczyna nadal żyje.

Przez dwa następne dni kontynuowali poszukiwania. Stopniowo zapuszczali się coraz dalej i penetrowali zarówno tereny przybrzeżne po jednej stronie pasma, jak i parującą wyziewami dżunglę porastającą bagnisko, które irracjonalnie sąsiadowało z górami po drugiej stronie, lecz nadal bez rezultatów. Nigdzie nie było ani Sine, ani „anioła”. W końcu Maq został zmuszony do podjęcia jakiejś decyzji. Rozważył potencjalne scenariusze. Sine mogła spaść, rozmyślnie upuszczona przez napastnika i roztrzaskać się na skałach. Taki finał porwania wydał mu się najbardziej prawdopodobny. Gdyby jednak dziewczyna cudem uciekła i

schroniła się w jakiejś wysoko położonej niszy czy jaskini, również groziłoby jej straszliwe niebezpieczeństwo. Musiałaby zejść po skalistych i stromych zboczach, zupełnie sama i bez jakiegokolwiek sprzętu, zaś wszędzie wokół czyhały na nią krwiożercze rośliny i hordy drapieżnych zwierząt, w które obfitował ten kaldeoid. W takim środowisku dziewczyna miała doprawdy niewielkie szanse przeżycia. Mimo to – na wypadek jej powrotu – Maq oznaczył miejsce wylądowania „Shellbacka” olbrzymim głazem, wybrał kryjówkę,

w której schował zapasy, broń, ciepły kombinezon oraz notatkę z informacją, że podróżnicy będą wracać do tego punktu co trzy dni przez następnych dwanaście. Postanowili że później (choć z ciężkim sercem) będą kontynuować eksplorację eksperymentalnego świata.

Kiedy ponownie przelecieli nad górskim pasmem i zaczęli przemieszczać się nad bagienną dżunglą, Carla zwróciła uwagę towarzyszy na jedną z odnóg płynącej przez moczary rzeki. Odnoga była szersza niż pozostałe i dzięki temu dobrze widoczna nawet pod gęstymi koronami drzew. Dziewczyna zauważyła ruchliwy błysk w kolorze zieleni, który uznała za wielką rybę to wyskakującą z wody, to nurkującą. Kiedy jednak obniżyli wysokość, by lepiej się przyjrzeć, zielona istota akurat wynurzyła się z wody. Miała ludzką głowę i ramiona, skórę jeszcze intensywniej zieloną niż Sine Anura i dokazywała beztrąsko w wodzie, skacząc ponad jej taflę niczym pstrąg. Ancor obliczył, że stworzenie potrafiło wytrzymać pod wodą bez porównania dłużej niż najwprawniejszy nawet człowiek. Po chwili nieco zszokowany uprzytomnił sobie, że ma przed sobą przedstawiciela gatunku do złudzenia przypominającego wodnych przodków Sine. Doszedł do wniosku, że owe wodne istoty, które koloniści zastali na Engelu, Zeus wyhodował właśnie tutaj lub na podobnym eksperymentalnym świecie.

Bagna nagle się skończyły, a krajobraz w dole diametralnie zmienił. Granica między następującymi po sobie terenami była tak równa, jak wytyczona linijką. Tym razem pod podróżnikami rozciągała się jałowa pustynia, na której panowało takie gorąco, że sensory „Shellbacka” ostrzegawczo zajęczały. W takim środowisku bez wątplenia nie wytrzymałaby żadna ludzka istota. Ancor zarządził zwiększenie prędkości. Podróżnicy pragnęli możliwie najszybciej przemierzyć ten obszar, uznali bowiem, że na tej skwierczącej patelni nie znajdą niczego interesującego. Jakże się mylili. W centrum regionu ujrzeni otoczony jałową roślinnością staw, a wokół niego prymitywną osadę. Nad wodą bawiła się grupka dzieci o orzechowej skórce. Scenka mogłaby pochodzić z którejkolwiek pustyni na marsjańskiej powłoce, gdyby nie to, że według odczytów sensorów temperatura wody w stawie, czy raczej płynu do niej podobnego, wynosiła niewiarygodne dziewięćdziesiąt siedem stopni Celsjusza! Na piekielnym kalderoidzie, który zamieszkują „wyhodowani” przez Zeusa humanoidzi nie będzie mowy o żadnych przypadkowych krzyżówkach z nielegalnymi osadnikami: przy takiej temperaturze w żyłach ludzi zagotowałaby się krew!

Po trzech dniach podróżnicy wrócili w góry. Niestety, Sine Anura nie wróciła – kryjówka pozostała nietknięta. Choć byli niemal pewni, że dziewczyna nie żyje, wyruszyli na kolejną trzydniową wyprawę. Przelecieli bagna i pustynię, za którą teren uległ kolejnej naglej i dramatycznej zmianie. Teraz pojawiło się pod „Shellbackiem” niepozorne wrzosowisko, tak bardzo zwyczajne i na oko niegroźne, że nijak nie pasowało do tego świata, w którym – jak dotąd – zarówno fauna jak i flora zostały ekstremalnie zdeformowane.

Lwu przyszło jednak do głowy, że może coś umknęło jego uwadze, optował zatem za lądowaniem. Podróżnicy wysiedli bar-

dzo ostrożnie na powierzchnię z zamiarem dokonania w miarę dokładnych oględzin. Te jedynie zwiększyły konfuzję badaczy, bowiem trawy i wrzosa okazały się wprawdzie nieco niezwykle, lecz bynajmniej nie wyjątkowe, klimat – łagodny, zaś bogatą i ilastą glebę porastała roślinność, która miała za sobą długie epoki naturalnego cyklu wzrostu i obumierania niezakłóconego przez żadną ingerencję genetyczną ani sztucznie wywołane zmiany klimatyczne. Okolica zastanawiająco kontrastowała z surowością poprzednio widzianych krain, toteż Ancor był przekonany, że teren ten z pewnością ma jakieś szczególne znaczenie, które niestety ciągle mu się wymykało. Z uporem więc badał klimat, strukturę gruntu i dokonywał szczegółowych pomiarów, szukając klucza do rozwiązania zagadki. W końcu pomogły mu w tym sensory „Shellbacka”, które zarejestrowały to, co Maq przegapił – wibrację.

Była tak nieznaczna, że ludzkie zmysły po prostu jej nie wyczuwały. Zarówno moc drgań, jak również ich zasięg sugerowały jakieś z pozoru naturalne procesy tektoniczne. Jednakże Ancora zafrapował regularny kształt rozchodzącej się fali, skojarzył mu się bowiem z cykliczną i zgoła nienaturalną emisją drgań. Maszyna! Nagle Lew uzyskał odpowiedź na dręczące go pytanie: wrzosowisko było nieistotne, liczyła się powierzchnia, którą porastały rośliny. Na tym obszarze to, co ważne odbywało się głęboko pod ziemią.

Dopiero po całym dniu poszukiwań przy użyciu aparatury „Shellbacka” podróżnicy znaleźli wejście do podziemi. Wrzosowisko przecinał poprzeczny uskoki i tam właśnie znajdował się otwór, który w pierwszej chwili przypominał naturalną jaskinię we wzgórzu. Analiza mikrostrukturalna ujawniła wszakże, że pod pasem wrzosów ciągnie się tunel – nadzwyczaj regularny i z pewnością sztuczny. Towarzysze Lwa absolutnie nie podzielali jego

entuzjazmu wobec tego odkrycia, bowiem po dotychczasowych doświadczeniach lękali się kolejnej eskapady w świecie stanowiącym istne panopticum genetycznych mutantów.

Maq w pełni rozumiał ich obawy, nie zamierzał jednak przez nich rezygnować z wycieczki do diabelskich warsztatów, które prawdopodobnie kryły się pod spokojnym wzgórzem. Z braku odważnej Sine Anury musiał iść sam. Uzbroidł się w potężną latarkę, obładował amunicją, włożył kombinezon i kask, po czym ruszył. Zakładał, że uda mu się utrzymać łączność radiową przez sporą część tunelu.

Natychmiast odkrył, że w długim, prostym tunelu latarka mu się nie przyda. Rozległa przestrzeń pod wzgórzem była intensywnie oświetlona, chociaż sądząc z koloru iluminacji Maq wywnioskował, że ma do czynienia z częścią pasma widma ultrafioletowego, które wykorzystywano niekoniecznie w celach oświetleniowych. Wolał zachować ostrożność, więc naciągnął na twarz maskę fotoreaktywną, włączył filtr, po czym wdział rękawice, które znalazł w jednej z obszernych kieszeni kombinezonu. Jeśli znalazł się w fabryce, w której produkowano rasę mutantów podobnych tym, jakich podróżnicy spotkali na zewnątrz, kombinezon nie na wiele mu się zda. Tak czy owak, Lew cieszył się, że strój wyposażono przynajmniej w osłonę antyradiacyjną.

Ćwierć mili dalej w głębi tunelu Maq wszedł do wielkiego pomieszczenia. Aż go zatkało na widok jego rozmiarów i technologii znajdujących się w nim gigantycznych maszyn. Niekończącymi się pasami transmisyjnymi sunęły miliony małych lśniących szklanych pojemników. Po drodze przechodziły przez najdziwniejsze urządzenia: komory rozżarzonych ogniw elektrycznych, strefę naświetlania lampami o dziwnych widmach, laserowe skany o różnym zakresie. Później dzielono je na podłańcuchy, które podążały kulistą trajektorią z powrotem do początku całego procesu

albo były kierowane na inne pasy. Końca ich drogi nie było widać.

Ancor wykorzystał całą swoją inteligencję i wiedzę, aby przeniknąć cel działania tego gigantycznego kompleksu. Po godzinie, podczas której przeszedł jeszcze prawie dwie mile (i nadal nie widział końca tunelu), zaczynał powoli dostrzegać jakiś sens w pracy automatów o niewątpliwie nieludzkiej proveniencji – w czynnościach powtarzanych miliony razy dało się zauważyć pewną prawidłowość. Zauważył, że produkty były sortowane, oczyszczane, po czym jechały coraz głębiej w kompleks tunelowy, gdzie ilość szklanych pojemników malała, zaś proces przyspieszał.

W końcu Maq wszystko pojął, a wówczas aż zadygotał na myśl o ogromie projektu naukowego, który miał przez sobą i jego oszałamiającej koncepcji. Chociaż Lew instynktownie próbował odrzucić nasuwające mu się logiczne podejrzenia, był przekonany co do ich prawdziwości. Aby ostatecznie zweryfikować straszliwą hipotezę, podniósł pojemnik z transmisyjnego pasa upuścił go na podłogę. Naczynie rozbiło się i wypłynął z niego gęsty, galaretowaty płyn. Ancor klęknął i z bliska wpatrzył się w twór stałej konsystencji, który utkwiał w odłamkach szkła. Aż zadrżały mu ręce. Miał przed sobą nadal żywy mikroskopijny ludzki płód.

Rozdział 22

Ludzkie ZOO

Wprawdzie spodziewał się takiego znaleziska, lecz potwierdzenie oszołomiło go niczym pocisk dźwiękowy. Zerknął za sie-

bie, na przebyte dwie mile, potem popatrzył przed siebie – w miejsce, gdzie setki pasów ciągnęły się pozornie bez końca. Nie miał pojęcia, jaką część „taśmy produkcyjnej” dotąd przebył i odkrył, że lęka się najbliższej przyszłości.

Przetestował komunikator radiowy.

– Cherry... Słyszysz mnie?

– Słabo, ale wystarczy, Maq. Jak jest w środku?

– Brak słów, by to opisać. Słuchaj, muszę wejść głębiej. Wydaje mi się, że tunel jest prosty. Chciałbym znaleźć wyjście. Możesz polecieć „Shellbackiem” w tamtym kierunku i pomóc mi je odszukać?

– A co będzie – odparł magik z powątpiewaniem – jeśli stracimy połączenie?

– Musimy podjąć ryzyko. Jeśli znajdziesz wyłot tunelu, poczekajcie tam na mnie. Gdybym nie pojawił się przez dwanaście godzin, wróćcie do wejścia. Jak przeżyję, dotrę na pewno.

– Poczekaj, Maq, jeszcze jedno! – zawołał nerwowo Cherry, po czym mruknął bez entuzjazmu: – Chyba wiesz, co robisz, prawda?

Taką mam nadzieję, Cherry. Oby. Co ja tu właściwie robię? – bąknął do siebie, po czym odwrócił się i ruszył ku ewentualnemu wyjściu, równocześnie przemawiając do komunikatora: – Przechodzę przez automatyczną... fabrykę zmutowanych ludzkich ploidów. W tym gigantycznym laboratorium Zeus buduje nowe organizmy... z prostych substancji chemicznych... Wytwarza molekuly o długich łańcuchach, kwasy nukleinowe, białka, chromosomy... zdolne do replikacji ludzkie geny... zapłodnione zygoty w sztucznych jajeczkach. Po przejściu dwóch mil tego koszmaru zacząłem podejrzewać, że rozmyślnie zwiększa tempo, manipulując genami, a także poprzez napromieniowywanie i chemiczne muta-

geny. Celem jest testowe wyodrębnienie najszerszego możliwego pasma deformacji, jakie toleruje ludzki organizm.

– Teraz przechodzę do konkretów. Większość zygot nie przeżyje mutacji, zaś spośród tych bardzo nielicznych, które przeżyją, ledwie ułamek rozwinię się w płód i w końcu narodzi. Jednak jeśli nawet urodzą się w szklanych inkubatorach, pozbawione matczynego łona, zaledwie żalosna garstka zaadaptuje się i przeżyje pierwsze kilka godzin, a jedynie promil spośród nich będzie się charakteryzował jakąś mniej lub bardziej pożądaną mutacją. Tak z grubsza wygląda ten światek. Marnotrawi się tu ogromne ilości sztucznego ludzkiego materiału genetycznego na niewyobrażalną skalę, jedynie w celu wyhodowania kilka ras mutantów, których genom będzie zgodny z ludzkim i którymi można będzie zaludnić terytoria obrzeżne charakteryzujące się nieprzyswajalnymi dla przeciętnego człowieka warunkami klimatycznymi.

Przerwał na moment i srogie rysy jego niesamowitej twarzy na moment rozjaśniły się rozbawieniem.

– I w tym właśnie punkcie tak logiczna istota jak Zeus zabrnęła w ślepią uliczkę. Stworzenie nowych powłok i nowych światów miało na celu poszerzenie przestrzeni życiowej dla stale rozrastającej się... dodajmy, w naturalny sposób... ludzkiej populacji. Jakiż sens ma produkcja nowych ras, aby zaludnić nimi obszary, na których ludzie i tak nigdy nie będą mogli zamieszkać?! W liczbach bezwzględnych i owszem, będzie panował porządek. Statystycznie, średnia gęstość zaludnienia na milę kwadratową będzie się zgadzała... Tyle że w sumie... sytuacja ludzkości znacznie się pogorszy!

W tym momencie przerwał monolog, bowiem dotarł do miejsca, w którym mikroskopijne płody trafiały do większych, szklanych pojemników. Każdy zbiornik otaczały skomplikowane urządzenia zasilające płód w niezbędne płyny odżywcze i utrzymujące

warunki konieczne dla podtrzymywania życia. Nieopodal pasy transmisyjne rozgałęziały się, nikać w gigantycznych hangarach magazynowych – tak rozległych, że Maq nie dostrzegał ich końca. Pomyślał, że sztuczna ciąża trwa zapewne równie długo jak naturalna. Po kolejnej mili pasy ponownie się zbiegały i teraz sterylne, przezroczyste łona mieściły w sobie placenty i doskonale widoczne zaawansowane płody, niemal gotowe do narodzin. Na ten widok Ancora ogarnęły mdłości.

Pięć mil dalej potwierdziły się jego najgorsze przypuszczenia związane z organizacją „taśmy produkcyjnej” – Chyba najpotworniejszego miejsca, jakie Lew w swoim życiu widział, a widział wiele... Przed nim ciągnęły się miłe sterylnych, samooczyszczających się inkubatorów. Dzieci leżące w inkubatorach były szkaradne, dziwaczne bądź... piękne. W końcu Maq doszedł do laboratorium, w którym sortowano maleństwa i pospiesznie je przebiegł, ponieważ nie miał odwagi obserwować skutków selekcji. Maszyna bezlitośnie odrzucała malców, którzy nie pasowali do Zeusowej koncepcji. Ancor nie miał pojęcia, co się działo z nieszczęsnymi „odrzutami” i był pewien, że nie chce tego wiedzieć. Nieludzka efektywność całego projektu okazała się dla Maqą nie do zniesienia. Jego umysł buntował się przed tym widokiem, zaś ciało przepełniała wręcz fizycznie odczuwalna bolesna litość, więc z ulgą dostrzegł w oddali bladą plamę wyjścia. Zakrył uszy i pędem ruszył przed siebie.

Na szczęście był to wylot tunelu, a nie kolejna makabryczna hala. Na zewnątrz Lew usłyszał warkot silnika „Shellbacka” krążącego nisko w powietrzu. Co dziwne, podróżnicy do tej pory nie wylądowali i w pierwszej chwili Ancor zastanawiał się, dlaczego. Jeden rzut oka na miejsce, w którym się znalazł, wszystko mu wyjaśnił. Zewsząd otaczały go klatki i boksy przywodzące na myśl ogród zoologiczny, zaś wewnątrz nich tkwili ludzcy mutanci re-

prezentujący niemal wszelkie wyobrażalne deformacje. Byli wśród nich giganci i pigmeje, z pozoru nieważcy niczym pajęczyna ludzie-szkielety, niewysocy, ciężko zbudowani troglodyci, prawdopodobnie przeznaczeni dla regionów o wysokiej grawitacji. Niektórzy mieli wybałuszone oczy i przebywali w hermetycznych komorach, w których znacząco obniżono ciśnienie powietrza. Oczy innych z kolei były głęboko zapadnięte – tu ciśnienie powietrza najwyraźniej zostało zwiększone. Niektóre osobniki – w ogóle pozbawione oczu – przebywały w intensywnie oświetlonych pomieszczeniach, zaś oczy innych świeciły tak jasno, że pełniły rolę lamp w idealnie wyciemnionych „kojcach”. Ani jedna humanoidalna istota nie wydawała się normalna, a w dodatku żadna nie wyglądała na stworzenie myślące! Prawdopodobnie były jedynie bezrozumnymi zwierzętami. Myśl ta przeraziła Ancora jeszcze bardziej niż koszmar, który miał przed oczyma.

Klatek doglądały zmodyfikowane cybernetyczne kafary Zeusa, tyle że broń zastąpiono u nich rozciągliwymi sztucznymi kończynami. Jeśli w ogóle zauważyli Maqa, nijak nie dali tego po sobie poznać i w żaden sposób nie przeszkadzali Lwu w przejściu między rzędami klatek. Mały statek śledził jego poczynania z góry.

Ancor szukał jakiejś dużej polany, z której „Shellback” mógłby go zabrać, jednocześnie wszakże nie mógł się powstrzymać przed mimowolnym podziwem dla możliwości i umiejętności Zeusa manipulującego rodzajem ludzkim. Przy okazji wyobrażał też sobie ewentualne środowiska, w których miały zamieszkać wyhodowane tu mutanty.

Od natłoku myśli aż zakręciło mu się w głowie. Czyżby ten świat stanowił sygnał nadciągającego kryzysu? Jeśli Zeus poważnie zamierzał zaludnić przynajmniej niektóre z nieprzyjaznych dla człowieka środowisk... czyżby panikował? Profesor Soo skalku-

lował, że solaryjski wszechświat nie jest nieskończony. Najwyraźniej Zeus uważał podobnie. W tym eksperymentalnym świecie podjął boskie wyzwanie stworzenia istot zdolnych zapłacić każdą ewentualną niszę ekologiczną. Niestety, pytanie: „Dokąd wtedy polecą nasi emigranci?”, wciąż pozostawało otwarte.

Nagle – jakby dzień był niewystarczająco dla niego szokujący – Maq postanowił zbadać ostatnią klatkę w rzędzie. Stał jak wryty na widok jej jedyne go lokatora. Widok był tak kompletnie nieoczekiwany, że Ancor momentalnie zastanowił się nad własnym zdrowiem psychicznym. Na grubej rurze ze lśniącej stali tkwiła głowa i ramiona... Land’y. Tyle że to nie był Land’a, lecz inna, choć na pierwszy rzut oka bardzo podobna do niego istota. Nie miała jednakże typowego dla milionera inteligentnego czoła ani hipnotycznie przeszywającego spojrzenia. Wręcz przeciwnie – na tej twarzy nie było ani śladu intelektu, czy w ogóle percepcji otaczającego świata. W następnej sekundzie Maq zrewidował całą koncepcję misji „Shellbacka”. Uzmysłowił sobie z przeraźliwą jasnością, że człowiek-zagadka imieniem Land’a jest wytworem Zeusa i zastąpił prawdziwego księcia Hammanite z marsjańskiej powłoki, który zginął około piętnastu lat wcześniej. Zanim jednak Lew zdołał się szczegółowiej zastanowić nad tą sprawą, Cherry opuścił „Shellbacka” w lukę za rzędami klatek i Ancor musiał popędzić, aby wspiąć się na pokład.

Kiedy statek wzniósł się w powietrze, przed Maqiem rozciągnęła się pełna panorama „ludzkiego ZOO”. U stóp wrzosowiska znajdował się płaski, otwarty teren, który podróżnicy uprzednio przeoczyli. Wielomilowe szpalery klatek i kontenerów jednoznacznie sugerowały, że owa dziwaczna kolonia istnieje tu od wielu pokoleń. Zapewne trzeba było wielu, wielu lat, by przetestować mutacje. Podróżnicy przypuszczali, że „zatwierdzone” mutanty są umieszczane w odpowiednich strefach klimatycznych,

gdzie przechodzą okres aklimatyzacji i gdzie Zeus może oszacować ich zdolność do przeżycia wśród miejscowych przedstawicieli flory i fauny. Co się przydarzało istotom, u których zmutowane geny nie były dominujące? Maq nawet nie miał ochoty zgadywać, lecz – po doświadczeniach dzisiejszego dnia – wiedział, że ich koniec był szybki i ostateczny.

Przyjaciele zasypywali Ancora pytaniami, lecz musieli się zadowolić jedynie krótkim streszczeniem. Maq zwłaszcza nie miał ochoty niepokoić szczegółami opowieści Carli, która była najwrażliwsza z całej załogi. Ponieważ czuł, że niczego ciekawego nie znajdą już w tym regionie, zasugerował powrót w górskie pasmo, gdzie zostawili kryjówkę dla Sine Anury. Chociaż nie upłynęły jeszcze trzy dni, pragnął sobie sporo przemyśleć i potrzebował miejsca, które mu zapewni spokój. Na przykład górskiego pasma.

Kiedy dolecieli w góry, zapadł już zmrok i wielkie szczyty były ledwie dostrzegalne na ciemniejącym niebie. Horyzont w niektórych miejscach był wciąż żółtawy od zachodzącego ciała świetlnego i w tym lekkim poblasku Maq dostrzegł dym z ogniska rozpalonego w pobliżu kryjówki. Wylądowali. Kryjówka była splądrowana, narzędzia używane. Niestety, ani śladu Sine. Ustawili więc świetlny marker, aby przyciągnąć jej uwagę, gdyby znalazła się w pobliżu, potem wrócili na statek i obserwowali na monitorach milczące lico górskiego pasma.

Mimo wzmożonej czujności nie zauważyli żadnego ruchu, toteż niespodziewane łomotanie w pokrywę wjazdu zupełnie ich zaskoczyło. Maq ostrożnie (z bronią w ręku) otworzył i jego oczom ukazała się dziewczyna. Bezpieczna, zdrowa i wyraźnie nie strapiona. Za nią stał wielki „anioł”, który prawdopodobnie ją tu dostarczył. Pomachał im na pożegnanie, po czym wzniósł się w nocne niebo i odleciał.

Usadowili ją wygodnie na fotelu i z podnieceniem wypyтали o przeżycia, jednak Sine pozostała milcząca i tajemnicza. Wydukała jedynie, że „spędziła kilka nocy z aniołem”.

Kiedy jednak reszta rozeszła się do swoich kajut, dziewczyna i Lew rozsiedli się i rozpoczęli rozmowę. Najpierw on opowiedział jej o okrutnym laboratorium zmutowanych płodów. Dziewczyna – słuchając jego historii – często kiwała ze zrozumieniem głową.

– Był taki moment, że postanowiłam do was nie wracać, Maqu. Chyba podświadomie domyśliłam się wielu szczegółów z twojej opowieści... Wiem teraz, w jaki sposób powstał Engel... I nagle poczułam się inna...Nienaturalna. Dokładnie tak, jak powiedzieli w kryształowej świątyni.

– Nie mieli podstaw, by tak mówić, Sine. Życie rozpoczęło się gdzieś w praoceanie i linia ludzkiej ewolucji biegła poprzez gady i prymitywne ssaki, aż po hominidy. Naczelne małpy i człowiek to bliska rodzina. Wszyscy jesteśmy częściowo rybami, częściowo gadami i częściowo ssakami... Człowiek ma w genach straszliwą determinację, inaczej nie przetrwałby nieskończonego ciągu biologicznych i klimatycznych katastrof. Podobnie jest z tobą, moja droga. Ale przecież wiesz o tym równie dobrze, jak i ja. Więc dlaczego tak naprawdę wróciłaś do nas, Madame Grzech?

Uśmiechnęła się, po czym nagle przestała się wstydzić swoich emocji i po prostu wybuchnęła płaczem.

W chwilę później pogładziła czule smukłymi zielonymi palcami dziwną twarz Lwa.

– Maq, próbowałeś się kiedyś kochać na skalnej półce? Zwłaszcza kiedy za całe legowisko twój partner posiada cienką pikowaną narzutę...

Rozdział 23

Syntaksa

Napięcie wśród podróżników rosło z każdym t kolejnym dniem lotu. Pod sobą wciąż mieli świat eksperymentalny, lecz powoli zmierzali do wewnętrznej powierzchni wenusjańskiej powłoki, zaś komputer pokładowy wyliczył, że prawdopodobnie tam właśnie usadowił się Zeus. Musieli jeszcze tylko przemierzyć ostatni odcinek przestrzeni, którą w notatkach Land'y określono mianem „przestrzeni Hermesa”. Za nią leżała już tylko najodleglejsza z wewnętrznych powłok solaryjskiego wszechświata: powłoka merkurijska. Co znajdowało się dalej? Według Cherry'ego – wielka, czarna osobliwość... Według Land'y – pierwsze słońce, któremu cała ludzkość zawdzięcza życie.

Kiedy „Shellback” przemieszczał się ponad światem eksperymentalnym, Ancor zaczął analizować rolę Land'y w całej misji. Obecnie był niemal pewny, że Land jest mutantem, nie miał jednak pojęcia, jaka – poza zdolnością niemal „bezciesnego” przeżycia – była natura jego pozostałych mutacji, a co ważniejsze, czym tak naprawdę się kierował. Intuicja kazała mu zajrzeć do komputerowej encyklopedii, w której wyszukał biografię księcia.

Zapisano tu, że Awa-Ce-Land'a krótko po urodzeniu przeszedł ostrą postać paraliżu dziecięcego, w efekcie której jego ciało pozostało trwale zdeformowane, toteż musiał spędzać życie w „metalowym płucu”. Maq raz tylko rzucił okiem na fotografię i odkrył, że w aktach tkwi błąd. Patrząc na czoło wyraziście sugerujące ogromną inteligencję i przeszywające spojrzenie, uświadomił

sobie, że również prawdziwy księżę (który zginął w eksplozji) był mutantem Zeusa. Lew podejrzewał, że prawdopodobnie przodkowie Land'y także stanowili wytwór eksperymentów Zeusa. Czy cała platyna marsjańskiej powłoki naprawdę mogła przypadkiem trafić do rąk jakiegoś marionetkowego księcia? Ancor nie znał odpowiedzi na to pytanie, ale niektóre konstrukcyjne rozwiązania „Shellbacka” wyprzedzały myśl techniczną mieszkańców marsjańskiej powłoki o całą epokę. Zaczynał dostrzegać w swoim statku wszechobecną rękę samego Zeusa.

Zwiększywszy prędkość, podróżnicy przelecieli ponad kolejnymi szeregami „laboratoriów”, w których dokonywała się przyspieszona ewolucja zmutowanych organizmów roślinnych i zwierzęcych. Ancora zafascynowały ekstremalne środowiska, które Zeus zaludniał albo zamierzał zaludnić, i znowu zawładnęła nim myśl o zbliżającym się kryzysie. Najwyraźniej możliwości Zeusa wyczerpywały się. Natomiast pierwotnie zakodowane dyrektywy pozostały. Co się stanie, jeżeli owa potężna istota nie będzie mogła już sobie poradzić z ciężarem, którym niegdyś ją obarczono? I z odpowiedzialnością za przyszłość całej ludzkości? Czy zwróci się o pomoc do ludzi? A może sama podejmie zimno skalkulowaną decyzję. Co wtedy?

Porzucił próżne myśli i skupił się na bardzo praktycznych kwestiach. Skoro zyskał potrzebne informacje na temat świata eksperymentalne nadeszła pora na następny krok. Musiał spróbować skontaktować się z samym Zeusem. Tym razem stan u boku Cherry'ego i wspólnie wypatrywali wielkiej otwory w powierzchni wewnętrznej powłoki, który prowadził do przestrzeni Hermesa. Uzbrowili głowic bojowe i wprowadzili procedurę odliczania. Jeśli mieli stoczyć ostateczną bitwę, to właśnie niebawem. Maq czuł że wkraczają w absolutnie krytyczny etap podróży i stan się przewidzieć wszelkie zagrożenia.

W końcu na ekranach pojawił się wielki stożek który skrupulatnie przeskanowali w poszukiwaniu potencjalnych niebezpieczeństw. Potem powoli i ostrożnie przebyli krawędź kaldery. Nadal nic ni świadczyło o ewentualnej zasadzce.

Tym razem nie mieli zamiaru kierować się w przestrzeń międzypowłoki, ale skręcili ostro ku krawędzi „wulkanu”. Chcieli zbadać skalne lico wewnętrzne części. Ancor natychmiast rozpoczął monitoring radarem dalekiego zasięgu, miał bowiem nadzieję, że uda mu się zlokalizować Zeusa. Niestety, nawet komputerowa analiza wyników zawiodła. Najwyraźniej pod podróżnikami rozciągała się tylko jednolita, niegościnnie bezwietrzna i pusta powłoka. Wnosząc z interwali czasowego pomiędzy sygnałem drugiego kafara w kryształowej świątyni a odpowiedzią, dzięki któremu Lew zachował życie, Zeus powinien się znajdować na którymś kalderoidzie w pobliżu międzyprzestrzeni, przez którą wlecieli. Wokół równika leżało jedenaście kalderoidów odległych od siebie mniej więcej o około trzydzieści osiem milionów mil. Maq szacował, że lot z prędkością kosmiczną zajmie im prawie trzydzieści jeden dni – pozostawało wszakże pytanie, ku któremu z dwóch sąsiadujących ze sobą kalderoidów mają obrać kurs. Jeśli się pomylą, zmarnują dwa miesiące na podróż w złym kierunku. Lew nadal kontynuował radarowy skaning, analizował też drobniawo odczyty radiowego nasłuchu oraz wszelkie zmiany w promieniowaniu.

Odpowiedź przyszła z zupełnie nieoczekiwanej strony – pojawiła się w podczerwieni. Ze względu na niską temperaturowo jednorodność powłoki nie uważał za sensowne robienie skanu cieplnego, ale po namyśle zdał sobie sprawę, że każda emisja termiczna ponad normę może stanowić potencjalny przejaw obecności Zeusa. Wkrótce otrzymał wykresy termicznej aktywności obu sąsiadujących kalderoidowych „wulkanów” i dość łatwo sporzą-

dził symulacyjne dane na temat emisji ciepła w przestrzeń samych kalderoidów. Okazało się, że jeden z nich wysyłał znacznie więcej energii niż drugi, a w dodatku termowizyjny skan statku wieńczyła aureola punktów wysokiej temperatury, które mogły oznaczać wyziewy z dysz startujących kosmolotów. Maq podał kurs Chery'emu, po czym przeprogramował wszystkie sensory na tę strefę i wkrótce pędzili z prędkością kosmiczną ku temu właśnie kalderoidowi.

Pierwsza dyrektywa brzmi: Zeus musi nieprzerwanie konstruować dostateczną przestrzeń życiową dla stale rosnącej populacji ludzkiej. Druga dyrektywa brzmi: Zeus nie powinien pozwolić na żadne faktyczne ani potencjalne zakłócenie pierwszej dyrektywy.

Ancor sam wpisał te dwa zdania do komputera, po czym usiadł i przez długi czas przyglądał się im z namysłem.

– W czym problem? – spytała Sine Anura.

– Chodzi o semantykę i ...syntaksę. Istnieje znacząca różnica między „nie pozwoli”, a „nie powinien pozwolić”.

– A jakie to ma, do cholery, znaczenie?

– Dla tak ortodoksyjnie racjonalnej istoty jak Zeus – ogromne, może nawet decydujące. Stwierdzenie „nie powinien pozwolić” zakłada, że Zeus nie może pozwolić... Co jednak się zdarzy, jeśli nie zdoła przeszkodzić osobie próbującej zakłócić pierwszą dyrektywę? Czy Zeus będzie kontynuował walkę, niezależnie od konsekwencji? A może tylko wycofa się na neutralną pozycję i poprzestanie na obserwacji? Albo... – Zamknął oczy, by oderwać się od migoczącego ekranu i przez moment trwał w skupieniu kompletnie nieruchomo. Dziewczyna sądziła, że zasnął.

– Albo? – podpowiedziała w końcu.

– Albo po prostu zatrzyma.

– Co zatrzyma?

– Wszystko. Każdą pieprzoną rzecz. Przestanie zaopatrywać w paliwo ciała świetlne, monitorować przyrost populacji, rozdzielać moc, dostarczać zapasy, regulować atmosferę... Porzuci wszelkie swoje obowiązki, które utrzymują cały świat Solarii przy życiu. Zwinie interes.

– Niby dlaczego miałyby to zrobić?

– Ponieważ dla Zeusa nie jesteśmy ludźmi, lecz „danymi” w równaniu, które trzeba rozwiązać. Jeśli jednak problem staje się nierozwiązywalny, ile warte są owe „dane”?

– Wybacz, lecz czy twoje rozważania nie są raczej dość hipotetyczne?

– Rzeczywiście. Nie sugeruję, że Zeus faktycznie zaniedba nasz świat... a jeśli nawet, nie stanie się to wcześniej niż za jakiś milion lat. Jednakże pewnego dnia Zeus będzie musiał stawić czoła dylematowi, w którym nadające sens jego egzystencji: „nie powinien pozwolić”, zostanie zanegowane przez „nie mogę”. I wtedy właśnie właściwa interpretacja semantyczna pierwszej dyrektywy zdeterminuje przetrwanie... lub całkowite zniszczenie ludzkiej rasy. Sądzę, że nieprzypadkowo w drugiej dyrektywie użyto stwierdzenia „nie powinien”. Zeus unika konfliktu wewnętrznego, dopóki nie zdoła przeszkodzić temu pierwsza dyrektywa. Tyle że... o ile dobrze rozumiem pierwszą dyrektywę, takiej ewentualności w ogóle nie przewidziano.

Dopiero po dwóch tygodniach lotu otrzymali sygnał, że Zeus zauważył ich statek. Mieli do przebycia jeszcze dwadzieścia milionów mil, kiedy skaner dalekiego zasięgu wykrył w oddali wielką ilość maszyn. Pierwotnie znajdowały się one prawdopodobnie nieopodal kalderoidowego stożka, teraz jednak ewidentnie kierowały się ku „Shellbackowi”. Niezdolny ocenić z tej odległości ani ich dokładnej liczby, ani konstrukcyjnych szczegółów, Lew obserwował powiększającą się na ekranach chmurę z coraz większą

obawą. Doskonale uzbrojenie małego statku gwarantowało pokonanie kilku, może nawet kilkunastu przeciwników, Ancor wiedział wszakże, że podróżnicy w żaden sposób nie zdołają przeżyć spotkania z całą armadą.

Pojawienie się Zeusowych wysłanników przyniosło jednak grupie niespodziewaną korzyść: nasłuch radiowy wykrył bowiem nagle zagęszczenie krótkich komunikatów i transmisji spakowanych wiadomości o dużej gęstości, dzięki czemu Lew był w stanie namierzyć Zeusa. Prawdopodobna odległość i pozycja superkomputera w pierwszej chwili kazały mu się zatrzymać i zastanowić co dalej, potem skinął głową. Wszystko układało się w logiczną całość. Zeus wcale nie znajdował się blisko kalderoidu, lecz na samym kalderoidzie – właściwie istniała możliwość, że sam był kalderoidem! Dwieście sześćdziesiąt osiem tysięcy milionów mil sześciennych mikroprocesorów i hiperskomplikowanej cybernetyki... Tak, niewątpliwie było to trudne do wyobrażenia, ale czyż istnienie maszyny zdolnej budować i remontować solaryjski wszechświat było łatwiejsze do ogarnięcia rozumem?

Maq spojrział ponownie w górę i ujrzał flotę, która stale rosła przed nimi. Na chwilę oparł ciężką głowę na rękach i zapadł w głęboką zadumę.

– No cóż, jeśli ma się nam udać nawiązanie dialogu, teraz jest moment równie dobry jak każdy inny na jego rozpoczęcie. Czas na przełamanie lodów.

Odwrócił się do komputera i uruchomił aplikację konwertującą jego słowa na uniwersalny kod komunikacyjny, po czym z namysłem wystukał na klawiaturze:

Jestem Ancor z marsjańskiej powłoki. Podróżuję statkiem o nazwie „Shellback” do centrum Solarii. Porozmawiajmy.

Forma jego informacji była w pełni rozmyślna. Próbował zmusić wszechmocny kompleks komputerowy do bezpośredniej

odpowiedzi i tym samym rozpoczęcia dialogu. Przesłał wiadomość do nadajników, potem wyprostował się na fotelu i w napięciu czekał. Z ich obecnego położenia transmisja do Zeusa powinna zająć około 1,8 minuty, tyleż samo odpowiedź. O ile będzie odpowiedź...

Sekundy rozciągnęły się w trzy długie minuty... potem cztery... I nic się nie zdarzyło. Wciąż nie tracąc nadziei, Ancor powtórzył wiadomość. Tym razem Zeus zareagował. Ekran rozświetlił się słowami:

– *Wiem, kim jesteś, skąd jesteś i dokąd zmierzasz. Jeżeli natychmiast nie zawrócisz, zostaniesz zniszczony.*

Maq starannie przeanalizował komunikat, po czym odpisał:

– *Zawrócę, kiedy porozmawiamy, zatem zniszczenie nie jest konieczne.*

Sine Anura stanęła za jego plecami, śledząc rozwój wypadków. Jej dłonie zacisnęły się nerwowo na jego ramionach, zaś promieniejący ciepłem zapach jej ciała wypełnił powietrze pociechą. Tym razem czekali dłużej. Wreszcie na ekranie pojawiło się jedno słowo:

– *Rozmawiamy.*

Lew spojrzał na zegarek, a dziewczyna wyczuła, że kark zaczyna mu sztywnieć z napięcia. Najwyraźniej podjął decyzję. Dialog się rozpoczął, lecz Ancor pragnął czegoś więcej.

– *Nie będziemy rozmawiać na dystans.. Udam się tam, skąd zwykli kontaktować się z tobą dawni programiści.*

Odpowiedź nadeszła natychmiast.

– *Nie zezwala na to druga dyrektywa.*

– Syntaksa nas wesprze! — oznajmił rozgorączkowany Maq, sięgając po spisaną wcześniej „ściągawkę”.

– *Druga dyrektywa głosi, że nie powinieneś pozwolić na żadne faktyczne ani potencjalne zakłócanie realizacji pierwszej dyrektywy. Nie powinieneś pozwolić... co nie oznacza, że ci się*

uda. Twoje niepowodzenie w tym względzie bynajmniej nie przekreśla drugiej dyrektywy. Zresztą, ja wcale nie rzucam wyzwania pierwszej dyrektywie... A zatem nie masz powodu odmawiać mi dostępu.

– Przypomnij mi, abym się nigdy nie wdawała z w tobą w żadne kłótnie – zauważyła cicho Sine Anura.

– *Twoja obecność nadal jest uważana za groźbę wobec pierwszej dyrektywy.*

– Szach, lecz nie mat – mruknął Maq w zadumie, po czym odpisał:

– *Nie, to ty stanowisz groźbę. Jeśli nie dasz mi dostępu, wystrzelę głowicę dyfrakcyjną w generatory pola exis, dzięki którym masa powłoki nie zgniata cię na proch. A jeśli zginiesz, nie będziesz mógł kontynuować pierwszej dyrektywy. Musisz trwać! Nie masz więc wyboru, udziel mi dostępu.*

– Ciekawe, jak z tego wybrnie! – obwieścił tryumfalnie Lew.

– Posiadamy głowice dyfrakcyjne? – spytała zaskoczona dziewczyna.

– Nie, ale Zeus nie jest w stanie tego sprawdzić, a nie ośmieli się ryzykować. Właśnie zdałem sobie sprawę z faktu, że w tej grze przeciw Zeusowi dysponuję drobną przewagą. Mogę blefować, on zaś nie.

Tym razem riposta zajęła maszynie całe sześć minut. Litery zostały rozstrzelone, jakby Zeus demonstracyjnie pragnął zasugerować swoją niezgodę i niechęć.

–Otrzymasz dostęp.

Rozdział 24

Dialog

Po kolejnym milionie mil spotkali pierwszy statek z powitalnej armady. Przypominał kosmiczną gigamątwe, lecz nowszego, znacznie bardziej zaawansowanego technologicznie typu. Był mniejszy i bez wątplenia bardziej mobilny. Ancor żywił poważne wątpliwości, czy przeżyliby starcie z kilkorgiem podobnych. A armada liczyła tysiące jednostek...

– Po kiego licha Zeus wysłał ich tak wiele? – spytała Sine.

– Prawdopodobnie dlatego, że pierwsza dyrektywa stanowi dla niego początek i koniec wszystkiego. Nic nie jest ważniejsze od jej wypełniania, czyli jego istnienia, zatem można powiedzieć, że przesadził tylko o kilka tysięcy procent.

– Ale nie zaatakują nas, prawda? Nie teraz, kiedy Zeus pozwolił ci się do siebie zbliżyć.

– Stuprocentowej gwarancji nie ma. Błędem i to brzemieniem w skutki byłoby przyjęcie jako pewnik, że Zeus posiada całkowitą kontrolę nad wszystkimi swoimi urządzeniami. Sam czas radiowej transmisji to wyklucza. Nie, większością jego maszyn zawiadują pokładowe systemy sztucznej inteligencji o częściowej autonomii. Skoro jednak muszą się odwoływać po dalsze instrukcje, to znaczy, że istnieje łańcuch regionalnych i wyspecjalizowanych ogniw decyzyjnych, a wśród nich panuje swego rodzaju hierarchia. Ośrodek centralny – albo, jeśli wolisz, centrum polityczne – jest stosunkowo mocno izolowany przed wszystkim, co bieżące i trywialnie materialne. Niemniej sędzę, że jeśli Zeus wyda nam odgórny glejt nietykalności, polecenie dotrze na wszystkie poziomy łańcucha decyzyjnego, choć poszczególne jednostki nadal będą miały swobodę indywidualnych reakcji w ocenie bezpieczeństwa drugiej dyrektywy.

Podróżników aż przeszły ciarki, gdy pierwsza z kosmicznych gigamątów podleciała blisko, po czym zakołysała się w zasięgu strzału. Ancor zdążył wcześniej uzbroić głowice bojowe i stał z palcem krążącym nerwowo nad czerwonym guzikiem, zwlekając z odpaleniem raket. Zastanawiał się, jak długo wytrzyma, zanim go naciśnie. Nagle ekran komputera rozświetlił się kolejną informacją.

– *Ancorze, porozmawiamy.*

Maq wyraźnie się odprężył, zaś kosmiczna gigamąta podleciała do „Shellbacka”, po czym zsynchronizowała z nim prędkość i kurs. Wielkie lewary pozostały w gotowości i w każdej chwili mogła nimi zgnieść mały statek, a jednak powstrzymywała się przed atakiem. Krótco później podróżników otoczyły kolejne gigamąty, zajmując strategiczne pozycje wokół nich w sposób, który jednoznacznie wskazywał zamiar natychmiastowego przejęcia kontroli nad sytuacją, gdyby przypadkiem pierwsza maszyna została zniszczona. Po zakończeniu manewru gigamąty utworzyły szpaler dla „Shellbacka”.

– Jestem pełen uznania dla Zeusa – stwierdził Ancor, z wprawą oceniając szyk maszyn. – On także woli nie podejmować ryzyka, jeżeli może go uniknąć.

Konwojowani przez gigamąty podróżnicy kontynuowali lot przez ostatni milion mil, aż do stożka kalderoidu. Potem, kiedy Cherry zaczął wytracać prędkość wychodząc z trybu kosmicznego, przysłała nowa wiadomość od Zeusa:

– *Ponieważ posiadasz broń, twój statek nie otrzymuje zezwolenia na wejście w międzyprzestrzeń. Zostaniesz i poczekaasz, aż cię przeniosę.*

Ancor przekazał Cherry’emu dokładne współrzędne wytyczonego przez Zeusa miejsca postoju. Pilot bez trudu wylądował we wskazanym punkcie stożka. Kiedy tylko osadzili statek na

gruncie, natychmiast otoczyły ich gigamątwy, więc – nawet gdyby chcieli – nie mieli szans odlecieć w żadnym kierunku. Maqa specjalnie nie przeraził ten „domowy” areszt. Podziwiał pulsujące w dole na powierzchni stożka świetlne linie, które składały się na siatkę pola *axis*, utrzymującego wejście do kalderoidu. Prawdę mówiąc, gdyby Lew nawet posiadał głowicę dyfrakcyjną, przebić się przez zaporę wyspecjalizowanych w przechwytywaniu asteroid gigamątów na odległość skutecznego strzału graniczyła z cudem. Zresztą, i tak by jej nie użył. Chodziło mu tylko o zastraszenie wszechmocnego superkomputera. W końcu przekazał Cherry’emu pewne szczególne instrukcje co do ewentualnych późniejszych holoiluzji, które mogły się okazać niezbędne.

Siedem godzin później z międzyprzestrzeni wyłonił się niewielki transportowiec. Wnioskując z jego manewrów, zamierzał dokować z „Shellbackiem”. Ancora nie zaskoczyło, że włązy transportowca i „Shellbacka” idealnie do siebie pasowały, ponieważ wysłannik Zeusa konstrukcyjnie do złudzenia przypominał statek podróżników. Tym samym potwierdziły się podejrzenia Maqa co do pochodzenia technologii „Shellbacka”. Jednakże, mimo ostentacyjnej brawury, gdy Lew i Sine Anura przechodzili na pokład transportowca, towarzyszył im lekki strach, częściowo dlatego, że powierzali swoje żywoty całkowicie w ręce Zeusa, a częściowo z tego powodu, że – jeśli właściwie zrozumieli sytuację – minęło już wiele, wiele stuleci, odkąd ludzie po raz ostatni odbyli podobną podróż do cybernetycznego sanktuarium Zeusa.

Transporter natychmiast wystartował. Ancor zlustrował szybko wyposażenie pomieszczenia. Wydało mu się dziwnie staroświeckie, jakby rzeczywiście lecieli statkiem, którym podróżowali dawni programiści, choć znakomicie utrzymane. Wkrótce Maq bez trudu skontaktował się z Cherryem, który został na „Shellbacku”. Uwagę Lwa przykuł reaktor – metalowa „trumna”

bliźniaczo podobna do tej z „Shellbacka”. Ostateczny dowód na to, że na tę wyprawę ku centrum Solarii wysłał ich sam Zeus. Tylko po co?

Transporter opadł w międzyprzestrzeń w zwartym, skoordynowanym locie, który znacząco kontrastował z kapryśnym, nieskoordynowanym pilotażem Cherry’ego. Zeus nie był łaskaw poinformować Ancora i Sine na temat czasu trwania podróży, więc dobrze, że przezornie zabrali ze sobą zapasy jedzenia, bo lecieli niemal dobę. Różnica pomiędzy Zeusem i każdym z napotkanych dotąd kalderoidów była już na pierwszy rzut oka oczywista. Powierzchnię – miliony mil kwadratowych – stanowiła tu metalowa skorupa.. Nieskazitelną gładź pancerza jedynie od czasu do czasu szpecił nitowany dok albo coś w rodzaju cumowniczego gwintu, służącego może do transferu energii czy może danych. Co więcej, kalderoid pozbawiony był atmosfery oraz orbitujących ciał gwiazdnych, które oświetlałyby powierzchnię i międzyprzestrzeń. Kiedy Maq obserwował jednostajną i nużąco jednorodną powierzchnię Zeusa, zaczął się zastanawiać, czy w sali pierwszych programistów warunki są aktualnie przystosowane dla ludzi, czy też wraz z dziewczyną będą musieli całkowicie polegać na kosmicznych skafandrach i aparaturze tlenowej, którą zabrali ze sobą. W razie tej drugiej ewentualności rozmowa z konieczności będzie krótka i trudna.

Jego obawy okazały się bezpodstawne, ponieważ kiedy transportowiec w końcu wylądował i zadokował przy automatycznym władze, Lew usłyszał syk ciśnienia wyrównującego się w służbie powietrznej, po czym obie pary drzwi otworzyły się i pojawiło się przejście. Gdy wraz z Sine weszli do tunelu, widok aż pozbawił ich tchu, szczególnie że prawdopodobnie ludzka stopa nie przemierzała tej drogi od dnia powstania marsjańskiej powłoki. Korytarze były oświetlone bladą fluorescencją "wiecznych”

lamp atomowych, których wypełnione radioaktywnym gazem kinkiety przecinały smugi cienia. Czas rozpadu odcisnął swoje piętno. Pomieszczenia były wystarczająco ciepłe, by ludzie mogli się czuć dobrze, lecz powietrze osobliwie pachniało stęchlizną, jakby przechowało zapach starożytnych programistów, którzy jako ostatni przemierzali te korytarze.

Podróżnicy mieli przed sobą tylko jedną możliwą drogę, oświetloną przyćmionym światłem lamp. Wszystkie ściany były szklane. Błyskały na nich rytmicznie niewielkie sygnalizatory, które prawdopodobnie miały jakieś znaczenie dla wtajemniczonych, ale Sine i Ancorowi wydały się całkowicie obce. Z przerażeniem zastanawiali się nad potęgą tej ogromnej, dziwacznej maszyny, której powierzyli swoje bezpieczeństwo i życie. Po około trzydziestu minutach spaceru korytarz doprowadził ich do gigantycznej hali, w której mieściło się około stu konsoli komputerowych. Jedyne oświetlenie pomieszczenia stanowił system migających sygnalizatorów wokół obwodu, które tworzyły coś na kształt frapującego regularnością pierścienia.

Nagle na jednym z ekranów, umieszczonym wysoko przed podróżnikami, wybuchła różowa iluminacja. W chwilę później gdzieś z bliska odezwał się metalicznie sztuczny, lecz dość przyjemny głos:

– Maqu Ancorze, teraz porozmawiamy. Co chcesz mi powiedzieć?

– Przyleciałem – zaczął Ancor – aby przywrócić stary dialog między człowiekiem i Zeusem.

– Co ma być jego celem?

– Więc... o ile posiadam dobre informacje... otrzymałeś zadanie, które kiedyś uważano za nieskończone. Niestety, ono ma kres i ów kres nadchodzi. Obecnie musimy się zastanowić, co robić dalej.

– Nie istnieje rozwiązanie tego problemu. A zatem rozważania na jego temat są bezcelowe.

– Sprawdźmy najpierw, czy zgadzamy się co do istoty problemu. Zanim zbudowano wewnętrzne powłoki, w Solarii istniały światy, które utrzymywały się poprzez równowagę masy i prędkości wobec przyciągania pewnego centralnego punktu grawitacyjnego. Owe światy zostały wyizolowane przez pole *exis*, zaś ich orbity i prędkość zostały zmodyfikowane tak, aby odpowiadały wyznaczonym miejscom w powłokach. Rotację wszystkich tych wewnętrznych światów spowolniono, ale wyliczenia ich prędkości zawierały pewien margines błędu. W efekcie nawet te „uwięzione” światy – chociaż powoli – obracały się.

– Prostacki wywód, Ancorze, ale zasadniczo poprawny.

– Wówczas pojawiły się szprychy pola *exis* – ciągnął Maq – które związały ze sobą wszystkie powłoki, niczym wielkie koło. Ponieważ wewnętrzne powłoki wirują, zewnętrzne również muszą się obracać. Prędkości powierzchni równikowych są tym większe, im dalej powłoki leżą od piasty. Zjawisko to determinuje rozmiar solaryjskiego wszechświata, ponieważ po osiągnięciu określonej prędkości krytycznej nie sposób znaleźć materii, z której można by skonstruować powłokę. Wszystkie znane jej rodzaje nie wytrzymają presji siły odśrodkowej i ulegną dezintegracji.

– Znowu upraszczasz. Powłoki faktycznie są spięte przez płaszczyzny pola *exis*, które uniemożliwiają przekształcenie się tych wielkich mas w globule, co mogłoby im się przydarzyć pod wpływem sił grawitacyjnych. Pole *exis* blokuje tendencję do ulegania rozpadowi i zapobiega kumulacji masy. Cały proces ściśle precyzują wyniki z konstrukcji solaryjskiego wszechświata limity.

– I zbliżamy się do ich krańca, czy tak? – spytał Ancor.

– Nie osiągnęliśmy jeszcze stadium alarmowego, ale tak... zbliżamy się do wyczerpania limitów. Tyle że jak już mówiłem, jest to kwestia nierozwiązywalna.

– Może masz rację, lecz z pewnością istnieją alternatywne metody kontynuacji rozwoju ludzkiej rasy. Gdyby do rozwikłania tego dylematu zaprzac najświetlejsze umysły, kto wie... Mnie wszakże interesuje chwila obecna. Nazywając rzeczy po imieniu, chodzi o to, że niedługo możesz stracić możliwość wypełniania pierwszej dyrektywy.

– Jeśli nie będę mógł wypełniać pierwszej dyrektywy, wtedy wszystko straci sens. Podstawowy cel solaryjskiego wszechświata opiera się na wypełnianiu pierwszej dyrektywy.

– W takim razie ktoś dokonał niewłaściwego zapisu, bowiem celem solaryjskiego wszechświata jest zapewnienie przetrwania i rozwoju ludzkiej rasie. Liczy się człowiek, nie dyrektywa.

– Nie rozumiem tego rozróżnienia.

– I dlatego konieczne jest napisanie nowego programu dla pierwszej dyrektywy.

– Nie zezwala na to druga dyrektywa, zresztą nie zdajesz sobie sprawy z zawłości wymienionego przez siebie zadania.

– Sam z pewnością nie podjąłbym się tak ogromnego wyzwania, jednakże mamy do dyspozycji najtęższe mózgi Solarii. A co do drugiej dyrektywy, może ją unieważnić zagrożenie ostateczną destrukcją. Gdybym nie dysponował argumentem siłowym, nie byłoby mnie tutaj.

– Każda próba ingerencji w pierwszą dyrektywę stanowi zagrożenie o charakterze ostatecznym.

– Wierz mi, że nie blefuję i jestem gotów na wszystko. Mój uzbrojony w głowicę dyfrakcyjną statek tkwi po drugiej stronie siatki pola *exis*, które utrzymuje tę międzyprzestrzeń. Jeżeli nie zgodzisz się na modyfikację pierwszej dyrektywy, głowica zosta-

nie wystrzelona. A wtedy międzyprzestrzeń zawali się, ty zaś zostaniesz zniszczony.

– Brakuje ci logiki. Takim czynem sprowadziłyś śmierć na samego siebie i cały ludzki rodzaj, ponieważ żaden człowiek nie jest w stanie beze mnie przeżyć.

– Zagłada i tak nadciąga, jako że pierwsza dyrektywa praktycznie już stała się martwą literą. Ryzykuję zatem jedynie nieznaczne przyspieszenie terminu egzekucji. Jak ci się podoba logika mojego wywodu? Chyba bez zarzutu, co?

– Zgoda, lecz w takim razie cóż mnie powstrzyma przed zniszczeniem twojego statku i tym samym pozbyciem się zagrożenia?

– Drobną informacją, że głowica została już uzbrojona, a jej detonator jest równie wrażliwy, jak skorupka jajka. I znajduje się naprawdę bardzo blisko ciebie. Nie masz wyboru, musisz się zgodzić na przeprogramowanie pierwszej dyrektywy.

Zapadło długie milczenie, podczas którego Ancor z zadumą ścisnął rękę Sine Anury.

– Sporo czasu zajmie przeanalizowanie wszystkich możliwych opcji przemodelowania konstrukcji solaryjskiego wszechświata.

– Ile dokładnie?

– Może szereg okresów, które nazywasz tygodniami. Wtedy ci odpowiem. Czy czujesz się usatysfakcjonowany?

Nie – odparł Ancor. – Ale powstrzymam się do tego czasu od spełnienia mojej groźby. Pod jednym wszakże szczególnym warunkiem. Przybyłem do centrum Solarii również po to, by zobaczyć słońce, które... jak mi oznajmiono... leży gdzieś na powłoce merkuriańskiej. Ponieważ muszę zostawić mój statek wraz z bronią blisko ciebie jako... gwarancję dotrzymania umowy, wymagam od ciebie zorganizowania dla mnie i mojej towarzysze wyprawy w celu obejrzenia tegoż słońca. Zgadzasz się?

– Zgadzam się, Maqu Ancor. Wróć na swój statek, a ja zobaczę, co da się zrobić.

Rozdział 25

Porwani

Kiedy znaleźli się na pokładzie „Shellbacka”, Sine Anura wciąż jeszcze się śmiała.

– Niewiarygodne, Maqu! Jestem pewna, że nikt przed tobą... w całej historii Solarii nie zdołał zaszantażować komputera.

– Chodzi o coś więcej, Sine. Odnoszę wrażenie, że Zeus w pełni świadomie wykorzystuje mnie do rozwikłania trapiącego go wewnętrznego konfliktu pomiędzy dwiema dyrektywami. Posłużyłem tylko jako niezbędny katalizator.

– Ciekawy punkt widzenia.

– Wiem, zastanów się jednak nad faktami. Przysłał nas tutaj Land’a, którego zdemaskowaliśmy jako wyhodowanego przez Zeusa mutanta. Następna kwestia, czyli „Shellback”... Wiele jego technicznych rozwiązań przeniesiono bezpośrednio z kosmicznych pojazdów Zeusa. Wygląda więc na to, że Zeus nie tylko dostarczył nam środek lokomocji, ale w ogóle zorganizował całą wyprawę. Zauważ, że miał mnóstwo okazji, by nas zatrzymać, a jednak za każdym razem odwoływał swoje maszyny przed drugim ciosem. Być może nasz drogi superkomputer znacznie bardziej od nas pragnie przywrócić dialog z człowiekiem.

– Z jakiego powodu?

Ponieważ nie potrafi na drodze logicznej dedukcji poradzić sobie z nawet dla niego coraz wyrazistszym konfliktem pomiędzy pierwszą dyrektywą, którą coraz trudniej mu wypełniać, a drugą, która utrzymuje przymus realizacji pierwszej. Tylko programiści byliby w stanie rozwiązać jego dylemat, zaś zawiesić drugą dyrektywę może tylko ktoś na tyle perfidny, by zagrozić wysadzeniem całego wszechświata w powietrze.

– Zabójca?

– Zabójca albo najemnik... Osoba, która mało ceni własne życie, zaś śmierć innych w ogóle nie robi na niej najmniejszego wrażenia. Nagle odkryłem, dlaczego zostałem zwerbowany na tę ekspedycję.

– No dobrze, ale w takim razie czemu Land'a nie powiedział nam o wszystkim przed odlotem?

– Wątpię, czy znalazł swoją prawdziwą rolę. Zeus obdarzył go wysoką inteligencją i nienasyconym pragnieniem wiedzy. W posagu otrzymał też nieprzeliczalne bogactwa. Dzięki platynie może zaspokajać bez jakichkolwiek materialnych ograniczeń własną ciekawość. W dodatku Zeus jakimiś tajnymi kanałami przekazał mu zaawansowane kosmiczne urządzenia, których nie sposób nabyć na marsjańskiej powłoce. Jemu również przydzielono funkcję swego rodzaju katalizatora, tyle że w stosunku do nas, ludzi. Otrzymał zadanie zorganizowania wyprawy mającej na celu odkrycia dość szczególnej natury... Niestety, sam nie mógł w niej wziąć udziału z wiadomych względów. Przypuszczam, że tylko kwestią czasu było dotarcie przez którąś z jego ekspedycji do centrum Solarii.

– Dlaczego jednak Zeus wybrał akurat nas, mieszkańców marsjańskiej powłoki? Ziemska i wenusjańska leżą bliżej.

– Tak, lecz jedynie z marsjańskiej możliwy był lot egzosferyczny. Chociaż Zeus z pozoru posiada nieograniczone możliwo-

ści, „Shellback” mógł zostać zbudowany tylko na naszej powłoce. Poza tym, na innych powłokach nie można również wyprodukować niektórych typów broni.

- Takich jak na przykład głowica dyfrakcyjna, której zresztą nawet my nie posiadamy.

- Ta kwestia najbardziej mnie martwi. Gdyby z jakichś powodów Zeus jednak zaryzykował wprowadzenie w życie drugiej dyrektywy, nasz blef szlag trafi. Dlatego właśnie Cherry wraz ze statkiem musi pozostać po drugiej stronie sieci *exis*. Liczę, że przetrwamy tę grę pozorów przynajmniej do czasu... aż Zeus wymyśli nowy projekt i renegocjujemy dyrektywy.

- A zatem wciąż jesteś zdecydowany szukać słońca?

- Czy w ciągu mojego życia zdarzy się druga szansa?

- Jak twoim zdaniem Zeus nas tam przeniesie?

- Będzie musiał znaleźć nam odpowiedni statek. Ten, który nas tu przywiózł, raczej się na taką misję nie nadaje.

Czekali całe dwa dni, po czym w doku pojawił się ten sam statek, którym przylecieli. Ancor wątpił w sens lotu i próbował skontaktować się z Zeusem poprzez łącze komunikacyjne, niestety bezskutecznie. Zostali wraz z Sine zmuszeni do podjęcia szybkiej decyzji. Mieli dwa wyjścia: albo wejdą na pokład z nadzieją, że w pewnym momencie przesiądą się na bardziej stosowny statek, albo zrezygnują z niebywalej okazji ujżenia pierwszego słońca. W końcu wybrali podróż, chociaż zarówno oni sami, jak i Cherry mieli złe przeczucia.

Co ciekawe, gdy tylko Zeusowy przewoźnik oderwał się od „Shellbacka”, zamiast skrócić ku przestrzeni kosmicznej, ostro zawrócił ku międzyprzestrzeni kalderoidu, która przenikała powłokę wenusjańską. Sine i Maq uznali, że pomylili się w kwestii charakteru podróży i po prostu zostali wezwani na kolejną rozmowę z Zeusem, po czym odprężyli się. Dopiero po jakimś czasie

zdali sobie sprawę z faktu, że lecą znacznie dłużej niż poprzednio. Coś im w tym wszystkim nie pasowało. Ponieważ nie dali rady ani przejąć kontroli nad statkiem, ani skontaktować się z Zeusem, musieli się zadowolić lustracją oprzyrządowania. Wyniki nie były zbyt zachęcające i podróżnicy nabrali jeszcze większych podejrzeń. Powoli stawało się jasne, że kierują się wprost na zewnętrzną powierzchnię wenusjańskiej powłoki, a po szesnastu godzinach niezwykle szybkiego lotu przez międzyprzestrzeń wypadli z kalderoidowego stożka i ponownie powitały ich jaskrawe ciała świetlne. Zostali porwani!

Przez następne dni pędzili z egzosferyczną prędkością, odkrywając intencje Zeusa. Ancor przeklinał solidnie przez kwadrans, niestety nie istniał bezpieczny sposób zmiany kursu automatycznego przewoźnika, mimo że Maq włamał się do konsoli sterowniczej. Nagle wyrosła przed nimi potężna iglica wahadłowej szprychy (wyglądała jak złota nić wisząca na niebie). W chwilę później przewoźnik zaczął opadać, a kiedy w końcu wylądował, szprycha wznosiła się nad nimi niczym złowróźbna kolumna. Niestety, po wylądowaniu nie nadarzyła się najmniejsza nawet szansa ucieczki. Przewoźnik osiadł w automatycznej stacji towarowej mocno oddalonej od strefy publicznej i emigracyjnej. Przed włazem czekały na nich dwa cybernetyczne kafary.

Ancor z przeraźliwie ponurą miną odwrócił się do Sine Anury.

– A ja w swojej naiwności sądziłem, że potrafię przechytryć Zeusa. Boże, wpakowaliśmy się w prawdziwą kabałę! Czekają nas przymusowa emigracja albo nagła śmierć... Tak czy owak, Zeus przestał nas już uważać za zagrożenie. Do diabła, co mnie podkuśsiło, żeby rzucać wyzwanie Zeusowi!

– „Shellback” wraz z Cherrym ciągle czeka – zauważyła Sine. – Czyli że w gruncie rzeczy nie pozbył się groźby.

– Pozbył się zabójcy. Uważa pewnie, że nikt oprócz mnie nie odważy się wystrzelić dyfrakcyjnej głowicy.

– W tych okolicznościach przypuszczenie całkiem rozsądne – zgodziła się dziewczyna. – Więc co robimy, Maq? Walczymy czy odpuszczamy?

– Nawet gdybyśmy byli w stanie pokonać kafary, będziemy martwi, zanim zdążę wyciągnąć broń z kabury.

Niechętnie podporządkowali się złowrogiej eskorcie, która skierowała ich przez długi trakt towarowy. Po drodze omijali wszelkie obszary publiczne i dotarli niespodziewanie przed drzwiami w ogromnej i łukowatej burcie ładowni wahadłowca szprychowego. Tutaj musieli czekać. Automatyczne katarę wycofały się na pozycje, z których mogły ostrzelać każdy fragment terenu. Na szczęście podróżnicy nie zamierzali uciekać. Ancor modlił się o coś, co odwróciłoby uwagę śmiercionośnych maszyn, dzięki czemu zyskałby sekundę potrzebną na wyciągnięcie broni, niestety okazja się nie pojawiła. Po pewnym czasie rozległo się nieoczekiwane młaśnięcie automatycznej blokady i drzwi prowadzące na pokład emigracyjnego wahadłowca otworzyły się.

Podróżnicy nijak nie mogli uniknąć przejścia przez te fatalne wrota. Kafary miały sporo doświadczenia w przekonywaniu niechętnych emigrantów do wejścia, toteż wystarczył szcęk przeladowywanej broni. Sine i Maq mieli do wyboru emigrować lub umrzeć. Za chwilę na własne oczy przekonają się, jak wygląda w praktyce program kontroli populacji. Wiedząc, że nigdy nie zapomną tego przeżycia, wzięli się za rękę i ruszyli ku swemu przeznaczeniu.

Kapsuła wahadłowca szprychowego okazała się automatycznym statkiem kosmicznym, niemal pod każdym względem całkowicie zwyczajnym, tyle że napędzanym przez pi-inwersyjne pole *axis*. Pomieszczenie przeznaczone dla emigrantów było ascetycz-

nie wyposażonym cylindrem, zawierającym jedynie zapas wody i paczkowanego jedzenia, głębokie piankowe materace służące jako łóżka oraz sofy do siedzenia. Nic więcej. W celu wytworzenia sztucznej grawitacji cylinder intensywnie wirował wokół własnej osi, dlatego do momentu jej wytworzenia przed obijaniem się o ściany pasażerów chroniły specjalne siatki. W kabinie nie było żadnych iluminatorów ani włazów, z wyjątkiem tego, przez który podróżnicy tu trafili, zaś wszystkie mechanizmy sterownicze i napędowe były zaplombowane i odgrudzone metalowymi kratami, tak że nie sposób było do nich dotrzeć.

Ancor i Sine Anura z przestachem rozejrzeli się po wnętrzu wahadłowca. Cylinder przeznaczony był dla około stu pięćdziesięciu emigrantów, a jednak do tej pory pozostawiali w nim sami. A kiedy rozległy się syreny w alarmowe, sygnalizujące, że wahadłowiec zostaje skierowany do pętli startowej u podstawy szprychy, para nieszczęśników uprzytomniła sobie, że prawdopodobnie nikt im nie będzie w trakcie tego lotu towarzyszyć. Pomyśleli, że Zeus musi mieć wyjątkowe plany wobec uczestników tego nadprogramowego transportu. Ancor uśmiechnął się krzywo, kiedy pojął, że już w niezbyt odległej przyszłości uzyska odpowiedź na pytanie: „Dokąd zmierzają nasi emigranci?”. Na jakiejś peryferyjnej powłoce, gdzie ciała świetlne ledwie się jarzą i nie wiadomo, czy da się przeżyć dłużej niż tydzień, prawdopodobnie on i Sine na własnej skórze poznają problemy Zeusa.

Posłuszni histerycznym alarmom wspięli się w zabezpieczające hamaki i zawisli w nich niczym niezgrabne pająki. Tymczasem wahadłowiec wzniósł się pionowo i rozpoczął przedstartowy korkociąg. Potem maszyna wykonała skomplikowaną serię manewrów. Cylinder zaczął się obracać wokół własnej osi, lecąc coraz bardziej zwartym spiralnym kursem, aż ostatecznie trafił w szprychę pola *exis*. Kombinacja rotacji i ruchu spiralnego była dla

podróżników kompletnie dezorientująca, toteż oboje poczuli się wręcz fizycznie chorzy. W końcu znaleźli się w świetle sztucznej grawitacji wywołanej ruchem wirowym i łagodnego, lecz ciągle wyczuwalnego przyspieszenia. Wtedy już na pewno wiedzieli, że lecą.

Wydostali się z uprząży ochronnych i – mając obecnie za „podłogę” zakrzywioną powierzchnię cylindra – zaczęli na nowo badać wnętrze wahadłowca. Nie znaleźli niczego interesującego ani pocieszającego. Potem Sine Anura opadła na jeden z piankowych tapczanów i zachęciła swego towarzysza, aby się do niej przyłączył.

– Jak długo będziemy lecieć, Maq?

To zależy, ile powłok mamy przelecieć i jaka jest maksymalna prędkość wewnątrz szprychy. Powszechnie przypuszcza się, że wahadłowiec w polu *exis* nie może zbyt przekroczyć normalnej prędkości egzosferycznej, mógłby jednak osiągnąć szybkość „Shellbacka” lecącego w trybie kosmicznym. W takim tempie potrzebujemy około dwudziestu dni na przemierzenie ziemskiej powłoki i dalszych czterdziestu na przelot przez marsjańską orbitę. Następna powłoka... jedyna, o której mamy pewne informacje... to powłoka asteroidowa, odległa o kolejne siedemdziesiąt dni. Mówimy zatem o czterech miesiącach, podczas których przemieścimy się jedynie przez znane nam regiony Solarii. A któż może wiedzieć, jakie światy znajdują się dalej.

– Cztery miesiące takiego lotu! – Dziewczyna z absolutnie przerażoną miną rozejrzała się wokół po przygnębiająco ubogim wyposażeniu. – Tu jest jak w więzieniu.

– To scenariusz optymistyczny – zauważył Ancor spokojnie. – Jeżeli bowiem Solaria rozciąga się tak daleko, jak sądzę... zaś ten wahadłowiec nie przekroczy szybkości pięćdziesięciu tysięcy mil na godzinę, możemy tu utknąć na całe lata.

– Maq, nie wytrzymam! Mam dość! Chcę wyjść!

– Pewnikiem to samo wykrzykują wszyscy przymusowi emigranci od początku działania programu... Jednakże większość z nich przeżyła, prawda? – Opadł obok niej na tapczan. – Pamiętaj, że mimo iż Zeus już dawno mógł nas uśmiercić, z jakiegoś powodu tego nie uczynił.

Była wdzięczna za słowa otuchy i trochę się uspokoiła. Zamilkli, wsłuchując się w monotony szum maszynerii. Potem zbliżyli się do siebie i zaczęli kochać. Ich namiętność przeciągnęła się na sto tysięcy mil.

Ze szczerym zaskoczeniem dwadzieścia pięć dni później poczuli, że przyspieszeniowy ucisk zaczyna ustępować. Wyraźnie zwalniali. Według obliczeń Ancora znajdowali się nieopodal ziemskiej orbity. Przemierzenie wenusjańskiej powłoki w tak krótkim czasie oznaczało, że wahadłowiec poruszał się dużo szybciej niż wcześniej szacowali. Po ledwie półdniowym łagodnym hamowaniu odkryli, iż maszyna w końcu się zatrzymała, po czym została odholowana do rampy rozładunkowej. Z mieszanymi uczuciami zaczęli się wypinać z siatek ochronnych. Wirowanie stawało się coraz wolniejsze, aż wreszcie cylinder znieruchomiał w pozycji horyzontalnej, dzięki czemu pasażerowie mogli wyjść. Ponieważ nie mieli zielonego pojęcia, jakie powitanie zgotował im Zeus, Ancor przezornie odbezpieczył broń i zajął pozycję najkorzystniejszą do ewentualnej obrony. Wstrzymując oddech, czekali na odblokowanie automatycznego wjazdu.

Rozdział 26

Stacja końcowa

Nic się nie zdarzyło. Rozpłaszczona na ścianie w tyle kadłuba Sine Anura widziała przyczajonego obok włazu niczym tygrys Ancora, gotowego do natychmiastowego działania w razie niebezpieczeństwa. Potem ukradkowo i jak kot podszedł do otwartego włazu, ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. W kilka sekund później podekscytowany zaczął dawać jakieś znaki dziewczynie, która zareagowała trwogą na jego bezładną gestykulację. Z opóźnieniem uświadomiła sobie, że jej towarzysz się uśmiecha.

– Sine, wiesz, gdzie jesteśmy? Do diabła, w życiu bym nie przypuszczał! Dotarliśmy na merkuriańską powłokę. Zeus mimo wszystko dotrzymał obietnicy.

Z powodu stresu spowodowanego podróżą i strasliwymi podejrzeniami, które w pierwszej chwili kompletnie ją sparaliżowały Sine potrzebowała kilku minut, by w pełni zrozumieć sens jego stwierdzenia. W końcu podbiegła do włazu i wyjrzała. Znajdowali się w terminalu wahadłowcowym podobnym do tych, które widywała na powłoce marsjańskiej, lecz znacznie mniejszym. Zresztą, nie sposób się było pomylić, gdyż nad wyświetlaczem w hali przylotów widniał całkiem wyraźny napis: STREFA EMIGRACYJNA MERKURIAŃSKIEJ POWŁOKI: Rejon 27BZ.

– Nic nie rozumiem – mruknęła bezradnie. – Sądziłam, że wahadłowce latają tylko ku zewnątrz. Ten najwyraźniej przebył drogę powrotną... Ku centrum.

– Podejrzewam, że Zeus bezproblemowo potrafi je skierować w dowolną stronę. Po prostu dotąd sądziliśmy, iż trasa na zewnątrz to jedyna możliwa. – Chwilowe uniesienie zniknęło naraz z jego twarzy i Ancor spoważniał. – I stąd wiadomo, że źle się dzieje.

– Źle?

– Jest zbyt, cholera, cicho. Podobnie jak my, oni również nie spodziewali się, że załadowany wahadłowiec może tu przybyć. Zapewne całkowicie nieoczekiwanie trafiliśmy w sam środek ich emigracyjnego terminala. Ciekawe, jak zareagują, gdy zdadzą sobie sprawę z naszej obecności.

– Sądzisz, że czekają nas kłopoty?

– Sine, gdyby taki wahadłowiec wylądował w terminalu marsjańskiej powłoki, zapanowałoby niezłe zamieszanie. Po pierwsze podejrzewano by nas o to, że jesteśmy emigrantami, którym w jakiś sposób udało się uciec. A gdyby ludzie pomyśleli, że odkryliśmy metodę zawrócenia wahadłowca, dzięki czemu potencjalnie mogliby spróbować wrócić do swoich ukochanych, mur w betonie, że zamknęliby nas do paki i starali się wydusić z szczegóły całej operacji.

Nagle rozbrzęczał się alarm nad włazem, co oznaczało, iż wejście za chwilę się zamknie, więc oboje musieli w pośpiechu wyskoczyć na zewnątrz, w przeciwnym razie zostaliby uwięzieni w środku. Prawie natychmiast właz z sykiem uaktywnił próżniowe blokady, zaś gigantyczne pajęczopodobne kończyny, na których spoczywał wahadłowiec, zaczęły się podnosić. W chwilę później maszyna oddaliła się ku pętli startowej, zaś zdezorientowani Maq i Sine znaleźli się w centrum skomplikowanej maszynierii zawiadującej załadunkiem szprychowych wahadłowców.. Aż do tego momentu nikt nie zauważył przybycia pary, jednak odlot niezaplanowanego wahadłowca przyciągnął ciekawskich kontrolerów terminalowych, którzy przyszli sprawdzić, co się dzieje i znaleźli dwoje nieznanym osobom stojących w strefie, w której nie miał prawa przebywać żaden cywil.

Nawet wówczas można było jeszcze zapobiec konfliktowi, lecz jeden z uzbrojonych strażników krzykiem zawiadomił towa-

rzyszy, że ma przed sobą dwój emigrantów, którzy właśnie uciekli z wahadłowca obecnie wznoszącego się pionowo na pętli zasilającej. Za taki czyn groziła automatycznie kara śmierci. Strażnik, chociaż znajdował się dość daleko od przybyłe pary, opadł na jedno kolano i starannie wycelował. Ancor zakładał, że jego przeciwnikiem będzie cybernetyczny kafar, toteż załadował granatnik pociskom kumulacyjnymi i teraz niestety nie miał czasu przeładować. Tak czy owak, wystrzelił. Strażnik znikną w płomieniu eksplozji, zaś kontrolna barierka, przy której kuczał, została prawdopodobnie całkowicie zniszczona.

Wiedząc, że jest już zbyt późno na dyskusje czy wyjaśnienia, Maq dał znak do ucieczki. Jedyna dostępna trasa wiodła między przęsła wahadłowcowej pętli zasilającej. Na tej drodze groziła im niechybna śmierć, ale nie mieli wyboru. W górze znajdowały się gigantyczne tarcze obrotowe, które wyzwalały przedstartowy ruch wirowy. Umieszczone na ruchomych platformach wielkości sporędomu przemieszczały się spiralną trajektorią ku otwartemu końcowi szprychy. Wśród tych gigantycznych metalowych konstrukcji Maq i Sine byli stosunkowo bezpieczni przed trafieniem z dalekim pojedynczym strzałem, jednakże ich przewaga szybko zniknęła. Cały oddział strażników, wezwany z jakiego pobliskiego posterunku, wybiegł na płytę w szyki typowe dla komandosów i zaczął dokładnie przeczesywać teren, zapędzając zabójcę i dziewczynę jeszcze głębiej ku centrum spirali.

Lew, który nastawiał się raczej na obronę niż atak, spostrzegł nagle nowe zagrożenie i przestrzegł Sine, chwytając ją za ramię. Wahadłowiec, pod którym się znaleźli, wznosił się pionowo, obracał na tarcz i równocześnie przesuwiał z hukiem wzdłuż metalowych poręczy spirali ku otwartemu wylotowi szprychy. Kiedy dotarł do niego, odpalił silniki; wielki krąg stopionej n: szkliwa nawierzchni pod dyszami jasno wskazywał, jak gwałtowny będzie

strumień odrzutu i jak daleko si rozszerzy. Jeśli podróżnicy pozostaną pod spiralą, z pewnością zginą. Domysł Maqa potwierdzili strażnicy pospiesznie wycofujący się na bezpieczny dystans, z którego mogli obserwować cały teren, a nie narażali się na śmiertelny strumień gazów.

Ancor błyskawicznie ocenił, że nie mają wyboru. Odwrócił się i zaatakował strażników na najsłabiej chronionym odcinku. Sine podążyła za nim. Kilka starannie skalkulowanych salw ze wspinałej broni Ancora zlikwidowało gniazda oporu. Zdążyli schronić się za jedną z wielkich tarcz obrotowych, zanim potężny huk odlatującego wahadłowca zakołysał całą strefą, a języki rozgrzanego do białości strumienia gazów dosięgły powierzchni, po której biegli zaledwie kilka sekund wcześniej.

Ancor potrząsnął głową, by pozbyć się potu z czoła i podjął natychmiastową decyzję. Postanowił porzucić i tak prowizoryczną kryjówkę i przedrzeć się transportowym pasażem wśród szpaleru ogromnych kontenerów. Krótsza droga w poprzek odsłoniętej hali była nazbyt ryzykowna. Najpierw jednak Maq pozbył się kilku wprawnych snajperów, którzy zdążyli się ulokować na wysokiej balustradzie tuż pod dachem. Kiedy upewnił się, że chwilowo nic im nie grozi, wraz z Sine przemknęli ku pasażowi i ukryli się między kontenerami i wielkimi kartonami. Pozostali przy życiu strażnicy wyraźnie stracili rozeznanie, gdzie zniknęły ich ofiary, bo zaczęli strzelać na oślep.

Maq i Sine bezszelestnie kluczyli wśród pudeł. Aby nie zdradzać swojej pozycji, Ancor nie odpowiadał na ogień prześladowców, choć od czasu do czasu niebezpiecznie blisko podróżników wykwitwały języki eksplodujących pocisków. Zaczęli wierzyć, że ucieczka się powiedzie i że wyjście znajduje się niedaleko przed nimi. Ni stąd, ni zowąd rozległo się przeraźliwe wycie syren i zajęchała im drogę kawalkada opancerzonych pojazdów. Jakby

tego było mało, z obu końców ścieżki toczyło się w ich stronę po sześć cybernetycznych kafarów. Para podróżników utkwiała w potrzasku.

Ancor obserwował je przez chwilę, po czym z rezygnacją wzruszył ramionami. Potrafił pokonać jednego, może dwóch, ale wtedy ujawniłby swoją pozycję pozostałym, a ci z pewnością pozostatkowaliby go na kawałki, zanim zdążyłby po raz trzeci naciśnąć spust. Wraz z przybyciem kafarów strażnicy wycofali się na skraj transportowego pasażu i zastygli w oczekiwaniu na nieuniknioną egzekucję, która powinna nastąpić natychmiast po ujęciu zbiegów. Skulony w cieniu olbrzymiej skrzyni Maq impulsywnie ścisnął rękę Sine i ze smutkiem potrzęsnał wielką głową. Oboje czuli, że za chwilę umrą.

Cybernetyczny kafar zatrzymał się przed skrzynią. Jego receptory powoli się obróciły. Jak gdyby świadomy, że jest o krok od zdobycia *coup de grace*, maszyna wybrała odpowiedni kąt, po czym obróciła wieżyczkę i wypaliła. Ogłuszony trzaskającą serią wybuchów w bliskiej odległości Lew nie mógł uwierzyć, że nadal żyje. Wstał. Towarzyszyły mu absurdalne emocje – na w pół oczekiwał, że za moment rozpadnie się na milion atomów, a równocześnie zastanawiał się, dlaczego nie odczuwa żadnego bólu. Później zaświtało mu w głowie niesamowite podejrzenie i pod wpływem własnego odkrycia aż się zachwiał z wrażenia, po czym ogarnęła go tak olbrzymia, że aż bolesna, ulga. Kafar najpierw oddał pojedynczy strzał, potem całą serię. Pozostałe cybernetyczne maszyny szybko podążyły w jego ślady, wypełniając śmiertelny rytuał, tyle że... Pociski trafiały w strażników! Kafary bezpardonowo ich dziesiątkowały i jedynie nieliczne z ofiar zdążyły w ogóle odpowiedzieć ogniem.

W końcu zapadła grobowa cisza. Pozostali przy życiu strażnicy mądrze wycofali się i chaotyczna strzelanina z odległego

końca terminala zamarła. Wciąż nie dowierzając rozmiarom rzezi, Lew wynurzył się w końcu zza skrzyni i pomógł wyjść drżącej Sine. Oba wyloty pasażu były usłane ciałami. Jedynymi nadal poruszającymi się istotami były nieugięte grasujące maszyny śmierci, które okazały się wyzwolicielami podróżników. Sceneria była makabryczna, zaś bezbożne przymierze maszyn i ludzi wydało się Maqowi wręcz nierealne.

– Zastanawiam się, na co czekają? – spytał. – Mam nadzieję, że... nie na oklaski.

Cztery kafary uformowały się w mały oddział i zatrzymały obok. Ancor uznał je za swoją eskortę. Nie bez lęku wszedł między nie, a następnie przywołał do siebie Sine. Ruszyli. Otoczył ich silny zapach kordytu. W tym osobliwym towarzystwie wrócili do terminalu i przemierzili zdemolowaną halę. Kafary starały się unikać leżących ciał, lecz czasami zmuszone były do przejeżdżania po nich. Maq pomyślał, że na zewnątrz kompleksu na pewno znajdują się jeszcze jacyś strażnicy, lecz żadnego nie dostrzegł. Nie było też nigdzie snajperów i nikt nie strzelał. Terminal wyglądał na całkowicie opuszczony i martwy. Najgłośniejszym dźwiękiem wydawał się warkot silników cybernetycznych kafarów.

Poza terminalem panowała ciemność. Niezwykła kawalkada ludzi i maszyn zjechała po długich rampach. Ostatecznie dotarli na teren, który okazał się lądowiskiem. Przez chwilę poruszali się w mroku między ledwie widocznymi zarysami statków – zdaniem Ancora – zaledwie atmosferycznych i zabójca zaczął snuć domysły w kwestii ostatniego etapu podróży jego i Sine. Odpowiedź pojawiła się niebawem. Na skraju płyty stał statek, który nawet w ciemnościach zdradzał charakterystyczne cechy maszyny egzosferycznej. Kafary zatrzymały się przed nim i czekały, aż Lew otworzy właz i wejdzie. Gdy znalazł konsolę oświetleniową i włączył

światła, wrócił po Sine. W międzyczasie mordercze maszyny zniknęły z pola widzenia, choć Lew był przeświadczony (w czym utwierdził go stłumiony warkot silników), że kafary czają się gdzieś w mroku.

Dziewczyna wyglądała na zmęczoną i była blada. Rzeź, której była świadkiem głęboko nią wstrząsnęła, toteż Maq zaaplikował jej środek uspokajający z podręcznej apteczki, którą nosił przy pasku, po czym posadził na koi i zalecił wypoczynek. Sam również był fizycznie wyczerpany, a jednak jego umysł ciągle pędził z wojenną wściekłością. Aby uspokoić nerwy, Lew dokonał wizytacji statku. Maszyna była dobrze zaopatrzona i całkowicie zautomatyzowana. Zastanowił się, po co Zeusowi taki statek. Niektóre z odkrytych elementów wyposażenia nasunęły mu osobliwe podejrzenia. W końcu Ancor padł na wyściełany tapczanik z zamiarem przestudiowania schematu oprzyrządowania nawigacyjnej konsoli, lecz załapała go potężna fala zmęczenia i wbrew sobie zasnął.

Rozdział 27

Powłoka Merkurego

Obudził go nagły łoskot silników statku. Chociaż na V zewnątrz nadal panował mrok, Maq dostrzegł pędzące pod nimi światła lądowiska. A zatem wystartowali. Uwadze Lwa nie umknęła spora ilość żołnierzy, których przyciągnęło zamieszanie w terminalu szprychowym. Zastanowił się, czy nowo przybyli wiedzieli, iż za masakrę był odpowiedzialny sam Zeus. Może są-

dzili, że mają do czynienia z akcją terrorystyczną uzbrojonej bandy. Wkrótce prawdopodobnie dojdą prawdy... Tak czy owak, Ancor cieszył się, że nie musi tu zostać i odpowiadać na ich pytania.

W fazie wznoszenia trafiło w ich statek kilka pocisków, które na szczęście odbiły się od pancerza. Tego typu maszyny były praktycznie odporne na każdą broń mniejszego kalibru niż pocisk raketowy, a ponieważ wznosili się bardzo szybko, po chwili znaleźli się całkowicie poza zasięgiem broni ręcznej. Maq nadal przyglądał się aparaturze. Znalazł mały komputer, później niewielkie radio dalekiego zasięgu – nie automatyczne, lecz przeznaczone do obsługi ręcznej. Bez zastanowienia ustawił je na zakodowaną częstotliwość „Shellbacka”, zastanawiając się, czy urządzenie ma wystarczająco duży zasięg i moc, by wychwycić sygnał odległy o trzydzieści jeden milionów mil. Potem z ogromną ulgą usłyszał słabe, ale wyraźnie rozpoznawalne pasmo radiowe statku i nadał komunikat:

– Ancor z powierzchni powłoki merkuriańskiej wzywa „Shellbacka”.

Czekał. Sygnał powinien dotrzeć do małego statku po niecałych trzech minutach, czyli odpowiedź mogła najwcześniej nadejść za mniej więcej sześć. Niestety, istniało spore prawdopodobieństwo, że wyłączono automatyczny alarm nasłuchowy i równie dobrze wysłaną przez Maqą wiadomość mógł zarejestrować komputer, który odtworzy ją dopiero wtedy, gdy ktoś z załogi poprosi o raport. Lew wprowadził własną transmisję w tryb automatycznego powtarzania w dwuminutowych odstępach do czasu nawiązania łączności i nastawił odbiornik na pełną głośność. W ten sposób nie przegapi odpowiedzi Cherry’ego, obojętnie po jakim czasie ona nadejdzie.

Rytmicznie powtarzające się wywołanie "Shellbacka" obudziło Sine. Podniosła głowę, wciąż jeszcze lekko oszołomiona po zażyciu środków uspokajających.

– Gdzie jesteście, Maq?

Popatrzył na przyrządy, potem przez iluminator. Gdzieś daleko przed nimi wschodziło nowe ciało świetlne. Horyzont wokół niego rysowały smugi w odcieniu jasnego złota.

– Sądzę, że niedługo osiągniemy prędkość egzosferyczną. Kurs niewiele mi mówi, ponieważ nie mam współrzędnych. Mogę ci tylko powiedzieć, że Zeus dotrzymuje swojej części umowy.

– Szkoda, że nie wiemy, jaki czeka nas los.

– Cóż, znając przyszłość, bylibyśmy faktycznie spokojniejsi, ale trudno oczekiwać po superkomputerze przyjęcia ludzkiej perspektywy. Skłaniając go do rozmowy i tak popisałem się niewiarygodnym zuchwalstwem.

Dziewczyna zaczęła własne oględziny statku i – podobnie jak Ancor – przekonała się o jego doskonałym i wszechstronnym wyposażeniu.

– W każdym razie nie umrzemy z głodu przynajmniej przez rok – mruknęła. – Po co mu taki statek, Maq?

– Nad tym samym się zastanawiałem. Maszyna bezwarunkowo została zaprojektowana dla ludzi. Może na merkuriańskiej powłoce dzieje się coś... choć sam nie bardzo wiem, co takiego... do czego nawet Zeus nadal potrzebuje człowieka.

– Te robocze kombinezony są bardzo dziwne.

– Są chyba czymś więcej niż tylko kombinezonami. Wyglądają mi raczej na skafandry kosmiczne do użytku w skrajnie wysokiej temperaturze. Może właśnie one stanowią wskazówkę w kwestii ostatecznego celu naszej podróży.

– Gdzie twoim zdaniem znajduje się nasza stacja końcowa, Maq?

– Land’a twierdził, że powłoka merkurijska otacza słońce lub jakiś inny obiekt znajdujący się w samym centrum Solarii. Jeśli ta powłoka jest podobna do wszystkich innych (czyli zbudowana wokół kalderoidów), na pewno istnieje droga przez nią. Różnica będzie się natomiast kryła we wnętrzu powłoki. Wiemy, że wielkie ilości energii, którą zużywamy na marsjańskiej powłoce, płyną poprzez szprychy pola *axis* i tak samo jest prawdopodobnie z innymi powłokami. A zatem ta ogromna energia musi pochodzić z wnętrza merkurijskiej...

– Myślisz o reaktorze jądrowym wielkości powłoki?

– Lub czymś o podobnej funkcji. O swego rodzaju elektrowni, która utrzymuje całą Solarię przy życiu.

Robiło się coraz jaśniej, więc mieli coraz lepszy widok na powierzchnię merkurijskiej powłoki i bardzo szybko stało się dla nich jasne, że mają do czynienia z powłoką kompletnie odmienną od poprzednich. Tysiącami mil ciągnęły się tu gigantyczne rury i przewody energetyczne o tak ogromnej średnicy, że były wyraźnie widoczne na dalekosiężnym skanerze. Walcowate obiekty długie na setki mil okazały się podzespołami jakiejś niewyobrażalnych rozmiarów maszynierii o technologii zupełnie niepojętej dla człowieka. Podróżnicy doszli w końcu do wniosku, że merkurijska powłoka jest w całości monstrualnym kombinatem energetycznym.

Dostrzegli jednak również miasta. Niektóre z nich były bardzo duże, a jednak wyglądały jak odizolowane plemienne wioski w sercu wszechobecnej dżungli technologicznej. Ancor poczuł nieprzyjemny dreszcz na myśl o egzystencji w środowisku tak całkowicie zdominowanym przez transformatory wielkości miasta oraz akceleratory transmutacji jądrowej wielkości kontynentu. Człowiek był tu ledwie mikroblem, żyjącym w pobliżu i wokół niesamowicie skomplikowanych, ogromnych maszyn. Fakt ten

uzmysłowił mu – znacznie dobitniej niż wszelkie dotychczasowe doświadczenia – dlaczego Zeus był tak nieugięty i konsekwentnie bezlitosny wobec pozostających pod jego opieką światów i całych populacji. Trzeba poświęcić milion, aby ocalić trylion – zasada ta wynikała z najprościej rozumianego rachunku statystycznego. Największe nawet jednostkowe i zbiorowe ludzkie tragedie wydają się kompletnie nieistotne, kiedy rozpatrzy się je w kontekście nadrzędnej misji zapewnienia przetrwania całemu wszechświatowi.

W siedem godzin później nagle przerwa w nadawaniu cyklicznego komunikatu do „Shellbacka” tchnęła w Maqą nadzieję, że Cherry w końcu postanowił spytać komputer o rejestr transmisji radiowych. Po chwili rzeczywiście dał się słyszeć cichy, choć całkiem wyraźny głos magika:

– Maq? Sine? Sądziliśmy, że nie żyjecie. Tyle czasu minęło.

– Zeus załadował nas do wahadłowca szprychowego, więc nie mogliśmy się wcześniej z wami skontaktować. Teraz lecimy automatycznym statkiem, który kieruje się Bóg wie dokąd. Czy Zeus wymyślił już nową formułę pierwszej dyrektywy?

Odpowiedź przyszła dokładnie po sześciu minutach.

– Nie, codziennie przekazuję twoją prośbę, ale otrzymujemy niezmiennie tę samą suchą informację, że „problem nadal jest w fazie analiz realizowalnych opcji”.

Cholera! Więc nie możemy ruszyć „Shellbacka”. Za duże ryzyko. Trudno, czekamy na pozytywną odpowiedź. Sami też chyba na dobre utknęliśmy na merkuriańskiej powłoce, chyba że po nas przylecisz, choć póki co, takie rozwiązanie nie wchodzi w grę. Jeśli sytuacja się zmieni, natychmiast mnie zawiadom.

Ancor zostawił włączony odbiornik i ponownie zaczął studiować teren pod nimi. Wcale nie żartował, gdy mówił, że tylko „Shellback” może ich zabrać z merkuriańskiej powłoki. Mały sta-

tek stanowił ich jedyną nadzieję. Po rzezi w szprychowym terminalu najprawdopodobniej nie będą w stanie skorzystać powtórnie z tej samej trasy w drodze powrotnej i chociaż ich obecna maszyna nadawała się do lotu egzosferycznego, Maq szczerze wątpił, czy potrafi ona osiągnąć prędkość kosmiczną.

Po dalszych dwóch dniach lotu na horyzoncie zaczął rosnać znajomy już kształt kalderoidowego stożka. Podróżnicy byli pewni, że właśnie tam się kierują. Ponieważ statek leciał wysoko w egzosferze, nie musiał się wznosić nad wielką pochyłość, lecz mógł z góry opaść ku otworowi. Ancora zafrapował fakt, że choć statek leciał prosto w międzyprzestrzeń pod stożkiem, nie doświadczał ani śladu turbulencji, z którą borykał się „Shellback”. W międzyprzestrzeni statek obrał wysoki kurs, toteż lecąc ponad orbitującymi ciałami świetlnymi i mimo iż zredukował egzosferyczną prędkość, nadal zachowywał tempo znacznie większe od tego, w którym pędził „Shellback” podczas eksploracji kalderoidów.

Uwagę Lwa przykuła powierzchnia kalderoidu. Była prawie bezwietrzna, jałowa i niezamieszkała, zdeformowana i pomarszczona chaotycznie rozsianymi szczytami, fałdami i kraterami. Najwyraźniej nigdy nie próbowano terraformowania kalderoidu, wyglądał raczej jak wstawiony w międzyprzestrzeń poręczny „korek” niż coś o poważniejszym przeznaczeniu. Maq pomyślał o nim jako o starym, naturalnym satelicie o proporcjach planety, który skądś zabrano i umieszczono tu jedynie dla szybszego ukończenia powłoki. Nie potrafił wymyślić żadnego konkretnego przeznaczenia dla ciał świetlnych, ale zaczął się zastanawiać, czy aby przypadkiem Zeus nie zamierza pewnego dnia zaludnić tego świata jakimiś zmutowanymi gatunkami.

Po sześciu godzinach szybkiej podróży w międzyprzestrzeni zmiana w pracy silnika sugerowała rozpoczęcie lądowania. Maq

pieczołowicie przestudiował region, ale nie dostrzegł niczego, co tłumaczyłoby wybór przez Zeusa akurat tego konkretnego miejsca. Nagle ujrzał w dole imponującą dolinę utworzoną przez rozległy fałd powierzchni, który po chwili ustąpił stromym, skalistym stokom po każdej stronie. Teren był straszliwie popękany, najwyraźniej ziemia nie wchłaniała opadów, w wyniku czego w dolinie utworzyła się wygładzona niecka, której stoki przybrały kształt nieprzystępnych gładzi poszarpanych licznymi urwiskami. Rozmiar geologicznej formacji w połączeniu z jej niesamowitością przyprawiała o zawrót głowy.

Gdy statek wypadł z międzyprzestrzennej stratosfery, skierował się wprost ku centrum doliny, gdzie zawisł na chwilę, po czym zaczął powoli opadać. Wnosząc z kurzawy, jaka podniosła się pod wpływem podmuchu z dysz silników, powierzchnia była niezwykle krucha, prawdopodobnie podobna do mocno porowatej pianki. Przewidywania Ancora okazały się trafne, bowiem kiedy po wylądowaniu pył w końcu opadł, wokół prowizorycznego lądowiska pokazały się wyraźnie strzępy pianki. Zresztą, ślady jednoznacznie wskazywały, że nie są pierwszymi ludźmi, których Zeus tutaj sprowadził.

Widoczne nad koroną nieregularnych szczytów lokalne ciało świetlne znajdowało się w pozycji wskazującej na późne popołudnie i Lew uznał, że niemądrze byłoby ryzykować opuszczenie statku w tak kiepskim świetle. Zdecydowali się poczekać na wzejście nowego ciała świetlnego, a ponieważ analiza atmosfery wykazała konieczność użycia na zewnątrz skafandrów, w międzyczasie przetestowali je i nauczyli się obsługiwać. Narastało w nich przekonanie, że Zeus z jakiegoś powodu pragnie ich sprowokować do pieszego rekonesansu, nie znali jednakże pożądanego kierunku, zaś centralne usytuowanie lądowania w dolinie bynajmniej nie ułatwiało decyzji. Oba pasma szczytów wyglądały równie in-

teresująco i wydawały się równie trudne do wspinaczki. Właściwie niewiele się od siebie różniły.

Podróżnicy odłożyli wybór do ranka, kiedy będą mieli więcej światła. Choć pasmo radiowe „Shellbacka” było ledwie słyszalne, Maq zdołał się ponownie skontaktować z Cherrym. Dowiedział się, że odpowiedź Zeusa wciąż jeszcze nie nadeszła. Przedłużająca się zwłoka mocno zmartwiła Ancora, ale nie mógł nic na to poradzić. Tymczasem postanowili trochę wypocząć. Sine przytuliła się do Maq i tak zasnęli. Po wschodzie nowego ciała świetlnego czekały ich kluczowe decyzje.

Rozdział 28

Pierwsze słońce

W środku nocy Sine wyplątała się z objęć Lwa i potrząsnęła jego ramieniem.

– Maq, obudź się! Coś dziwnego dzieje się na zewnątrz!

Ancor niechętnie się odwrócił i zagapił w iluminator z widokiem na słabo oświetlony teren.

– Po prostu nadchodzi poranek – odparł sennie.

– Z tamtego kierunku?

Poderwał się z koi jak porażony prądem. Współrzędne wschodzenia i zachodzenia ciał świetlnych można było łatwo przewidzieć. Ostatnie zaszło na jednym końcu doliny, więc następne powinno wejść przy drugim końcu, natomiast teraz światło padało z miejsca, gdzie z pewnością nie powinno być żadnej gwiazdy. Maq zerknął zdezorientowany na zegarek.

– Nie wiemy, jak długo działają tutaj, ale nie ma powodu do paniki...

Ponowne spojrzenie przez iluminator niczego nie wyjaśniło. Nad wyszczerbionymi wierzchołkami na lewo od statku rosła wielka iluminacja, oświetlając postrzępione szczyty z takiego kąta, że rzucały cień na niebo, jakby ciało świetlne wylądowało i emitowało promienie w górę.

To niemożliwe! – ocenił Ancor, lecz jego oświadczenie wydawało się całkowicie zbędne. Rosnąca luna z pewnością nie pochodziła od zwykłego ciała świetlnego. Przede wszystkim blask był znacznie intensywniejszy, o dużo szerszym zakresie czerwonego pasma niż w przypadku zwyczajnej protogwiazdy. Drugi powód był subtelniejszej natury i dotyczył wpływu na psychikę pary podróżników.. Światło pociągało ich niczym płomień świecy ćmę. Oboje ogarnęło osobliwe podniecenie, jakby źródło owej tajemniczej poświaty wysyłało hipnotyczne fluidy. Poczuli irracjonalny przymus, by podążyć za światłem. Odnieśli wrażenie, że przyzywa ich sama natura.

– Sine – odezwał się Ancor – muszę wyjść i zbadać, z czym mamy do czynienia.

– Idę z tobą, Maq.

– Nie musisz. Chociaż w głębi duszy miałem nadzieję, że będziesz mi towarzyszyć.

Założyli bieliznę i skafandry kosmiczne. Były niewygodne i krępowały ruchy, zaś buty okazały się okropnie duże i ciężkie. W końcu jednak w pełnym rynsztunku stanęli obok siebie w służbie powietrznej i czekali niecierpliwie, aż wyrówna się ciśnienie. Potem ujęły się za ręce i niezgrabnie zeskoczyli na dno doliny.

Grunt był miękki i gąbczasty.. Ich ciężkie buciory zostawiały w piankowej powierzchni trwałe odciski. W świetle odbitym od łukowatych zboczy doliny podłoże wydawało się zdecydowanie

mniej popękane niż sądzili po pobieżnej lustracji z iluminatorów statku – z wyjątkiem pobliskiej strefy, gdzie najprawdopodobniej wylądował wcześniej jakiś inny statek. Podróżnicy dostrzegli szereg nieco już zamazanych śladów stóp, pozostawionych przez ich poprzedników na ścieżce prowadzącej ku oświetlonym szczytom.

Sine wpatrzyła się z lękiem w nieziemski blask iluminujący ich trasę.

– Co to może być, Maq? – spytała z wyraźnym strachem.

– Wnosząc z prędkości i czasu naszej podróży uważam, że pokonaliśmy trochę ponad połowę obwodu kalderoidu. Z tego szczytu powinniśmy zobaczyć pierwsze słońce. Zapewne właśnie jego poblask widzimy. Obawiam się tego słońca.

– Dlaczego? Jeśli Land’a miał rację, właśnie jemu zawdzięczamy początek życia na świecie, na którym wszystko się zaczęło... z którego wszyscy pochodzimy. To światło pośrednio stworzyło ludzką rasę i z pomocą Zeusa pozwoliło nam do dziś zwiększyć liczbę ludności do niepoliczalnych milionów.

– I ten fakt cię nie przeraża?

– Oczywiście, że przeraża. Przed nami znajduje się źródło wszelkiego życia. Lecz wierz mi, nie ma w tym niczego mistycznego. Fascynujące zaś jest to, że te same promienie ogrzewały wszystkie żywe organizmy, od najprymitywniejszych jednokomórkowców w praoceanach po najdoskonalsze wytwory ewolucji. Wszystkie co do jednego gatunki roślin i zwierząt rozwijały pod wpływem jego promieniowania. Także i my czerpaliśmy ze Słońca energię niezbędną do wspinania się po szczeblach ewolucji, aż wreszcie staliśmy się istotami myślącymi. Nie jest ono wszakże Bogiem, ale czymś w rodzaju naturalnego reaktora jądrowego, którego fizyka jest równie zrozumiała jak cykl narodzin i śmierci każdego sztucznego ciała świetlnego.

– Jesteś tego pewny, Maq?

– Ze stanowiska zdroworozsądkowego – absolutnie, z perspektywy emocjonalnej już trochę mniej. Intuicyjnie wyczuwam, że znajdujemy się oto w pobliżu jednej z sił, które doprowadziły do aktu Stworzenia.

Ich stopy zapadały się ciężko w kruchej powierzchni, toteż marszruta przez dolinę była długa. A jednak wędrówka ich nie męczyła. Wręcz na odwrót – z każdym kolejnym krokiem przybywało im energii. Rosło też ich podniecenie. Im wyżej się wspinali, tym jaśniejszy stawał się złoty blask, chociaż światło pozostawało rozproszone i odbite. Wiedzieli, że jeśli pragną zobaczyć samo Słońce, muszą wejść jeszcze wyżej.

Na skraju doliny równy teren skończył się i teraz napotykali głązy, występy górskie i mroczne, niebezpieczne przepaście skryte w posepnych cieniach. Pewną wskazówkę stanowiły dla nich głębokie ślady ich poprzedników, którzy wydeptali im ścieżkę, ale zanim wybrali bezpieczną drogę ku niebotycznym szczytom, spenetrowali też liczne dziwne pochyłości. Czas mijał, lecz lokalne ciało świetlne, które ułatwiłoby im wspinaczkę, uparcie nie wschodziło, toteż Ancor przypuszczał, że mają do czynienia z gwiazdą długookresową o trzydziestosześciogodzinnym cyklu. Wbrew sobie ucieszył się z tego faktu, ponieważ mimo utrudnienia w rozpoznaniu bezpiecznej trasy nie życzył sobie żadnego światła, które mogłoby umniejszyć blask wielkiej iluminacji, ku której zmierzali.

Potem, nagle, na jakimś fantastycznym występie skalnym, podróżnicy spojrzeli w rozpadlinę między dwoma potężnymi szczytami. Widok był tak niesamowity i zapierający dech w piersiach, że żadne z nich nie było w stanie się odezwać. Ponad konturami nieregularnie wyszczerbionych wierzchołków prawie połowę ich pola widzenia zajmowała ogromna kula złocistej jasności – tak intensywnej, że fotoreaktywne hełmy skafandrów automatycznie

wyregulowały zaciemnienie, by chronić ich oczy. A jednak nawet przez neutralną szarość filtrów widok był absolutnie wspaniały, wręcz porażający, toteż Sine i Lew poczuli się nagle w jego obliczu bardzo mali i ogromnie przestraszeni. Blask Słońca nie ograniczał się do samego światła. Mimo odległości trzydziestu sześciu milionów mil kolosalna emisja energii ogrzewała światłem skalne powierzchnie do temperatury (odnotowanej na wyświetlaczach hełmów) ponad czterystu stopni Celsjusza. Jedynie dzięki specjalnym skafandrom wyposażonym w warstwy ochronne i system chłodzenia męzczyzna i dziewczyna natychmiast nie wyparowali.

To była godzina magii i cudów, podczas której Sine i Maq stali w bezruchu i zadziwieni wpatrywali się w niebiańskie palenisko, rozmyślając nad tym, że wspomogło ono powstanie życia i że jego niestrudzone promienie dawały energię do wszelkiego istnienia. Wrócili zatem nie tylko do źródła człowieka, lecz także do źródła i przyczyny każdej żywej istoty w Solarii.

Legenda jednego świata i jego Słońca przeobraziła się z fikcji w rzeczywistość... Lew i jego towarzyszka mieli przed sobą wspaniały dowód. Każdy niedowiarek stojący na ich miejscu uwierzyłby bez zastrzeżeń w jej prawdziwość.

Niestety, nie mogli tu stać wiecznie. Wytrzymałość skafandrów była ograniczona i wobec tak wielkiej dawki promieniowania zaczęły się pojawiać alarmujące komunikaty na wyświetlaczach hełmów. Ancor zaprowadził Sine w przejściowy cień, po czym rzucili ostatnie, pełne żalu spojrzenie, odwrócili się i zaczęli schodzić ku bolesnej ciemności panującej w dolinie i ku statkowi. Na skalnym występie prawie nie rozmawiali i nawet teraz podczas drogi powrotnej przez coraz gęstszy mrok nie mieli ochoty wyrazić głośno uczuć, które ich ogarnęły, jakby bali się zepsuć czar chwili. W trakcie swojej niezwykłej podróży spotkali Zeusa, który zbudował Solarię, lecz Zeus okazał się jedynie artefaktem prze-

szłości, wytworem intelektu człowieka. Teraz ujrzeli na własne oczy prawdziwy cud natury, który powołał do życia ludzkość i nie potrafili znaleźć słów, które choćby w przybliżeniu mogły oddać ich przeżycia.

W końcu dotarli do statku i z ulgą zrzucili skafandry, dzięki którym przetrwali. Nowe ciało świetlne ciągle jeszcze nie wzeszło, więc – wyczerpani – legli na łóżku. Nie mieli ochoty na miłość. Leżeli w milczeniu i rozpamiętywali zdarzenia ostatnich godzin. Ancor studiował na suficie grę rozproszonego światła słonecznego z iluminatora. Poorana zmarszczkami lwia twarz mężczyzny wyrażała ogromną zadumę. Sine wtuliła się w jego bok i obserwowała z tkliwością, domyślając się jedynie nielicznych z wielkich pytań, które przetaczały się przez umysł jej towarzysza.

Maq zauważył, że dziewczyna nadal nie śpi i nieoczekiwanie zaczął się zwierzać z własnych przemyśleń. Nie oczekiwał, że Sine pomoże rozwikłać trapiące go dylematy, po prostu czuł potrzebę podzielenia się z nią nieznośnym ciężarem.

– Jesteśmy w centrum Solarii, moja droga. Mamy przed sobą pierwsze Słońce, czyli gwiazdę, która...

Zresztą, nazwij to ciało, jak chcesz. Ale... Czy jest ono niepowtarzalne? A może jest takich jak ono więcej? Jeśli jest ich więcej, ile i jak są daleko? I jak możemy je znaleźć?

– Pewnego dnia się dowiemy – odparła pocieszającym tonem.

– A Solaria... Wiem, że nie jest nieskończona. Nie może być... Jak wielka zatem jest? Kiedy dotrzemy do jej krańców, co znajdziemy za nimi? Czy będą tam inne słońca i inne wszechświaty? Inni ludzie? Boże! Czuję się jak ślepiec, który nagle odkrył, że poza jego pokojem istnieje wiele nieznanych pomieszczeń, poza jego budynkiem inne budowle, poza jego miastem niezbadane miasta, poza jego narodem inne narody, a także uczucia dotąd na-

wet nie podejrzewane... Pomóż mi, Sine, ponieważ ten ślepiec we mnie ponad wszystko chce widzieć.

– Pomogę ci, Maqu. Myślę jednak, że twoich oczu nie dotknęła ślepotą, a tylko chwilowe porażenie. Obrazowo mówiąc, oślepiły cię własne odkrycia. Pamiętaj jednak, że między zachodem jednego ciała świetlnego a wschodem drugiego nastaje okres odprężenia i spokoju...

Lew odwrócił wielką głowę na poduszce i jego zwierzęcy profil zatracił się nagle w cieniu. Jej zwinne palce dotknęły zmarszczek i zaczęły je uspokajająco gładzić. Niebawem mężczyzna zapadł w sen.

Sine leżała w bezruchu. Poświata słoneczna stopniowo bladeła. Dziewczyna odniosła wrażenie, że niezwykle efekt świetlny wynika z ukształtowania kalderoidu i stożka międzyprzestrzeni. Powoli wróciła ciemność. Nowe ciało świetlne wciąż jeszcze nie weszło. Chociaż... Sine wpatrzyła się intensywniej w iluminator i wysoko w międzyprzestrzeni dostrzegła smugę jasnego złota. Promienie prawdopodobnie uderzały w ściany wejścia do kalderoidu, co dawało owe refleksy w międzyprzestrzeni. Fakt ten symbolizował dla Sine potęgę Słońca, które docierało do wszelkich przejawów życia, przenikało nawet do uwięzionego w sferycznej pułapce kalderoidu. Ta ostatnia myśl przyniosła ukojenie. Życiodajne słoneczne promienie, w których wygrzewa się cały realny świat... Nagle wszystkie luźne nitki tajemnic i zagadek życia spłótły się w harmonijną całość w złotym motku. Sine pomyślała, że z miejsca, w którym leży, może zobaczyć zarówno początek, jak i koniec.

Nowe ciało świetlne weszło jeszcze później niż Ancor się spodziewał, więc doszedł w końcu do wniosku, że prawdopodobnie jedną z protogwiazd rozmyślnie usunięto z układu, aby nie zakłócała krótkiego, lecz jakże imponującego widoku Słońca. Je-

śli tak, „architekt” działał na doprawdy bajeczną, wręcz niewyobrażalną skalę...

Kiedy zrobiło się zupełnie jasno, ponownie założyli kosmiczne skafandry i wrócili na wysoki występ. Chcieli sprawdzić, czy Słońce wciąż jest widoczne. Sceneria okazała się praktycznie identyczna – wyszczerbione szczyty ciągnęły się szeroko przed nimi – jednakże po \ wielkiej słonecznej kuli nie został nawet najmniejszy ślad, wokół podróżników zaś panowała taka beznadziejność i pustka, że poprzedni widok wydawał się snem.

W końcu wrócili na statek, akurat na czas, by odebrać zaniżający przekaz z „Shellbacka”. Głos Cherry’ego był ledwie słyszalny i praktycznie niczego nie zrozumieli. Poza jednym: ich pilot panicznie coś wykrzykiwał.

Rozdział 29

Bitwa o stożek

– Co powiedział? – spytał Tez.

Cherry odwrócił się od radia. W oczach miał najszczerze przerażenie.

– Nic, cholera. Sądzę, że jest na statku, ale nie słyszę go.

Wszyscy troje popatrzyli na ekran komputerowy, na którym w końcu pojawiła się jasna odpowiedź Zeusa na ich ostatnie rutynowe pytanie:

Wszystkie czynniki dotyczące waszej propozycji zmodyfikowania pierwszej dyrektywy zostały starannie rozważone. Ideę odrzuciłem, głównie dlatego, że nie uzyskałem dostatecznego dowodu zasadności waszej groźby. Podsumowując, druga dyrektywa będzie nadal utrzymywać w mocy pierwszą w jej obecnej formie.

– No to pięknie. I co teraz zrobimy? – spytał Tez. Dostrzegalny przez iluminator widok groźnych manipulatorów pilnujących ich stale kosmicznych gigamątw wielce go kłopotał. – Gdyby Maq był z nami, wiedziałby, jak postąpić.

– Ale go tutaj nie ma – ucięła ostro Carla. – I jeśli dobrze zrozumiałam, nijak tu nie dotrze, no chyba że polecimy po niego. Czyżbyście obaj, pierwszorzędni idioci, przeoczyli sedno tej wiadomości? Przecież Zeus odkrył bluff Maqa... A bluff stanowił jedyną przyczynę, dla której ten nadęty konstruktor nieużytków nie wysadził nas jeszcze w powietrze. Jak zatem zamierzacie rozwiązać impas?

– Próbuję ponownie wywołać Maqa przez radio – rzucił nieszczęśliwym tonem iluzjonista.

– Próbowałeś już siedemnaście razy. Cherry, odkąd to osiemnastka jest twoją szczęśliwą liczbą, ty tchórzliwy stary oszuście? Jak znam Maqa, na pewno ma kilka asów w rękawie, ponieważ nie należy do ludzi, którzy lekkomyślnie wystawiają się na niebezpieczeństwo. Co zrobiłby na naszym miejscu?

– Hm, zostawił nam pewne instrukcje – przypomniał sobie Tez. – Kazał mi pomontować sceny bitewne ze starych hologramów. Wiecie, tych z zastosowaniem broni o dużej sile rażenia.

– Znosiłam je zbyt wiele razy, abym mogła tak po prostu zapomnieć. A zatem... Na co one Ancorowi, Cherry?

– Przypomnij sobie, jak jeszcze w cyrku ktoś zrzucił bezzałogowy, zdalnie sterowany samolot na moją holosymulację katastrofy statku towarowego. No cóż, Maq miał identyczny pomysł na zmylenie Zeusa. Nie posiadamy wprawdzie głowicy dyfrakcyjnej, mamy jednakże mnóstwo filmów. Ancor uważał, że gdy dojdzie do ostatecznej rozgrywki, będziemy mogli przynajmniej zamarkować zdetonowanie głowicy dyfrakcyjnej na siatce *exis*. Sta-

nowilibyśmy w ten sposób bezpośrednio zagrożenie wobec pierwszej dyrektywy, które unieważniłoby równocześnie drugą.

– Nie rozumiem, jak miałyby się to udać – zauważyła Carla z nachmurzoną miną, zerkając na monstrualny kadłub warującej nieopodal ich statku kosmicznej gigamątwy. – Te potwory raczej nie polegają na odczycie optycznym. Używają radaru i innych urządzeń.

– Maq wziął ten fakt pod uwagę. Nie odpalimy głowicy dyfrakcyjnej, ponieważ jej nie mamy. Ale naprawdę coś odpalimy... Prawie każda głowica byłaby dobra. Po prostu sprawimy, że będzie wyglądała jak dyfrakcyjna. Ancor sądził, że po pierwszej salwie Zeus nie będzie dalej ryzykował. Nasz pocisk prawdopodobnie nie uszkodzi poważniej siatki, ale powinien zmusić Zeusa do powtórnego namysłu. Nasz drogi superkomputer musi przecież za wszelką cenę zapewnić wykonalność pierwszej dyrektywy, a zostanie ona mocno zagrożona, jeśli sensory wskażą mu, że otwór do kalderoidu może się w każdej chwili zawalić.

– Czemu więc, cholerni kretyni, siedzicie jeszcze na tyłkach i gadacie? Bierzcie się za przygotowanie tego przedstawienia. A może boicie się, że nie potraficie już zaprojektować przyzwoitego holopokazu? Chryste! Harry Castor machnąłby go we śnie!

– Harry Castor wszystko robił we śnie – odparł nadąsanym tonem Cherry. – Co mówisz, Tez? Czy podołamy tej próbie? Ja przy uzbrojeniu, ty przy projektorach?

– Skoro Zeus nazwał groźbę Maqa blefem, nie mamy nic do stracenia. Ale to ty będziesz obsługiwał projektory, Cherry, ja zaś zasiądę przy broni. Ponieważ często przesiadywałem na warcie w zbrojowni, gdzie zabijałem nudę czytaniem instrukcji.

– Jakich instrukcji? – spytał głupekowo Cherry.

– Widzę, że się ze mną zgadzasz – roześmiał się Tez.

Obliczenia i synchronizacja pocisku z filmem zabrały sporo czasu, ale krytyczna ocena Carli co do ich możliwości przynajmniej podwoiła wydajność pracy i w niecałe dwie godziny układ był kompletny. Główną komplikację stanowiła umiejętność gigamąt w przechwytywaniu szybko poruszających się w przestrzeni obiektów. Podróżnicy brali pod uwagę, że przynajmniej niektóre z ich prób zostaną przedwcześnie przerwane.

Sprawa wyglądała następująco: jeśli głowice o wyglądzie dyfrakcyjnych wytworzą jedynie zwyczajną reakcję jądrową (kiedy zostaną przechwycone przez gigamąty), Zeus nadal nie otrzyma przekonującego dowodu na posiadanie przez podróżników pocisków dyfrakcyjnych. Aby cała sztuczka się powiodła ustalili więc, że pierwsze pociski powinny wyglądać jedynie na nieco większe niż były w rzeczywistości i wizualnie nie przypominać głowic dyfrakcyjnych. Dopiero kiedy Cherry będzie miał pewność, że pocisk doleci do siatki, uaktywni hologram dyfrakcyjny. Na ten szczególny moment Tez zarezerwował wyznaczoną wcześniej specjalną głowicę o największej sile rażenia.

W końcu wszystko było przygotowane. Pozostawało jedynie podjąć decyzję i zaatakować. Świadomość potężnego potencjału pilnującej ich eskadry gigamąt wyzwoliła w obu mężczyznach prawdziwy strach. Z przerażeniem wyobrażali sobie, czym się skończy niepowodzenie planowanej operacji. Wprawdzie nie mieli najmniejszej ochoty na konfrontację z tymi kosmicznymi łapaczami asteroid, lecz Carla – rozgniewana i pełna pogardy – stale mobilizowała ich do działania. Gdy tylko nachodziła ich myśl o dezercji, wystarczył rzut oka na jej sceptyczną minę i... dochodzili do wniosku, że istnieje los gorszy niż śmierć – wściekłość Carli.

Gdy Tez wystrzelił pierwszą głowicę, obaj poczuli niemal ulgę. Wywołany na hasło Cherry'ego filmik pojawił się prawie w tym samym momencie, niestety szybko zniknął z powodu nieco

błędnej oceny rzeczywistej prędkości pocisku balistycznego. Do czasu dokonania korekty kursu jedna z gigamątów przechwyciła pocisk z szybkością i dokładnością daleko większą niż uważali za możliwe. Kiedy Tez postanowił zdetonować pocisk, gigamątwą trzymała go już w swych stalowych kleszczach.

Na ekranie komputerowym natychmiast pojawiła się nowa wiadomość:

Pole pi-inwersji pozostało nietknięte przez eksplozję jądrową, a zatem istnienie głowicy dyfrakcyjnej wciąż pozostaje niepotwierdzone.

Carla zmarszczyła brwi i jednym palcem wystukała odpowiedź:

To był jedynie test. Niczego jeszcze nie widziałeś.

Głowica jądrowa wywarła jednak pewien skutek. Chociaż nie zniszczyła gigamątwy, uszkodziła ją na tyle, że maszyna utraciła kontrolę nad chwytakami i musiała ustąpić pola swoim kosmicznym towarzyszom.

Wtedy Tez wysłał równocześnie trzy pociski. Dwa z nich zostały przechwycone i wybuchły; ich blask wypełnił na moment ekrany „Shellbacka”. Trzeci jednakże prześlizgnął się między gigamątwami i eksplodował na powierzchni samego stożka. Tak jak Zeus przewidział, pole *exis* pozostało nietknięte, zaś całe promieniowanie i fala uderzeniowa zostały odbite z powrotem w przestrzeń, ale troje pasażerów małego statku zyskało słabą nadzieję na zwycięstwo, udowodnili bowiem, że maszyny Zeusa nie są tak całkowicie niezawodne, jak sądził ich twórca.

Z siedmiu dalszych głowic pięć zmusiło do wycofania się maszyny przechwytyjące, a dwie ostatnie zużyły swoją energię na przełamanie ochronnego pola, które zabezpieczało otwór i siatkę *exis*. Kiedy nowe gigamątwy dokonywały manewru zamiany pozycji z uszkodzonymi przez wybuchy, Cherry dostrzegł niepowta-

rzalną szansę. Dał znak Tezowi, że następny pocisk „zapakuje” w dyfrakcyjny hologram. Kości zostały rzucone.

Dzięki Bogu i przypadkowi synchronizacja filmiku i głowicy okazała się idealna. Nawet sama załoga „Shellbacka” zamarła z wrażenia na widok głowicy dyfrakcyjnej pędzącej wprost ku stożkowi. Kosmiczna gigamąta podleciała desperacko ku pociskowi, ponieważ jednak kompletnie źle obliczyła jego faktyczny rozmiar, chybiła. Przez chwilę cielsko gigamąty przesłaniało ekran, tak że podróżnicy zwątpili już w powodzenie operacji, na szczęście niebawem pocisk znów się pojawił – niczym strzała gnał ku pokrytemu siatką pola *axis* stożkowi kalderoidu.

Wszyscy troje wstrzymali oddechy i czekali z nadzieją w sercach. Jak zahipnotyzowana, Carla usiadła przed komputerem i gryzła róg chusteczki do nosa. Usilnie pragnęła, by widok na ekranie się zmienił. Przez długą chwilę ostatnia wiadomość od Zeusa wisiała, po czym niespodziewanie zamigotała i zniknęła. Balistyczny pocisk kontynuował niszczycielską misję, zaś Cherry – z większą troską i uwagą niż kiedykolwiek wcześniej – poprawiał i pieścił swój holowizerunek, starając się utrzymać idealną synchronizację z torem lotu. Potem, zaledwie kilka sekund przez uderzeniem pocisku, ekran komputerowy nagle się ożywił:

Groźba została potwierdzona. Jest rzeczywista. Przerwijcie atak. Skoryguję teraz pierwszą dyrektywę.

Tez zdezaktywował głowicę, prawdopodobnie zaledwie na jardy przed uderzeniem, zaś Cherry zaczekał, aż holoobraz dotrze do stożka i dopiero wtedy go wyłączył. Ciągłe nie był przekonany, czy naprawdę zwyciężyli, a ponieważ nawykł w trakcie swojej kariery do typowych dla ludzi szachrajstw i fałszu, obawiał się, że w każdej chwili ekran może zapłonąć stanowiącymi dla nich wyrok oskarżeniami w rodzaju: „KŁAMCA!”, „OSZUSTWO!”, „KONIEC Z WAMI!”. Nie zauważył pewnego subtelnego niuan-

su, zawierającego się w kontaminacji syntaksy z semantyką. Wszak Zeus obwieścił już akceptację realności zagrożenia oraz (poprzez użycie słowa „skorygować” w czasie przyszłym dokonanym), że poprawienie pierwszej dyrektywy jest imperatywem, a zatem z pewnością zostanie wykonane. Cherry jednak wciąż był przygotowany na najgorsze, kiedy ekran znowu się zmienił. Pojawiło się nań jedno jedyne pytanie:

Kiedy?

Też jako pierwszy zauważył zmianę na zewnątrz. Na początku powoli, później coraz szybciej wielkie kosmiczne gigamątwy, które dotąd pełniły wokół nich straż, odleciały, po czym przegrupowały się i zniknęły w otworze prowadzącym do kalderoidu. Pewnie zostały wysłane do innych zadań daleko w przestrzeni Hermesa. W końcu wycofano ostatnią z gigamątw towarzyszących „Shellbackowi” od początku. Nagle podróżnicy stali się całkowicie wolni i mogli lecieć, dokąd sobie żywnie zyczyli.

Stali w obserwatorium i śledzili odlot wielkiej floty. Ciągłe nie w pełni pojmowali prawdziwą naturę bitwy, którą wygrali oraz zawrotny ciężar odpowiedzialności, jaka właśnie powróciła na barki istot ludzkich. Przeprogramowanie pierwszej dyrektywy nie przyczyni się w żaden sposób do rozwiązania mającego przed nimi kryzysu populacyjnego, który zmieni się w tragedię, gdy nie będzie można dłużej rozszerzać wszechświata Solarii. Właściwie, osiągnęli jedynie pewność, że Zeus będzie kontynuował wszystkie swoje rutynowe funkcje. Nic i nikt nie potrafił jeszcze odpowiedzieć na przerażające pytanie: „Dokąd polecą wtedy nasi emigranci?”

Być może odpowiedź nie istniała, może była niemożliwa... A zatem każda decyzja była przerażająca... Kiedy na powłokach i światach dojdzie do strasznego przeludnienia, równowagę przywrócić może tylko ujemny przyrost naturalny, czyli przewaga

śmierci nad narodzinami. Albo można ekspediować nic nie podejrzewających emigrantów na nieprzystosowane dla człowieka pustynie, leżące poza znanymi rejonami Solarii, czyli poświęcić miliony dla dobra trylionów. Czy istniały jakieś inne miejsca, które można było zaludnić? Tak, pod warunkiem jednak, że zaakceptuje się Zeusowe praktyki manipulacji ludzkimi genami. Istniała też inna alternatywa – stworzenia nowej Solarii, kompletnego wszechświata z własnym wewnętrznym słońcem.

Też i Cherry jednakże wcale nie myśleli o podobnych problemach. Obaj czuli jedynie ogromną ulgę związaną z ich osobistym uwolnieniem. Pozostałe kwestie przetaczały się natomiast w umyśle Maqa Ancora, który – udręczony – w ramionach Sine Anury wił się w sennym koszmarze.

Cherry ponownie spróbował się z nimi połączyć przez radio, niestety bezskutecznie. Ale cóż tam, przecież poleci im na ratunek! Był przekonany, że Lew i jego towarzyszką znajdują się gdzieś na powłoce Merkurego (albo wewnątrz niej) i miał pewność, że w miarę zmniejszania się dzielącego oba statki dystansu łączność radiowa znacznie się poprawi. Iluzjonista ustalił więc współrzędne dla przejścia przez przestrzeń Hermesa i odważnie zawrócił „Shellbacka” ku centrum Solarii.

Rozdział 30

W wyższych sferach

– I co teraz zrobimy? – spytała Sine Anura.

Ancor wzruszył ramionami. Porzucił pomysł przejęcia kontroli nad statkiem jeszcze w trakcie lotu, po wielu bezowocnych

próbach. Zresztą, gdyby nawet uzyskał dostęp do właściwych obwodów, i tak nie potrafiłby połączyć ich w odpowiedni układ, który pozwoliłby mu na pilotowanie maszyną. Poza tym, byli desperacko uzależnieni od systemu podtrzymania życia, więc nie ośmielał się robić nawet najprostszych eksperymentów.

Jako że dostarczono ich tutaj wyłącznie w celu ujrzenia Słońca, oczekiwali, że za niedługi czas Zeus ich stąd zabierze. Rozważając, którędy będą wracać do „Shellbacka”, Ancor zdał sobie sprawę ze swojego błędu. Zgodził się przecież wstrzymać groźbę wobec Zeusa pod warunkiem, że on i Sine zobaczą Słońce. Tyle że... Zapomniał niestety zastrzec w umowie, że pragną wrócić! Ich własne ocalenie nigdy nie było kwestią transakcji.

Znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Nie wiedzieli, czy Zeus uważa ich powrót do „Shellbacka” za część umowy – w takim przypadku pewnie zabierze ich z powrotem przez terminal szprychowy, co już raz zakończyło się rzezią, której powtórki nie mieli ochoty oglądać – czy też raczej pozostawi ich na tym statku, rozkoszując się ich strachem. Tylko Cherry i „Shellback” dawali realną perspektywę przeżycia tej wyprawy. Niestety (zgodnie z ostatnimi informacjami) ich ekspedycyjny statek otaczały kosmiczne gigamąty i był uwięziony przez Zeusa do czasu, aż ten komputerowy mega mózg wykoncypuje pozytywną odpowiedź.

Trzy razy światło słoneczne wspinało się poza szczyty, w cyklu mniej więcej siedmiodniowym, i trzy razy Ancor i Sine – z żalem – obserwowali jego wędrówkę przez iluminatory, nie ośmielili się bowiem na kolejne wyjście. W międzyczasie Maq spędzał długie godziny przy radiu. Nie był w stanie zrozumieć, dlaczego odbiór jest tak kiepski. Przecież gdy wylądowali, odbył całkiem zrozumiałą rozmowę z Cherrym. Bardzo starannie sprawdził agregat zasilający, jednak nie znalazł żadnych usterek. W dodatku doskonale wiedział, że przekaźniki „Shellbacka” są automa-

tycznie regulowane w celu osiągnięcia maksymalnej wydajności. Musiało zatem chodzić o coś innego. Nie sposób było nawiązać stałej łączności – w najlepszym razie słychać było urywane trzaski i oderwane sylaby – i Lew zaczął mieć poważne wątpliwości co do tego, czy sytuacja kiedykolwiek się poprawi.

Druga rzecz, która go zastanowiła, to ów siedmiodniowy cykl, w którym mogli oglądać Słońce. Maą początkowo nie potrafili rozwiązać tej zagadki, na pewno bowiem nie mieli do czynienia z prostą konsekwencją częstotliwości obrotowej kalderoidu. Musiał przeprowadzić szereg symulacji komputerowych, zanim zaczął rozumieć ciekawą podwójną harmonię drugorzędnych aspektów ruchu kalderoidowego świata.

W pewnej chwili aż podskoczył i zaczął przeklinać własną głupotę, zdał sobie bowiem sprawę, że rozwiązując zagadkę siedmiodniowego cyklu Słońca, prawdopodobnie znalazł wytłumaczenie problemów z łącznością. Siódmego dnia z przyzwyczajenia stanęli przy iluminatorach i obserwowali zajście ciała świetlnego, później Słońce zaczęło wschodzić za skałą... Był to prawdopodobnie jedyny okres, w którym sygnał radiowy mógłby się przebić, wykorzystując maleńką szczelinę między kalderoidem a stożkiem. Od czasu tego odkrycia czekali dwa dni, zanim mogli sprawdzić swoje domysły, ale w tych okolicznościach nawet niewielka i odległa nadzieja była daleko lepsza niż jej całkowity brak, toteż obojgu podróżnikom znacznie poprawiły się humory. Z niecierpliwością czekali na odpowiedni moment, zaś Ancor cierpliwie sprawdził ponownie wszystkie obwody radia, których niezawodność mogła przesądzić o powodzeniu w nawiązaniu kontaktu. Wysiłek w pełni się opłacił, ponieważ w niecałą minutę po obliczonym czasie przez szum nastawionego bardzo głośno odbiornika przebił się sygnał „Shellbacka”.

– Ancor wzywa „Shellback”, Ancor wzywa „Shellback”!
Słyszycie mnie?

– Czy cię słyszymy? – Cherry odpowiedział tonem równocześnie zadowolonym, jak i rozbawionym. – Maq, jeśli krzykniesz jeszcze trochę głośniej, usłyszymy cię nawet bez radia.

– Słuchaj, Cherry, mam niewiele czasu. To okienko transmisyjne za chwilę się zamknie. Musimy w jakiś sposób dogadać się z Zeusem...

– Trochę na to za późno, Maq. Już się dogadaliśmy. Ja, Cherry przynoszę wam...

– Chcesz powiedzieć, że się zgodził?

– Dokładnie. Nie powinienem się tym chlępić tak jawnie, ale stworzyłem istne arcydzieło holoiluzji. Szkoda, że go nie widziałeś.

– Zdumiewające! Nadal jednak muszę się streszczać, bo „okno” niebawem się zamknie.

Tkwimy w więzieniu! Musisz nas stąd zabrać. Ile twoim zdaniem zabierze wam przylot tutaj?

– Phi, tyle co nic! Nastaw samowar, to zdążymy w sam raz na herbatkę.

– Chyba żartujesz! Gdzie, do diabła, jesteś?

-Właśnie przelatuję przez stożek twojego kalderoidu,

Maq. Nie dałeś nam zbyt wielu wskazówek, lecz na podstawie sporadycznych strzępków sygnału komputer zdołał ustalić kurs.

Dzięki za to Bogu, Cherry! W podzięce wyświadczymy ci przysługę. Będiesz mógł sobie zrobić holo z prawdziwego solaryjskiego Słońca. Tylko pomyśl, jak zareaguje na taki pokaz Harry Castor!

* * *

Loża honorowa w auli senatu Federacyjnej Rady Marsjańskiej Powłoki po raz pierwszy od czasu swego powstania zanotowała stuprocentową frekwencję. Kiedy Cherry zszedł z prowizorycznego podium i kurtuazyjnie wskazał na Teza i Carlę w kabinie projekcyjnej, otrzymał owację na stojąco, od której dosłownie zdrzął dach ogromnej sali. Wiwaty trwały przez pełny kwadrans. Nawet Ancor, który przecież osobiście widział większość scen nagranych podczas misji poszukiwania Słońca i równie awanturniczej podróży powrotnej, nazwał pokaz iluzjonisty wspaniałym.

Kiedy okrzyki i oklaski w końcu umilkły, na trybunę weszła ponownie prezydent Laylor. Mimo powszechnego entuzjazmu dla tej nadzwyczajnej sesji, twarz miała nadzwyczaj poważną.

– Zabójco Ancor! – zawołała uroczyście.

– Tutaj, pani prezydent! – odezwał się Maq i wstał ze swego miejsca obok Land’y.

– Zabójco Ancor, wysłuchałeś już rezultatów obrad arcysenatu. Zważywszy na dowody, które przedłożyłeś temu gremium i innym, jednomyślnie wyrażamy zgodę na twoją prośbę zebrania najgenialniejszych umysłów i zachęcenia ich, by poświęcili się zadaniu przeprogramowania pierwszej dyrektywy Zeusa. Poza tym, zarówno władze i obywatele Federacji, jak i ludzie z zewnątrz, zobowiązali mnie do przekazania wam wyrazów wdzięczności i podziwu. W swoim i ich imieniu dziękuję wam wszystkim, którzy przedsięwzięliście tę ważną podróż, a także księciu Awa-Ce-Land’zie z Hammanite, który waszą wyprawę zorganizował i sfinansował.

– Pani prezydent, ja i moja załoga dziękujemy ci za te słowa.

– Teraz przejdziemy do kwestii trudniejszej. Dotyczy ona raczej prawa niż publicznej opinii. Niektórzy spośród członków ekspedycji pojawili się tutaj wyłącznie dzięki tymczasowemu glejtowi nietykalności, popełnili bowiem wcześniej mniej lub bardziej poważne przestępstwa przeciw Federacji. Nie zamierzamy

aresztować tak popularnych osób, ale prawo jest prawem. Padły pewne propozycje kompromisowego rozwiązania tej sprawy, nie zamierzam jednak tracić czasu na ich omawianie podczas dzisiejszej uroczystej sesji. Szczegóły ustalimy raczej w trakcie prywatnej audiencji. W oparciu o wyniki naszej rozmowy przygotuję stosowną uchwałę, którą rozpatrzy nasze ciało ustawodawcze.

Gdy pozostali podróżnicy wyszli z audiencji u prezydent Layor, Ancor rozsiadł się we wspnianiałym fotelu.

– Jak, do diabła, zdołałaś to zorganizować, Leez?

– Co zorganizować? – Leez Layor, prezydent Federacji Marsjańskiej Powłoki popatrzyła na niego z absolutnie niewinną miną.

– Jak ci się udało włączyć mnie do zespołu Land’y? Nawet dla ciebie nie była to chyba bułka z masłem. Do ostatniej chwili nie podejrzewałem, co jest grane.

– Nie mogłeś niczego podejrzewać. Konspiracja była konieczna, Maq. W przeciwnym razie nie zagrałbyś swojej roli w sposób tak przekonujący. Mamy oczywiście szpiegów we wszystkich niefederacyjnych księstwach, więc od dawna znaliśmy plany Land’y. Na Hammanite znajduje się nie tylko wielka góra platyny, lecz także złoża rzadkich rud, z których Zeus buduje w swoich fabryczkach statki ultradalekiego zasięgu. Ponieważ nie zdołaliśmy zmusić Land’y, by rozstał się z tymi dobrami, zdecydowaliśmy się na najlepszą opcję z możliwych – postanowiliśmy wprowadzić naszego człowieka do jego ekipy.

– Wciąż jednak nie rozumiem, w jaki sposób namówiłaś naszego drogiego milionera, aby mnie wynajął?

– Dość długo obserwowaliśmy jego próby stworzenia udanego zespołu. Książę dysponował funduszami i odpowiednią fabryką, czyli teoretycznie posiadał środki do budowy statku, który potrafi się przedostać przez międzyprzestrzeń kalderoidową... Od lat

sami próbujemy taki zbudować... Najwięcej czasu zabrało Land'zie skompletowanie właściwego do tego zadania zespołu... Podobno nie powiodło się siedem poprzednich wypraw. Powoli zaczęliśmy pojmować, że pieniądze i technologia nie są najważniejszymi czynnikami, gdy chodzi o przelot przez powłokę. W pewnym momencie zaczął się interesować osobliwymi ludźmi... Wtedy odkryliśmy, że potrzebny mu jest silny, energiczny kandydat na przywódcę ekspedycji. Podesunęliśmy mu zatem naszego najlepszego profesjonalnego zabójcę, przypadkiem usuniętego przez własną gildię i bardziej rozwścieczonego niż szerszeń. Każdy inny, którego Land'a brał pod uwagę, albo ginął, albo kompromitował się na długo przed ostateczną selekcją.

– Ależ z ciebie suka, Leez! To przez ciebie wyrzucili mnie z Gildii Zabójców.

– Nietrudno było cię z skłócić z resztą, Maqu. Od lat wiele osób zazdrościło Lwu korony.

– Hmm... A co będzie dalej ze mną, Cherrym i pozostałymi uczestnikami wyprawy?

– Och, coś dla was wykombinujemy... Na przykład podwójne obywatelstwo hammanicko-federacyjne, dzięki któremu otrzymacie swego rodzaju immunitet dyplomatyczny w obu światach. Takie rozwiązanie zadowoli nawet nasze senackie jastrzębie od kodeksu prawnego... Pewne drobiazgi łatwo załatwić, gdy się ma wysoko postawionych przyjaciół.

Ancor zapadł z rezygnacją w fotel i przybrał ponurą minę.

– Ciągle ta sama stara Leez! Ta sama wytrwała intrygantka! To nas właśnie poróżniło, nieprawdaż? Nie chciałem być manipulowany... nie chciałem być marionetką.

– No cóż, Maq. W końcu, oboje dostaliśmy to, czego chcieliśmy, zgadza się? Ja mam władzę, ty zaś – sławę i chwałę. Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

– Nic się nie skończyło, Leez. W każdym razie, jeśli chodzi o Solarię, ledwie zaczęliśmy. Nie rozwiązaliśmy jeszcze procenta jej tajemnic i tkwiących w niej zagadek. Nie zrobiliśmy nawet pierwszego kroku. Reinterpretacja pierwszej dyrektywy stanowi jedynie wymówkę, dzięki której zyskujemy trochę dodatkowego czasu i okazję do podjęcia stosownych decyzji. Przed nami multum pracy. Musimy – że się tak wyrażę – zwiedzić resztę naszego wszechświata, dowiedzieć się, jak on naprawdę wygląda. Potem trzeba polecieć na jego krawędź i wyrzucić poza nią... Wciąż nie znamy odpowiedzi na kluczowe pytanie, czy człowiek ma przed sobą jakąś przyszłość, a jeśli tak, to gdzie i jaką.

– Cieszę się, że to powiedziałeś, Maq – oświadczyła z zadowoleniem Leez Layor. – Ponieważ umożliwiłeś mi płynne przejście do kolejnego punktu, który chciałam z tobą przedyskutować. Przekonaliśmy Land'ę do współpracy z Federacją przy następnych podobnych przedsięwzięciach. Uniwersytet w Ajkavit stanie się centrum solaryjskich studiów teoretycznych, podczas gdy sam Land'a pozostanie odpowiedzialny za część badawczą. Potrzebny jest nam ktoś, kto będzie koordynował te dwa profile i senat jednogłośnie zgodził się na twoją kandydaturę. A zatem... Cóż mi odpowiesz, dyrektorze Ancor?

– Chyba masz rację, Leez. Czasami opłaca się mieć wysoko postawionych przyjaciół.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ